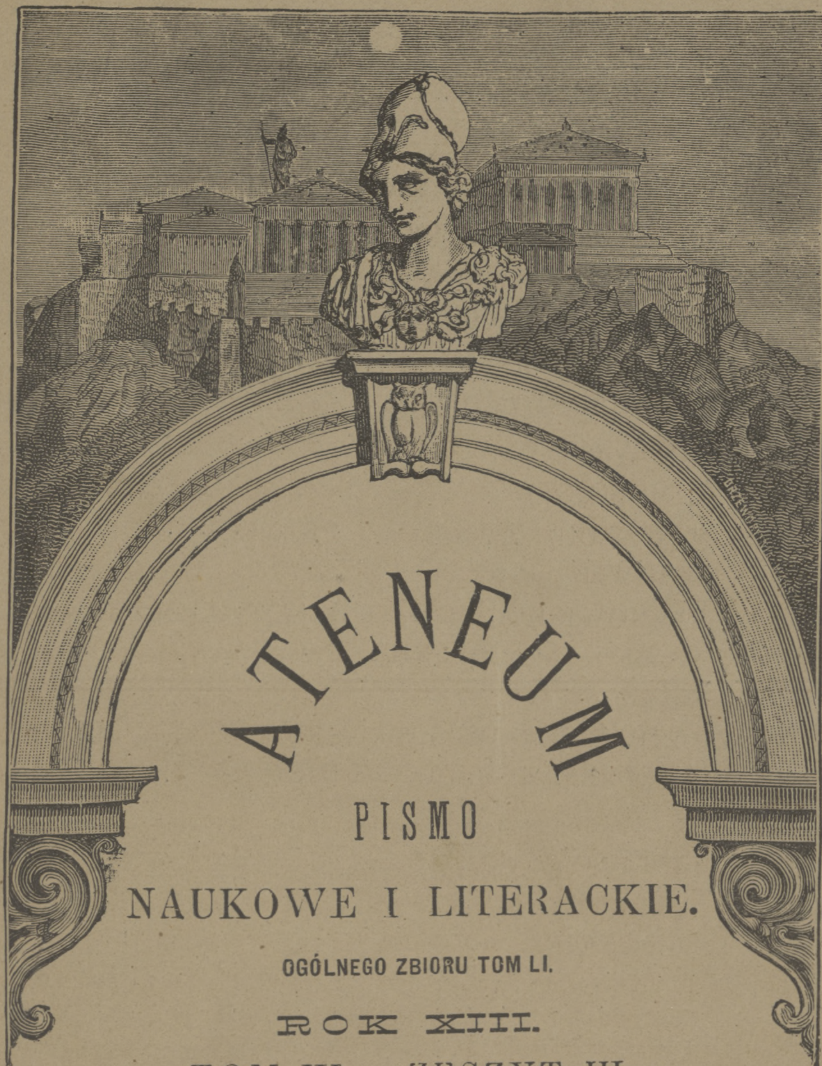


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LI.

ROK XIII.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Września 1888 r.



WIELCY LUDZIE.

Wielkich idei, wielkich czynów, wielkich ludzi żądają u nas i gdzieindziéj, jako zbawców ludzkości. Ród ludzki tak podobno skarłowaciał, tak mu wysechł mózg, stępiały zmysły, zamarły uczucia i wola zwiędła, że opiekunowie tego staruszka jedyny jeszcze ratunek jego widzą w owém trojgu wielkości. Jest-to naraz zawiele, albowiem wystarczyliby sami wielcy ludzie, o których wielkości świat się dowiaduje tylko przez wielkie idee i wielkie czyny, jakich byli organami. A więc, żeby nie utonąć w wielkościach, ograniczmy się na samych wielkich ludziach, przyjrzyjmy się ich fizyonomii i znaczeniu w dziejach ludzkich.

Przedmiot-to, jak czytelnik widzi, nadzwyczaj interesujący, bo iluż-to śmiertelników ma się za wielkich, każdy oczywiście w swojéj parafii! Ten przymiotnik w i e l k i, dodany do nazwiska człowieka, musi mieć czarodziejski urok, gdyż wielu, jeżeli nie wszyscy radziby go przyczepić do swojego nazwiska. Nie jeden artysta, literat, uczony, wojownik, zresztą nawet gospodarz, patrząc na cześć okazywaną pewnym ludziom, na pomniki wznoszone im za życia, wzdychają pokryjomu do takich hołdów i pomników przynajmniéj po śmierci. Czemu zaś pokryjomu wzdychają do wielkości? Byłożby w tém pożądaniu coś nagannego? Nie; to tylko przez skromność. Ale gdy się swoi znajdą między swoimi, w swojéj parafii, konjugują przez wszystkie czasy, tryby, liczby i osoby: i ja wielki i tyś wielki, wszyscyśmy wielcy: tamci z przeciwka to same miernoty. Ma tedy wielkość niezmierny urok dla ludzi.

Cóżkolwiekbądź, ani spółcześni, ani potomni—a bardziéj pierwsi niż drudzy — nie są skorzy do przyznawania swoim bliźnim tytułu wielkości. Przeciwnie; spółcześni patrząc zbliska na wybit-

niejsze postaci i nie mogąc ocenić skutków, jakie w przyszłości dopiéro z idei i czynów dzielniejszych mężów wynikną -- trochę wreszcie przez zazdrość, gotowi są do pytania: i cóż z Nazaretu mogło wyjść wielkiego? Ale upływa ćwierć lub pół wieku, wymiéra jedno i drugie pokolenie, zazdrości znikają i potomni zaliczają jednych do swojego panteonu, drugich strącają w otchłanie. Nieraz zdarza się i tak, że co dla jednego wieku uchodziło za wielkie, zmalało w oczach drugiego; co potępiali spółcześni, to podnieśli późniejsi. Wszakże Tyberyusz i Neron doczekali się rehabilitacyi, a Cycerona strącono do rzędu próżnych retorów. Jeżeli mnie pamięć nie myli, nawet nieboszczyk pan Hieronim Radziejowski wyszedł w naszych czasach na wielkiego patryotę. Słowem, zdawałoby się, że nie ma żadnego stałego kryteryum, któremby mierzono wielkości ludzkie. I tak jest w istocie. Zobaczymy zaraz jak to, co uczeni za kryteryum wielkości ludzkiéj podają, jest niepewne, jak kult bohaterów na słabych opiéra się podstawach.

Nie wiadomém jest piszącemu, czy który z autorów minionych wieków zajmował się tym przedmiotem, to jest poszukiwaniem kryteryum wielkości ludzkiéj; ludzi wielkich nie brakło, ale ani wiemy, kto pierwszy zaczął ich nazywać wielkimi, ani czém się kierował, gdy ich tym przydomkiem obdarzał. Dopiéro w naszym wieku zaczęto pytać się, jakie jest znaczenie wielkich ludzi w dziejach narodów i dlaczego właśnie wielkimi ich nazywają. Dobrze będzie przyjrzéć się pokrótce, jakie pojęcie tego przedmiotu mieli celniejsi pisarze.

Zacznijmy od Hegla, gdyż jego wyobrażenie o znaczeniu wielkich osobistości w historyi posłużyło innym do dalszego rozwijania tematu. Zdaniem jego, wielcy ludzie są tacy, których własny interes zbiegnie się z interesem ogółu, tak, iż ścigając cel osobisty, służą bezwiednie celowi ogólnemu, do którego popycha ich rozum absolutny, czyli duch świata. Za przykład autor bierze Juliusza Cezara: „Cezar walczył w interesie utrzymania swojego stanowiska, honoru i bezpieczeństwa, a zwycięstwo nad przeciwnikami oddało mu we władanie razem i całe państwo; zostawiwszy mu formę urządzeń dawniejszych, został on jedynowładcą. Osiągnięcie tego osobistego celu, t. j. jedynowładctwa w Rzymie, stanowiło równocześnie konieczne przeznaczenie Rzymu i historyi świata, tak, że był to nietylko jego zysk osobisty, ale razem instynkt (?), które tego dokonały, co leżało w czasie. T é m s ą w i e l c y l u d z i e w h i s t o r y i; w ł a s n e, s z c z e g ó ł o w e i c h c e l e z a w i e r a j ą w s o b i e t r e ś ć t e g o, c o j e s t w o l ą d u c h a ś w i a t a. Ta treść stanowi prawdziwą ich potęgę i tkwi w ogólnym bezwied-

nym instynkcie ludzi, którzy są parci do tego wewnętrznie i nie mają potrzeby temu, kto się podjął osiągnięcia podobnego celu we własnym interesie, oporu stawić. Przeciwnie, narody gromadzą się pod jego chorągwią; on im wskazuje i wykonywa to, co stanowi cel ich najwewnętrzniejszy *(immanenter Zweck)*.“

„Przyjrzawszy się bliżéj losowi tych historycznych indywiduów widzimy, iż mieli szczęście być wykonawcami celu, stanowiącego szczebel w rozwoju ducha ogólnego. Posługiwanie się Rozumu temi narzędziami moglibyśmy nazwać podstępem! albowiem dozwala im z całym impetem namiętności ścigać cele osobiste, a mimo tego sam (Rozum) nic na tém nie traci, lecz się uwidamia. Szczegół bywa po większéj części drobiazgiem w stosunku do Ogółu: jednostki bywają poświęcane. Dzieje zatém powszechne okazują się jako walka jednostek, a na tém polu szczegółów odbywa się wszystko naturalnie. Jak w świecie zwierzęcym utrzymanie życia stanowi cel jednostki, a pomimo tego przeważa rozum, Ogół (t. j. zachowanie gatunku), jednostki zaś giną; tak samo dzieje się i w świecie duchowym. Namiętności niszczą się wzajem; sam tylko rozum czuwa, do celu swojego zdąża i znać o sobie daje“ *(Philosophie der Geschichte*, 1837, str. 32).

W téj definicyi wielkich ludzi i w dalszém jéj rozwinieniu dużo jest chwiejnego i nieokreślonego. Tak np. nie wiemy czém, albo kim jest ów duch świata, *Weltgeist*; o celach, jakie on ma, lub miéć może, a do których osiągnienia używa wielkich ludzi, także nic nie możemy powiedzić. Pierwszy lepszy awanturnik mógłby się powoływać na misyą otrzymaną od ducha świata, od rozumu absolutnego, i żądać ofiar dla dopięcia swoich celów. Daléj, nietylko od wielkich, ale i od małych ludzi wymagamy, żeby celu i środków do niego prowadzących byli świadomi, a tu bezwiedny rozum posługuje się bezwiednemi narzędziami do osiągnięcia niewiadomego celu. Dużo tedy byłoby do zarzucenia téj definicyi wielkich ludzi podanéj przez wielkiego filozofa; ale jest w niéj jeden punkt, który, jak się zdaje, ugodził w istotę rzeczy, mianowicie, że wielkim człowiekiem jest ten, kto służy Ogółowi, który my, mniéj uczenie, nazwalibyśmy wprost Ludźmi. Czy jego cele osobiste zawsze będą w jedni z celami Ogółu, to inne pytanie; przeciwnie, zdaje nam się, że gdy osobiste cele takiego męża stoją na drugim planie, lub nawet gdy są w sprzeczności z interesami jego narodu, a on zdoła przemódz nad sobą i swoje ja poświęci szczęściu bliźnich; że dopiéro wtenczas ma prawo do czci spółczesnych i potomnych. Tém znów lepiéj dla niego, tém mniéj tragicznych spotka go zdarzeń, im ściśléj osobisty jego interes będzie przystawał do interesów

Ogółu. Jeżeli zaś wielcy ludzie nie powinni być—zdaniem Hegla—sądzeni według tych samych zasad sprawiedliwości, co i reszta śmiertelnych; jeżeli im wolno nie zważać na klęski spowodowane ich ambicyą a dotykające miliony jednostek: wolimy raczéj narazić się na zarzut powierzchowności, niż czcić takich bohaterów.

U nóg Hegla i przez pół roku w kozie berlińskiéj uczył się Cousin mądrości niemieckiéj o wielkich ludziach i wszechwładztwie państwa. Powtarza tedy o nich naukę mistrza i jak przystało na wzorowego eklektyka, uzupełnia ją zkądinąd czerpanemi propozycyami. R. Flint reasumuje odczyty jego pod tym względem w następujące zdania: Powstanie wielkiego człowieka nie jest przypadkowém; nie jest on istotą, któraby mogła być lub nie być, lecz przedstawicielem mniéj lub więcéj doskonałym, jakiego każdy wielki naród koniecznie wydać powinien. Wielki człowiek, jak wszystko, co jest rzetelnie pięknèm i wzniosłém, łączy w sobie ogólność i szczegółowość. Reprezentuje on ducha ogólnego swojego kraju i swojéj epoki; jest to niejako materyał, z którego on powstał, to stanowi jego łączność ze wszystkimi i pozwala mu wywierać wpływ i panować nad wszystkimi; ale ducha tego wyobraża pod formą skończoności i szczegółowości własną osobą czyli indywidualnością, tak dalece, że szczegółowość i ogólność, skończoność i nieskończoność, osobistość i nieosobistość stapiają się w nim wedle téj miary i harmonii, które stanowią prawdziwą wielkość ludzką. Wielcy ludzie streszczają w sobie tak doskonale narody, epoki, ludzkość, że historya powszechna jest tylko zszeregowaniem ich życiorysów. Wielki człowiek zjawia się, ażeby reprezentował pewną ideę póty, póki ta jest potężną, ani wcześniéj, ani późniéj; rodzi on się i umiera we właścIwym czasie, świadom mniéj lub więcéj, że jest narzędziem siły niepohamowanéj losu. Znakiem jego wielkości jest świetne powodzenie, zkąd płynie dlań najprzód wielka potęga, a następnie wielka chwała, jakich nie dostępują nigdy ci, co na to nie zasłużyli. Wielki człowiek jest wielkim i razem człowiekiem; wielkim czyni go łączność z pojęciami i duchem swojéj epoki i to tylko właściwie należy do historyi, która musi pomijać wszystko, co jest czysto indywidualnego i czasowego, a zajmować się tém, co jest wielkiém i trwałém, co uczyniło pewnego człowieka osobą historyczną, zlewając nań potęgę i chwałę. Człowiekiem zaś czyni go jego indywidualność, która może być mizerną, wadliwą, prawie pogardy godną; tę wszakże należy zostawić biografii. Epoka nieskończoności, kiedy to absolut pochłaniał indywidualność i wolność, była nieodpowiednią dla rozwoju wielkich ludzi; epoka skończoności przeciwnie, była dla nich szczególniéj

pomyślną tak, iż można ją nazwać bohaterskim wiekiem rodu ludzkiego; nareszcie epoka łącząca nieskończoność ze skończonością wydała ich także wielu, ale osobistość ich była mniéj wyraźną i świetną. Nakoniec przemysł jest sferą życia najmniéj przychylną ukazaniu się wielkich ludzi, a zaś wojna i filozofia najprzychylniejszemi, ponieważ dwa sposoby głównie nadają się do służenia ludzkości, mianowicie posuwanie jéj o krok naprzód w kierunku prawdy przez nadanie ideom epoki najwyższego wyrazu i przez wyciśnienie tychże na świecie za pomocą miecza, zdobywając dla nich jaknajwiększe panowanie.

Krytyka podanéj teoryi o wielkich ludziach jest bardzo łatwą: użyto jéj przed nami tak przeciw Cousin'owi, jak i przeciw naśladowcom francuskiego naśladowcy. Flint dodaje od siebie: Nic nie wiemy o prawie, według którego wielcy ludzie mieliby k o n i e c z n i e w oznaczonym czasie i miejscu zjawiać się i znikać; również nie wiemy, dlaczego w jedném pokoleniu tacy wyjątkowi ludzie powstają, a w drugiém brak ich, pomimo wzdychania i wołania, wtenczas kiedyby się najbardziéj przydali (R. Flint, *La philosophie de l'Histoire en France*, 1878, str. 214—216).

W miarę bliższego rozważania przedmiotu, pojęcie jego specyalizuje się. Dotychczas mówiono o wielkich ludziach ogólnikowo i bardziéj przygodnie; Plutarch i Korn. Nepos traktowali biografie znakomitszych mężów greckich i rzymskich, jako cząstkę materyału historycznego z celem pragmatycznym; Hegel i Cousin także okolicznościowo przy wykładzie filozofii dziejów lub historyi filozofii dotykali zagadnienia: dopiéro Carlyle wystąpił z osobném dziełem „O Bohaterach.“ Ten już specyalizuje wielkość ludzką i sięga aż mitologicznego Odyna, potém roztrząsa znaczenie wielkiego p r o r o k a (Mahomet), następnie p o e t y (Dante, Szekspir), k a p ł a n a (Luter, Knox), l i t e r a t a (Johnson, Rousseau, Burns) i nareszcie k r ó l a, albo raczéj wojownika (Cromwell, Napoleon).

Zdaniem Carlyle'a, należy uważać za pewne, iż bohaterów zsyła nam niebo, że mamy zdolność i powinność czczenia ich, gdy są zesłani: prawda ta „błyszczy jak gwiazda polarna pośród chmur dymu i kurzawy i wszelkiego rodzaju spustoszeń“..... „Czcić ludzi, jeżeli ta cześć nie ma być czczym grymasem, którego lepiejby było zaniechać, to znaczy czcić bohaterów, uznawać, że w tym naszym bracie przemieszkuje coś boskiego“.... Daléj autor ubolewa nad tém, że wielu bohaterów występowało jako rewolucyoniści, niemniéj jednak „każdy wielki człowiek jest z natury swojéj synem porządku nie zaś bezładu. Jest-to położenie tragiczne dla prawdziwego człowieka, gdy musi służyć rewolucyi. Wygląda wówczas jako anarchi-

sta, a tymczasem anarchia przeszkadza mu na każdym kroku... Powołaniem jego jest zaprowadzać porządek. Zesłany jest na to, ażeby nieład i chaos przyprowadził do ładu i składu. Jest on apostołem porządku" (Carlyle, *Les Heros: traduct. française;* 1888. str. 318—320 *passim*).

Ograniczamy się na tych kilku krótkich wyjątkach z dzieła rozczochranego idealisty i purytanina, który się zabłąkał w nasze czasy jakoby nieboszczyk z przed lat dwustu. Cześć, niemal religijna, dla bohaterów i to takich, którzy, jak mu się zdaje, byli przykrojeni na model purytański, mało kogo dzisiaj zachwyca. Redukowanie historyi narodów do biografii wielkich ludzi, uważanie ich za wzory, za twórców tego wszystkiego, co masa ludzi razem wzięta zdobyła, zdaje nam się być błędem, którego żaden głębszy znawca dziejów nie popełni. Po czém tych apostołów mamy poznać? Po tém, że przywracają porządek: *l'ordre régne à Pekin*, pisał jakiś ambasador do swojego rządu. Zapewne przywrócił go wielki mandaryn.

Posłuchajmy jeszcze, co wielki poeta mówi o wielkich ludziach lubo tylko o swojskich. „Ten przyszły wielki człowiek, spodziewany mesyasz skąd przyjdzie? po czém go poznać? nie ma na to zgody... jedni mu przydają gilotynę, inni drzewo genealogiczne, inni zwój protokułów. Niemcewicz ma nadzieję, że to będzie jakiś Pizystrat, Cromwell, Cezar lub Napoleon... Ale w historyi narodów nic się nie powtarza... tyle można z pewnością (?) powiedzieć, że przyszły wielki człowiek do żadnego z dawnych nie będzie podobny" (Mickiewicz, „O przyszłym wielkim człowieku", 1833). Rzeczywiście Towiański nie był podobny do żadnego z wielkich ludzi; poeta o tyle miał zdrowego podówczas jeszcze sądu, że tylko negatywnie określił wielkiego człowieka i to przyszłego: nie będzie ani taki, ani siaki.

Skończyliśmy z najłatwiejszą częścią roboty; przytaczać zdania cudze, tożto nie tak trudno. Ale jaki sens z tych przytoczeń? Oto najprzód widać jak trudno jest wynaleźć skalę do mierzenia wielkości ludzkiéj. Kto i po co ich na tę ziemię przysyła? Jeden powiada, że Rozum, Absolut; drugi, że Nieskończoność; trzeci jeszcze niewyraźniéj, że bywają zsyłani. A po co? i na co? Żeby się w nich i przez nich realizowała idea bezwzględna, albo żeby służyli za ogniwo nieskończoności ze skończonością, albo, żeby przywracali porządek przez warchołów i szalonych burzony. Wybiéraj czytelniku do woli; w tych mistycznych toniach może co ułowisz. Jedno tu jest jasne, mianowicie, że celem wielkich ludzi przywracanie porządku.

Powtóre, zdaje się, że wszystkim autorom, nie wyłączając Napoleona III, gdy pisał życie Cezara, przyświécał głównie typ wojownika jako model wielkich ludzi. I nietylko przytoczeni autorowie, ale po wszystkie czasy nadawali ludzie tytuł wielkiego głównie wojownikom. Nie jest to bez racyi. Szczęśliwy wojownik, zdobywca ziemi i ludzi nietylko ostrogami i pióropuszem podbija idealne serca; lecz przedewszystkiém realną korzyścią. Toż-to za chwałą wielkości i potęgi narodowéj idą c i e p ł e miejsca, zyskowne urzędy, monopole, synekury, wielkie targowiska na bydło ludzkie i towary. Taka wielkość wraża się w pamięć gruntowniéj i trwa dłużéj, niż wielkość piosenki na fujarce granéj! Tak było niegdyś, tak jest do dziś dnia. Żądano króla, któryby był jeżeli nie wielkim wojownikiem, to przynajmniéj wielkim bogaczem, ażeby zastawione księztwa wykupywał, podatków nie nakładał i swoim sumptem dla swoich wyborców nowe zdobywał korzyści. Pesymista powiedziałby może, iż rozbójnicze, łupiezcze instynkta przedpotowego dzikusa odzywają się dziś jeszcze w najcywilizowańszych narodach; nic więc dziwnego, że wielkość wojenna ma dotychczas najwięcéj czcicieli i to nietylko u poszukujących ciepłych posad, ale i u filozofów, którzy także zimnych nie lubią. Może to i najbliższe prawdy tłómaczenie; że jednak w wątpliwych kwestyach dozwolona jest wolność zdania; nie narzucamy nikomu swojego.

Lecz chociaż przytoczone powyżéj cytaty nie podają definicyi wielkich ludzi, któraby wytrzymała krytykę; jednak już samo rozspecyalizowanie pojęcia jest krokiem naprzód, gdyż pozwala na szczegółowe rozejrzenie się w rozmaitego rodzaju wielkościach ludzkich. Carlyle, który krok ten uczynił, zamało wszakże rozebrał wielkich ludzi, ażeby na tych okazach oprzéć jakiéś pewniejsze uogólnienie. Jakoż, w jego „Bohaterach“ nie widzimy sportretowanych wielkich prawodawców, administratorów państw, artystów. mówców, filozofów i. t. p. Wciągnienie do rozważania rozmaitego rodzaju wielkości pozwoliłoby może przez porównanie ich z sobą wynaleźć jakieś cechy wspólne; autora jednak pociągał głównie pierwiastek heroiczny i jego przeważne jakoby znaczenie w losach narodów: ztąd poszło przecenienie wartości temperamentu wojowniczego o purytańskiém obliczu. Otóż, dążności czasu obecnego, o ile się przejawiają w podnioślejszych umysłach, wcale nie sprzyjają kultowi wojny; masy nie myślące, lub mało myślące, są pod tym względem takiemi, jakiemi je zna historya: żądnemi łupu a więc i wojny. Gdy następują przesilenia ekonomiczne, masy w wojnie jedynie widzą sposób do wyjścia z trudności; wtóruje im w tych nadziejach prasa spekulująca na prenumeratorów. Zdawałoby się

z tego, że w istocie bohaterowie wojenni, wielcy strategicy, są jedynemi wielkościami godnemi czci i pomników. Zaledwie mała garstka autorów jest zdania, że cywilizacyą należy mierzyć zanikaniem typu wojennego, a czcią dla pracy pokojowéj i coraz wyższego uobyczajenia ludzi. Są-to, zdaniem praktycznych polityków, utopiści szkodzący co najwięcéj swoim utopiom; wojna będzie na wieki ludzkiém rzemiosłem, a wielcy wojownicy budowniczymi państw i twórcami historyi.

Bądź-co bądź, gdyby takim małym jak my ludziom wolno było w téj sprawie głos zabierać, stanęlibyśmy po stronie tych utopistów i powiedzielibyśmy, że wielcy ludzie są ci, którzy bliźnim swoim jaknajwięcéj zapewnili szczęścia zarówno w kierunku materyalnym jak i umysłowym i moralnym. Na takie określenie wielkości ludzkiéj mógłby ktoś odpowiedziéć, że jest-to także ogólnik nic nie mówiący, albowiem przez szczęście każdy co innego rozumie, że każdy mierzy je subiektywnym swoim stanem. Otóż zdaje mi się, że pomimo różnic w pojmowaniu szczęścia, są jednak pewne wspólne wszystkim ludziom momenta w jego pojęciu. Nikt np. dotychczas nie uważał za szczęście choroby, głodu i pragnienia, nadmiaru pracy itp. A na wyższym stopniu cywilizacyi nikt nie uważał za szczęście ciemnoty umysłowéj, skażenia obyczajów, niesławy itp. Wprawdzie właściciele czarnych i białych niewolników, tak dobrze amerykańscy jak i europejscy, mogli uważać, że ani wolność, ani oświata nie są potrzebne do szczęścia wyzyskiwanych narzędzi; dzisiaj nawet dają się słyszeć głosy, że ciemnota jest warunkiem szczęścia, że im człowiek mniéj zna, tém mniéj pożąda, a im mniéj pożąda, tém jest szczęśliwszy: jednak ci, co tak mówią, nie pragną téj szczęśliwości dla siebie tylko dla innych. Możemy zatem uznać za wielce prawdopodobne, iż w pojęciu szczęścia mieszczą się rozmaite dobra, a mianowicie: zdrowie, dostatek, oświata, uobyczajenie, umiarkowana praca, dobre imię i t. p. Szczęście takie nie jest-to *summum bonum*, najwyższe szczęście, jakiego poszukiwali mędrcy starożytni; ale jest-to szczęście ludzkie, względne, nie absolutne i gdzieś w metafizycznych okolicach wiszące, lecz dostępne dla ludzi. Ci zatém, którzy sumę takiego szczęścia powiększyli i uczynili je dostępném dla jaknajwiększéj liczby swoich bliźnich, mieliby najsłuszniejsze prawo do tytułu wielkości.

Zdaje nam się, że ten lub ci, którzy wynaleźli pług, wóz, a potém do nich parę zastosowali, którzy wynaleźli najpierwsze i najprostsze narzędzia mechaniczne, którzy rozpoznali budowę ciała ludzkiego i środki leczenia, owładnęli piorunem, wynaleźli alfabet, dźwiękiem pieśni lub słowa, mądrą ustawą, okiełznali siedzącą w człowieku bestyą—że ci się wielce przyczynili do szczęścia ludz-

kiego, i na miano wielkich istotnie zasłużyli. Nazwisk tych dobroczyńców po większéj części nie znamy, a dla wielu byłyby one, nawet znane, tak głuchemi, iż wobec Cyrusów, Alexandrów, Cezarów, Napoleonów, nie wartoby o nich wspominać.

Wiemy, iż takie pojmowanie szczęścia i wielkości ludzkiéj, jak je wyżéj określono, wyda się niejednemu episierskiém i kramarskiém; ale każdy wiek lub może szereg wieków, tworzą sobie odmienne pojęcia o szczęściu i wielkości. Nasz wiek zdaje się przechylać do téj kramarskiéj wielkości, albo mówiąc bez przenośni, do wielkości pracowitéj, spokojnéj nie spokojem cmentarnym, lecz pokojem obfitującym w twórcze dzieła wiedzy, talentu i obyczaju. Zanadto wiele kosztowała ludzi sława wojenna i ten pokój z 16-ma milionami zbrojnych, żeby się mieli upajać hukiem dział i spodziewanemi zdobyczami, które nigdy nie zrównoważą miliardowych podatków, nie mówiąc już nic o zdziczeniu obyczajów. Oczywiście, mówimy tylko o przechylaniu się ku idei pracowitego pokoju, o dążnościach wieku reprezentowanych przez szlachetniejsze i rozumniejsze umysły, nie zaś o masach ludzkich: dla tych bowiem *la gloire*, *pikelhauba* a potém dobrze płatne posady są jeszcze ideałami i na długo pozostaną.

Przypuszczając, że się czytelnik zgodzi na takie pojmowanie wielkości ludzkiéj, trzebaby jeszcze roztrząsnąć, czy inna cecha mająca znamionować wielkich ludzi, tj. sukces, powodzenie, wytrzymuje krytykę. Jest bowiem rzeczą pewną, iż wielkość duszy, moc charakteru spotykają się na wszystkich szczeblach drabiny społecznéj, chociaż im nie zawsze towarzyszy powodzenie. Otóż, co do tego, trzeba się zgodzić, iż rzeczywiście w ciszy i ukryciu rozgrywają się nieraz tragiczne sceny, w których niezłomna wola, praca wytrwała, rzetelny talent zdobywają się na czyny istotnie bohaterskie, godne pióra historyka lub malarskiego pędzla, i w panteonie wielkości ludzkich powinnyby się znajdować obok wielkości uwieńczonych powodzeniem. Że jednak sukces dzielniéj za sobą pociąga i w oczy uderza; nic dziwnego, iż tylko tych ludzi i te ich przedsięwzięcia nazywamy wielkiemi, którym towarzyszyło powodzenie. Jakoż, nie jest to moment godny lekceważenia. Rozumujemy bowiem tak: jeżeli się sprawa udała, musiał jéj sprawca jednostkowy lub zbiorowy dobrze wszystko obliczyć, musiał wybrać i czas i miejsce i narzędzia i wszelkie okoliczności odpowiednio do zamierzonego celu. W tém leży jego wyższość, a gdy sprawa wielka, to jego wielkość. Wielkie zamysły nieuwieńczone powodzeniem mogą się podobać Katonom, mogą stanowić temat dramatu czy tragedyi, ale tylko zwycięskie podobają się bogom. Za to trzeba przyznać słu-

szność tym, którzy sukcesem i powodzeniem nie chcą mierzyć spraw złych, a złemi są wszystkie, gdy szkodzą jednostkom lub społeczeństwu.

Gdybyśmy skalą pożytku i szczęścia mierzyli dawne wielkości historyczne, zapewne niejednę z nich należałoby usunąć z panteonu, zwłaszcza gdy czyny ich sprowadziły na ludzi najrozmaitsze i długotrwałe klęski; ale każdy wiek, jak powiedziano, urabia sobie według swoich wyobrażeń pojęcie wielkości: dlatego też naszą skalą nie można mierzyć owych bohaterów, którym się kłaniali starożytni lub średnich wieków ludzie. Pozostaną więc ci bohaterowie na kartach historyi z przydomkami wielkości; ale w pojęciu nadchodzących pokoleń wielkość ta będzie malała i blakła, a to tym bardziéj im prędzéj się oduczą wielbić dzieła zniszczenia i cnót niepłodnych.

Ale wielkości zarówno ludzkie jak i matematyczne nie są jednakowe; dopiero przez porównanie dochodzimy, która z nich większa. Wielkości matematyczne jako abstrakcyjne tylko ilością różnią się od siebie; wielkości ludzkie przeciwnie różnią się głównie jakością czyli treścią. Na treść tę składają się ich czyny i myśli o ile się czynami wyjawiły. Już zaś czyny i myśli ludzkie bywają najrozmaitsze; nazywamy je wielkiemi, gdy wiele dobrego i dla największéj liczby sprawiły. Wielki utwór artystyczny i wielki wynalazek, madonna Rafaela i zastosowanie pary, niejednakowéj są wartości pod względem pożytku i zapewnienia szczęścia ludziom, chociaż i obraz i zastosowanie pary mianujemy wielkiemi. Obie te wielkości należą do sfer odmiennych; jedna zadawalnia nasze poczucie piękna, druga sprawia ulgę w pracy człowieka. Suma szczęścia, jaką ludziom zapewnia piękny utwór artystyczny, jest niklejszą i mniejszéj liczbie dostępną, aniżeli suma dobra, jakie daje wynalazek zmniejszający cierpienia ludzkie. Więcéj realnego dobra przynosi ludziom wielki prawodawca, wielki uczony oswabadzający umysły ich z niewiadomości i przesądów, aniżeli wielki poeta bawiący ich pięknemi obrazami, lub aktor wstrząsający nerwami przez parę godzin. Słowem, wielkości ludzkie mogą być rozmaite w rozmaitych sferach myślenia i działania ludzkiego, zarówno wtenczas gdy zwiększają sumę szczęścia jak i wtedy gdy zmniejszają sumę cierpień ludzkich.

Czém się jednakże dzieje, że ludzie oceniający wielkość swoich bliźnich widzą i podnoszą szczególniéj pewien rodzaj wielkości? Czemu np. po wszystkie czasy aż do dziśdnia wielkość wojenna głównie znajdowała czcicieli? Dlaczego wielkość artystyczna, np. znakomity aktor więcéj ludzi interesuje, aniżeli wielki filantrop,

uczony, wynalazca? Zdaje się, iż dlatego, że jeszcze nie wyszli z okresu, w którym z jednéj strony łupieztwo, a z drugiéj zabawa stanowią treść życia. Do ocenienia wielkości innego rodzaju potrzeba innéj kultury umysłowéj i innéj organizacyi społecznéj. Oprócz tego, na sąd nasz o wielkości ludzkiéj wpływają czysto subiektywne gusta, upodobania, skłonności i znajomość przedmiotu. Tylko ten, kto wié, jakie trudności miał do pokonania działacz, może ocenić wielkość jego pracy, talentu lub geniuszu. Ztąd to tak rozmaite sądy o wielkich ludziach, że ich mierzymy skalą subiektywną, według własnego upodobania, gustu, namiętności, a to nietylko wtenczas gdy porównywamy wielkości różnych rodzajów, lecz nawet tego samego rodzaju. Kto był większy, Sofokles czy Szekspir, Arystofanes czy Molier, Goethe czy Mickiewicz, Kopernik czy Newton? Obszerne pole do najrozmaitszych opinii. Cóż dopiéro powiedziéć, gdy do sądów takich wmiesza się pierwiastek szowinistyczny, dający przewagę swojskim wielkościom dlatego, że swojskie!

Nareszcie, w sprawie, która nas zajmuje, mamy jeszcze jeden punkt do rozważenia, mianowicie zkąd, gdzie i kiedy zjawiają się wielcy ludzie. Wnosząc ze zdania przytoczonych na początku autorów, zdawałoby się, że wielcy ludzie spadają z nieba raz z konieczności, drugi raz najzupełniéj przypadkowo, albo że ich wysyłają według upodobania: duch świata, rozum absolutny, nieskończoność, czas i inne tym podobne iksy. „Bohater — powiada Carlyle — jest posłem przybywającym z głębi mistycznéj nieskończoności z nowinami do nas. Przychodzi on z wewnętrznéj substancyi rzeczy... z serca świata, z pierwotnéj rzeczywistości, a to, co ogłasza, jest pewnego rodzaju objawieniem.“

Prawdą jest, że wielcy ludzie nie zjawiają się na zawołanie, że ich brak wtenczas, gdy narody najbardziéj ich potrzebują; ale nie można utrzymywać, że ich rodzi przypadek. Odkąd przypadkowość wyrugowaną została z rozmaitych dziedzin myślenia, może ona tłómaczyć tylko naszę niewiadomość, ale nie istotny przebieg rzeczy i spraw ludzkich. Więc na pytanie z k ą d przychodzą wielcy ludzie? odpowiedź krótka: zkąd i mali; w początku ich nie masz nic mistycznego. Gdzie się zjawiają? Że na ziemi o tém nikt nie wątpi; ale w tém pytaniu leży coś więcéj, mianowicie, wśród jakich ludzi? Schweinfurth opowiada, że w afrykańskiém plemieniu Niam-Niam jest zwyczaj zjadania noworodków pochodzących od niewolnic i że są to dla czarnych nielada łakocie. Kogo tam ludzie uważają za wielkiego? Prawdopodobnie tego, kto jak sułtan Darfuru może sobie pozwolić na takie przysmaki co święto. Albożi u nas

nie ten jest wielkim panem, który nic nie robi a smacznie jada? Innemi słowy, wielcy ludzie mogą być wszędzie, tylko wielkość ich inaczéj mierzą w Darfurze, a inaczéj we Francyi, inaczéj u Greków z czasu wojny Trojańskiéj, a inaczéj u Niemców z epoki Bismarcka.

Najważniejszy wszakże punkt leży w pytaniu, **kiedy** się zjawiają wielcy ludzie? Wtedy, gdy grunt dla nich jest przygotowany, a gruntem jest otoczenie ich własne, społeczeństwo, wśród którego mają działać, materyalny i moralny stan tego otoczenia, nareszcie ogóly stan cywilizacyi pewnéj epoki. Tylko w takich warunkach zjawić się **mogą**, ale nie **muszą**. Czyżby zatém wielcy ludzie byli jedynie rezultatem swojego otoczenia, to jest tych wszystkich warunków, jakie ich poprzedziły i otaczają? A osobista ich wartość — bystry rozum, żelazna wola, dar kombinacyi, stanowczość działania—słowem to, co we wszystkich, a szczególniéj w wielkich cenimy — nie miałożby znaczenia? I owszem, to, co człowiek sam wart i co warto jego otoczenie, składa się na jego wielkość. Otóż zdaje mi się, że w pasowaniu na wielkich ludzi, ci co im taki tytuł przyznali, więcéj podnosili tę subiektywną ich wartość, niż wpływ otoczenia. Zdawało im się, że wielki człowiek w nicości się urodził, że ani przed nim, ani z nim nie było spółpracowników, że wszystko, co się stało, wynikło z jego inicyatywy i jemu powinno być przypisane, tak samo jak przegrane i wygrane bitwy idą na sławę lub niesławę naczelnego wodza. Jest-to optyczne złudzenie umysłu, gdy doraźnie sądzi i to, na co się składały wieki i pokolenia, przypisuje wielkiemu człowiekowi, którego raczéj możeby należało szczęśliwym nazywać. Siały pokolenia, pracowały szeregi więcéj lub mniéj uzdolnionych robotników, a on zebrał. Ani Homer lub Dante nie byliby wielkimi poetami, gdyby się porodzili wśród teraźniejszych Hottentotów, ani Newton wielkim matematykiem a Darwin wielkim naturalistą, gdyby im gruntu nie przygotowały szeregi uczonych, co znosili cegły na wspaniały przybytek wiedzy. Byłżeby Napoleon I wielkim wojownikiem, gdyby mu pola nie przygotował naród francuski, albo Bismarck wielkim mężem stanu, gdyby go nie poprzedził cały szereg niepospolitych ludzi i najrozmaitszych zdarzeń natury ekonomicznéj, umysłowéj i moralnéj, które wytworzyły mu otoczenie zarówno w rzeczach jak i ludziach rozumiejących dążenia jego? Wielki tak samo jak i zwykły człowiek musi mieć grunt pod nogami, musi się oprzéć na ludziach nie słomianych lecz dorównywających mu talentami, poświęceniem, a nadewszystko umiłowaniem celu, do którego on dąży. Najdzielniejsi łamią się i tragicznie kończą, gdy nie znajdą echa w swojém otoczeniu. Niepowodzenie przedsięwziętego dzieła świad-

czy, że się pomylili w rachunku, że nie przewidzieli wszystkich czynników, mogących krzyżować ich plany; żałujemy ich wówczas zarówno jak i otoczenia, które ich nie rozumiało, ale wielkimi nie nazywamy, albowiem w sferze czynu, sukces, powodzenie konieczne są do pozyskania tytułu wielkości.

Tak więc zdaje się, że wielkość ludzka jest ilością zmienną, w każdym okresie czasu lub szeregu wieków inną, odpowiednio do umysłowego i moralnego stopnia rozwoju społeczeństwa. Wielkości ludzkie nie jednakową mają wartość i tém są większe, im więcéj dobra jaknajwiększéj liczbie ludzi dziełami swojemi zapewniły. Nie spadają one z deszczem, ani téż są posyłane z nowinami do znudzonych mieszkańców ziemi; nie rodzą się na pustkowiu i jałowym gruncie, ztąd samym sobie wyłącznie dokonanych czynów przypisywać nie mogą. Wierzchołki górzystego krajobrazu dostrzega zbliżający się podróżny zaraz z początku drogi; dopiéro gdy się w głąb puści, przekonywa się, iż owe szczyty strzelają ze zbitych mas skalistych. Coś podobnego dzieje się w podróży przez dzieje ludzkie; z początku uderzają nas niebotyczne postaci bohaterów wojennych, późniéj dopiéro uczymy się cenić wielkich prawodawców, poetów, artystów, uczonych, a na ostatku badań przekonywamy się, iż te wielkości wystrzeliły zpośród zbitych mas ludu drobnego, uznojonego, o którym ani rapsodyści, ani minezyngery nie śpiéwają.

K.





POGLĄDY POLITYCZNE ENCYKLOPEDYSTÓW.

I.

Ruch opozycyjny we Francyi XVIII wieku rozpoczęty został w dziedzinie nauk przyrodzonych i filozofii, gdzie Newton i Locke wyparli Dekarta i Pascal'a. Dopiero w połowie tego stulecia ruch taki zwrócił się ku zjawiskom życia praktycznego i objął kwestye ekonomiczne i polityczne. Rzeczą godną uwagi jest ubóstwo francuskiéj literatury politycznéj w przeciągu dwóch wieków poprzednich: od czasów Bodin'a napotykamy tu jedynie Bossueta—teologa, Fénelona—moralistę, księdza de Saint-Pierre—marzyciela (1). Zaś jednocześnie w Anglii oraz sąsiedniéj Holandyi i Niemczech ukazują się traktaty polityczne pierwszorzędnéj doniosłości, stanowiące niespożyty materyał dla rozmyślań. Nareszcie pod tym wpływem i we Francyi budzi się życie. Występuje r. 1748 Monteskiusz z „Duchem praw" i odtąd w drugiéj połowie XVIII w. polityka staje się przedmiotem badań umysłów najwybitniejszych, t. zw. filozofów, czyli encyklopedystów. Tak żywa zawrzała praca umysłowa, że w krótkim przeciągu czterech dziesięcioleci nietylko cudze zdobycze teoretyczne zostały w zupełności przyswojone, lecz nawet doprowadzone samoistnie do ostatecznych logicznych wyników i w téj formie zaszczepione narodowi, odwykłemu od wszelkiego rozumowania politycznego. Doniosłość doktryny przedrewolucyjnéj, dawniéj częstokroć przeceniana, obecnie naodwrót, a niemniéj niesłusznie, bywa lekceważona (2). Prawdy, jak zazwyczaj, szukać wypada

---

(1) Vauban i Boisguilbert, zajęci kwestyami ekonomicznemi, czysto praktycznemi, nie wchodzą tu w rachubę.

(2) Dawna przesada jaskrawo uwydatniła się w historyi Blanc'a. Krańcowość przeciwna u Aubertin'a *L'ésprit public au XVIII s.* 1878. Podobnież Rocquain *L'ésprit révolutionnaire avant la révolution* 1878, gdzie dowodzi, że rewolucya winna była wybuchnąć jeszcze 1753 r., i zgodnie z tém odmawia wszelkiego wpływu na wypadki „filozofom".

pośrodku. Doktryna owa w szeregu zjawisk koniecznych, jakie uwarunkowały wielki przewrót, osobne zajmuje miejsce, będąc zresztą ściśle z niemi spleciona i od nich zależna; główném a niezmiernie ważném jéj zadaniem było urobienie formy dla nagromadzonéj przez tamte treści. Od czasów Frondy we Francyi zamarła myśl polityczna, i posłów do przyszłych zgromadzeń ustawodawczych trzeba było odrazu, w ciągu jednéj generacyi wyhodować, wobec braku wszelkiéj tradycyi politycznéj. Zasadniczy moment wielkiéj téj roboty jasno sobie uzmysłowić, będzie zadaniem pewnie pociągającém i pożytecznem, które obok historycznego nie jest téż poniekąd pozbawione pewnego interesu i dla obecnéj doby. Ktokolwiek pośród gwaru spółczesnych spraw międzynarodowych i ekonomicznych przysłuchuje się baczniéj hasłom czysto politycznym, jakich nieprzestaje wyrzucać Francya spółczesna, rozpozna w nich bez trudu wyraźniejsze coraz echa zapomnianych napozór rozumowań zeszłowiecznych.

Przedewszystkiém wytłómaczyć nam należy użytą powyżéj nazwę „encyklopedystów", nie jasno zwykle i różnorodnie pojmowaną. „Encyklopedya" stanowi nader wydatne i charakterystyczne dla zeszłego wieku zjawisko. Lecz z powodów zewnętrznych jest ona w swych częściach składowych wielce różnorodną pod względem wartości, często nawet charakteru. Stąd fakt samego udziału w „Encyklopedyi" ma tu znaczenie drugorzędne; natomiast szczególnie ważnym jest ogólny jéj jednoczący w p ł y w i k i e r u n e k. Z tego powodu wyłączyć tutaj należy Woltera i Monteskiusza, aczkolwiek obadwaj zaliczają się do współpracowników „Encyklopedyi". Wolter nigdy poważnie nie zajmował się kwestyami politycznemi i całkowicie należy do pierwszéj, wyżéj zaznaczonéj doby wielkiego ruchu nowatorskiego,—drugi, z natury arystokrata, pozostał, wraz ze swym liberalizmem torysowskim, nietknięty przez gorączkę polityczną epoki. Wykluczenie takie dwóch znakomitych pisarzów, sprzeczne z rozpowszechnionym na nich poglądem, okazuje się jednak właściwém. Wolter w zupełności pozbawiony jest zmysłu politycznego: z Anglii przywiózł deizm tylko, nie konstytucyę; względem zaś francuskich stosunków politycznych (1) zachowywał się albo jako dworak (*Hist. de Louis XIV*), albo jako deista. (*Hist. de Louis XV*). Zachwyca go zamach stanu Maupeou (1771) (2); jak się okazało, stanął tu w sprzeczności z opinią publiczną, która,

(1) *Sensu stricto*; pomijając ogólną tendencyę i działalność humanitarną.

(2) Upadek Choiseul'a bardzo był na rękę przyjaciółce Woltera, Katarzynie II, w sprawach polskich. Okoliczność ta nie pozostała bez wpływu na sympatye Woltera dla Maupeou.

pomimo wszelkich wad parlamentów, dobrze pojmowała polityczną doniosłość zniesienia téj ostatniéj tamy. Jakkolwiek żył jeszcze do r. 1778, wolał jednak Wolter w charakterze szczęśliwego „*maître d'hôtel*“ Europy prowadzić daléj w Ferney ucieszną walkę z kościołem, niż wdać się w niezupełnie bezpieczną z państwem. Co się tyczy Monteskiusza, to wyłączenie jego niemniéj jest koniecznèm, acz z powodów innego rodzaju. Monteskiusz jest historykiem, nie zaś politykiem. „Monteskiusz nie stworzył teoryi, wskazującéj drogi prawodawcy, nie dał systematu przyszłéj reformy, lecz jedynie studyum porównawcze przeszłości; wytłómaczył on prawa jako fakty“. Najtrafniejsze to ze wszystkiego, co o nim pisano (1). Główna jego myśl (i zasługa) o potędze wpływu przyrody na człowieka—jest historyczno-przyrodniczą i wprost przeciwną racyonalistycznemu kierunkowi epoki, dążącéj ku niwelacyi bezwzględnéj. Powierzchowne i ostrożne poglądy polityczne Monteskiusza nie przenikają do mas i nigdzie nie znajdują sympatyi—oprócz dworów europejskich, u miłośników wykwintnego stylu i subtelnych epigramatów. Wpływ jego na rewolucyę jest prawie żaden; pogardliwie odpycha ona Anglię i wyniesioną stamtąd teoryę podziału władz. Monteskiuszowi nie należy się nawet zasługa zapoznania Konstytuanty z Anglią: tak np. znajomość gruntowna urządzeń angielskich, jaka się daje dostrzedz u Mirabeau i kilku jego przyjaciół, opierała się na dziełach Blackstone'a i Delolme'a, oraz wskazówkach Dumonta, od Benthama i innych bezpośrednio czerpanych (2).

Również wypada tu wyłączyć i wogóle ściśle od „encyklopedystów“ odróżniać inną, miejscową czysto i od wpływu obcego wolną grupę „ekonomistów“. Szkoła ta powołana została do życia

---

(1) Villemain. *Tableau de la littér. au XVIII s.* I. 377. Pomijając głosy analogiczne w olbrzymiéj literaturze o Monteskiuszu, zwracam tu uwagę na uczone—zbyt może surowe—artykuły J. Schvarcz'a *Montesquieu's Erziehung zum Verfassungspolitiker* w Zeitschr. für die gesammte Staatswiss. XL (1884) 681 i nast.; XLII (1886) 297 i nast.

(2) Błędnie bywa przypisywaną Monteskiuszowi konstytucya 1791 r. a dopiero republikańska (1793 r.)—Rousseau'wi. Mylne to mniemanie opierają zazwyczaj na § 16 pierwszéj „Deklaracyi praw“, zastrzegającym podział władz; tymczasem w rzeczywistości całkowita władza odrazu zjednoczoną została w rękach ludu (jak ostatnio dobitnie wykazał Taine). Wogóle, jeśli gdziekolwiek wypada szukać przeważnego wpływu politycznego Monteskiusza, to nie w ojczyźnie jego, lecz w Stanach Zjedn. Amer. Płn. O stosunku Monteskiusza względem konstytucyi 1791 r. por. słuszne uwagi Janet'a *Hist. de la scien. polit.* II. 609 i nast. Już w Konstytuancie na Mont. powołują się jedynie ksiądz Maury, Cayla itp. przedstawiciele skrajnéj prawicy. Lewica powołuje się nań w jedynym wypadku, kiedy pragnie pozbawić króla wpływu na mianowanie sędziów, i naówczas na swój sposób tłómaczy „Ducha praw“ (5—7 maja 1790 r.). Kiedy Roussowi przyznane zostają najwyższe honory pośmiertne, odzywa się protest przeciw posągowi dla Woltera i Monteskiusza (8 maja 1791 r. Lanjuinais).

przez opłakany stan ekonomiczny Francyi, całkiem z sił opadłéj po czasach Ludwików i Regencyi, i poszukiwała jedynie środków poprawy materyalnéj. „Ekonomiści“, według trafnych słów Tocqueville'a, pragnęli „reform“, nie zaś „swobód“. Całkowicie zmysłu politycznego pozbawieni, upatrywali oni w państwie jedynie machinę ogromną, a bezwłasnowolną, przez mechanika wszechwładnego rządzoną; pozostawała tylko troska o największą produkcyę i zyskowny odbyt. Nie ma potrzeby rozmyślać o ustroju państwowym: oparty on jest na przyrodzonéj „*évidence*.“ „Widoczna“, że monarcha jest współwłaścicielem *(copropriétaire)* całego państwa, gdyż w ten sposób najsilniéj jest w jego dobrobycie interesowany; niemniéj stąd „widoczna“, że władza jego jest dziedziczną, gdyż byłby on inaczéj tylko użytkownikiem dożywotnim. Z tegoż rodzaju „ewidencyi“ wypływa absolutny charakter władzy monarszéj, jéj nieomylność, cały jedném słowem systemat „despotyzmu legalnego.“ Stosunek szkoły téj do „encyklopedystów“ nader jest zawikłany, wskutek czego zazwyczaj błędnie lub niejasno bywa rozumiany. Sam Quesnay umieszcza prace swe w „Encyklopedyi“; Rousseau wychwala Mirabeau-ojca; Morellet, encyklopedysta i przyjaciel Diderota broni „ekonomistów“ przeciw napaściom Galianiego, a Diderot, który poprawiał i wydał dzieło tego ostatniego, najsurowszą krytykę szkoły „ekonomistów“, jednocześnie gorąco poleca jako prawodawcę (Katarzynie II) Mercier de Larivière'a, najbardziéj krańcowego pośród nich doktrynera. Takie i inne liczne sprzeczności łatwo się wszakże tłómaczą dwojakim charakterem stosunków wzajemnych: z jednéj strony naukowe i społeczne zasługi „ekonomistów“, jako nieprzyjaciół merkantylizmu, oraz humanitarne ich dążenia zyskują szczery poklask „encyklopedystów“; z drugiéj—polityczna ich niedojrzałość i wroga dominującéj żądzy przewrotów teorya „*laisser faire*“ wywołuje oburzenie.

Jeśli wykluczyć jeszcze spokojnego Turgota, zajmującego stanowisko osobne, Mablego (i Morellego), rozpoczynających na uboczu nowy całkiem kierunek, i wreszcie umysły drugorzędnéj siły i wpływu — wtedy postawione zadanie sprowadzi się do analizy poglądów politycznych następujących pisarzów: Roussa, Helwecyusza, Diderota, Holbacha i Condorceta. Ciasne, a głębokie pomysły pierwszego, przekonywające i popularne drugiego, trzeciego wszechstronność i zapał, czwartego systematyczność, wreszcie przejście ku zastosowaniom praktycznym w osobie ostatniego, utworzą razem obraz dostatecznie pełny.

Polityczne ich systematy zbudowane są na dwóch czynnikach spółdziałających: 1-o nienawiści ku istniejącemu porządkowi rze-

czy i 2-o dedukcyi z jakiejkolwiek zasady ogólnéj, przez zastosowanie do kwestyi społecznych klasycznéj metody matematycznéj. Metoda ta, przez „ekonomistów" gorąco zalecana, dużo zyskała powagi dzięki niedawnym cudownym rezultatom, jakie przyniosło zastosowanie jéj w naukach fizycznych. Tradycya aprioryczna Dekarta również nie pozostała bez wpływu (1). Pisuje tedy Diderot rozprawy o geometryi i mechanice, Helwecyusz studyuje matematykę pod kierunkiem Maupertuis'a, Holbach specyalnie zajmuje się chemią i główne swe dzieło wydaje wspólnie z Lagrangem, nawet nieukształcony Rousseau pisze o sferoidalności kuli ziemskiéj. Stąd téż na ludzi zapatrują się jak na atomy, na naukę o państwie jak na część mechaniki. Jeśli zwracają się ku historyi, to jedynie w sensie ilustracyi anegdotycznéj i z lekceważeniem traktują prace Monteskiusza i Mablego o starożytnéj historyi Francyi. Wszyscy oni dążą do wspólnego celu: obalenia istniejącego nieznośnego stanu rzeczy, i każdy sili się dopiąć tego za pomocą swojéj *idée fixe*, którą dla Roussa stanowi wolność przyrodzona, dla Helwecyusza—„interes", dla Holbacha—materyalizm. Diderot i Condorcet, umysły eklektyczne raczéj, niż twórcze, w mniejszym stopniu kierunkowi takiemu podlegają.

Obok tych czynników głównych stają inne, drugorzędne już i pochodne. Odnieść tu należy idealizowanie Grecyi i Rzymu, *sui generis* pseudoklasycyzm polityczny (2). Tutaj również odnieść wypada idealizowanie zjawisk spółczesnych, lecz dalekich, powstałe pod wpływem panującéj manii podróżniczéj. Ta ostatnia okoliczność rzadko bywa braną pod uwagę, jest ona atoli wysoce charakterystyczną. Opowieści o szczęściu Persów, Indusów, Chińczyków, im były fantastyczniejsze, tém działały silniéj; a że wszyscy ludzie, wierzono, są jednacy, można więc w Atenach lub na Oceanie Spokojnym znaleść ideał dla Paryża. Analogiczne (tylko odwrotne) rozumowanie kazało nieco później Konstytuancie przyjmować z naiwnym zachwytem odezwy „ambasadorów rodu ludzkiego" (3).

---

(1) Por. przenikliwe uwagi Espinasa *Soc. anim. Intr.* i Janet'a l. c. 575; do czego można by dodać jeszcze, że od zwierzęcia-maszyny Dekarta, niedaleko do człowieka-maszyny Lamettriego i Holbacha.

(2) Znaczenie tego czynnika nieco przesadzone u Taine'a (*L'anc. rég.* liv. III); por. zresztą niżéj, u Holbach'a.

(3) 19 czerwca 1790 r. Jak się w następstwie okazało, byli oni wszyscy miejscowéj paryskiéj fabrykacyi; lecz takiemi też były wcześniéj paragwajskie i t. p. idylle, jakie w zachwyt wprawiały pedagogów Konstytuanty. Na tę łatwowierność uskarża się już trzeźwy Voltaire *Comm. sur l'Espr. d. loix.* 377.

Ze wszystkich tych czynników razem wziętych wyradza się cecha zasadnicza myśli politycznéj „encyklopedystów“: ogólność i abstrakcyjność zagadnień politycznych, jakie sobie stawiają, jak również rozwiązań, jakie znajdują. Nie zaglądają oni nigdy do wnętrza ustroju państwowego i jego czynności, nie dotykają zjawisk konkretnych, nie wchodzą w „drobnostki“—jak lekceważąco wyrażają się sami,—lecz poprzestają na ustanowieniu zasad najogólniejszych. Nawet gdy bezpośrednio z życiem mają do czynienia (Polska, Korsyka), metoda taka nieznacznym tylko ulega modyfikacyom; zresztą podejmowanie się już same niemożliwego zadania dostatecznie świadczy o poglądzie na nie. W następstwie kierunek taki przeszedł do Zgromadzeń Prawodawczych i ustalił się zwyczaj dekretowania przedewszystkiem zasad, bez uwagi na resztę. Stąd powaga niezmierna i wpływ komisyi przy Zgr. prawodawczych we Francyi, stąd zwykła w tych ostatnich czczość i powierzchowność rozpraw—zjawiska, które po dziś-dzień nie znikły i paraliżują rozwój właściwéj działalności parlamentarnéj. Z drugiéj wszakże strony tenże rys pozwolił „encyklopedystom“ pogłębiać często swe rozmyślania, gdyż naprowadzał ich bezustannie na kwestye socyologiczne i filozoficzne, oraz na ścisły tychże związek z politycznemi.

II.

Ze względu zarówno na chronologię (1), jak potęgę wpływu (2), wypada rozpocząć od Roussa. Pierwsze jego ważne i odnoszące się tutaj pisma są to dwie jego rozprawy na tematy konkursowe Akademii w Dijon. Stanowią one jedną całość, nie powiązaną w zasadzie z dalszym rozwojem jego myśli politycznéj. Zasadnicza obydwóch teza jest anti-społeczna. W pierwszéj rozprawie (3) powstaje Rousseau przeciw pewnym głównie przejawom życia społecznego (nauce i sztuce), w drugiéj (4) powstaje już przeciw życiu społeczne-

(1) Pierwszy „Discours“ ukazał się 1750 r.; „Encyklopedya“ r. 1751 rozpoczęta, ukończona (tekst) 1766 r.; dzieła Helwecyusza wyszły w 1758 i 1772 r.; Holbach'a pomiędzy 1767 a 1777; Condorcet'a (polit.) od 1781 r.

(2) Mało znane są ciekawe szczegóły apoteozy rewolucyjnéj Roussa. 21 grudnia 1790 r., na skutek petycyi Eymard'a i Barrere'a, Konstytuanta dekretuje posąg „pour le législateur de l'univers“ i pensyę dla wdowy Levasseur. Zajmujące są rozprawy z powodu szczątków Roussa (27 sierpnia, 4 i 21 września 1791): „il faut rétablir cette priorité (względem Woltera i innych) qui appartient si éminemment à Jean Jacques“ (Ch. Lameth). 11 paźdz. 1794 r. zostają przyznane Roussowi honory Panteonu. W kartach podczas rewolucyi zamiast figur królów umieszczano wizerunki Solona, Catona, Brutusa i Roussa.

(3) *Discours sur les sciences et les arts.* 1750 (Oeuvr. ed. Dupeyron 1782. T. VII).

(4) *Discours sur... l'inégalité* 1754 (T. I).

mu w ogólności, uderzając kolejno na wszystkie jego przejawy, od najpierwotniejszych aż do spółczesnych. Człowiek z przyrodzenia jest istotą samotną, dla któréj żadne stosunki z podobnemi sobie nie są potrzebne. Człowiek pierwotny samotnie błąka się po ziemi, od niéj bezpośrednio otrzymując pokarm i legowisko; podczas czynności płciowéj jedynie styka się chwilowo z napotkaną przypadkiem kobietą, którą, zadowolniwszy instynkt, opuszcza natychmiast. W ten sposób rodzina już stanowi zjawisko przeciwne naturze, a więc témbardziéj związki więcéj złożone, plemiona, narody, państwa. Pochodzenie języków przedstawia zagadkę niezrozumiałą, gdyż są one wszystkie w zasadzie sprzeczne z przeznaczeniem przyrodzoném człowieka. Mowy już nie ma o „sztukach pięknych i naukach"; „człowiek myślący jest zwierzęciem zepsutem" (1). Niestety przyroda pozbawiła człowieka stałości gatunków zwierzęcych i obdarzyła zmiennością, czyli t. zw. zdolnością rozwoju, *perfectibilité*, która w istocie jest tylko „zdolnością zwyrodnienia." Przejawem pierwszym zwyrodnienia było ustanowienie własności, najwystępniejszy pomysł ludzki, gdyż z jednéj strony stał się źródłem nierówności, z drugiéj zaś wywołał rolnictwo, a więc i związki społeczne. Wszelako w pierwotnych takich związkach ludzie po dawnemu powodowali się instynktem samozachowawczym; kiedy wszakże potężna ta dźwignia, w czystym stanie przyrodzonym, przy jednakim wszystkich udziale w bogactwach przyrodzonych, działała w równym stopniu na korzyść wszystkich, — obecnie stawała się czynnikiem wielce niewygodnym dla nowo-powstałych bogaczy— uzurpatorów. By zapewnić sobie zatém wyłączne użytkowanie swéj „własności", „wynaleźli" oni państwo, wyłudziwszy zgodę łatwowiernych współbraci biedaków przez kłamliwe obietnice przyszłych dobrodziejstw „wynalazku."

W wywodach powyższych Roussa zastanawia przedewszystkiém śmiały, dziś niepojęty już prawie sposób, w jaki spekulacyę do badań historycznych stosuje, przy zupełnym braku faktów. Stanowi to przyczynek do zaznaczonéj „niehistoryczności" wieku. Daléj, po za metodą samą, zastanawiającą, jest zarazem paradoksalność tezy, jej sprzeczność z ogólnie przyjętemi poglądami. Teza ta w rzeczy saméj jest niczém inném, jak opozycyą krańcową przeciw „zmysłowi społecznemu" Arystotelesa; jego „zwierzęciu społecznemu" Rousseau przeciwstawia samotne. „Rozprawy" wywołały też moc nieskończoną krytyk, pośród których na zaznaczenie

(1) „L'état de refléxion est un état contre nature et l'homme, qui médite, est un animal depravé" Ib. 53.

zasługuje nie nowa lecz słuszna uwaga Buffona, że własności fizyczne człowieka, długie jego i niebezpieczne dzieciństwo np., same już każą przypuszczać życie wspólne, przynajmniéj w rodzinie. Godzi się też wyróżnić obszerną a rozumną replikę Stanisława Leszczyńskiego, który naówczas w Nancy pędził spokojne życie filozofa, wypoczywając po burzliwych przejściach krótkiego panowania (1). Na zarzuty jego odpowiedział Rousseau w bardziéj zręczny niż przekonywający sposób, czém zaskarbił sobie trwałą przyjaźń króla. Poważniejszego, naukowego oporu nie napotkał nigdzie.

Jak powstanie „Rozpraw", tak i ich kierunek ma źródło czysto zewnętrzne i przypadkowe. Konkursowe te prace nie są owocem ciągłéj, konsekwentnéj myśli Roussa, lecz powstały pod chwilowym wpływem przyjaciela. W kwestyi téj wiele się spierano: Rousseau w części tylko przyznawał wpływ Diderot'a na pierwszy głośny swój utwór literacki, Diderot wyrażał się w téj mierze niejasno. Dzisiaj, wobec wydanych niedawno (1876 r.) niektórych rękopisów Diderot'a, nie ma już pod tym względem wątpliwości (2). Nie należy sądzić, jakoby kwestya oryginalności miała tu tylko znaczenie literackiéj ciekawostki. Pierwsze pisma Roussa zostały uznane wyżéj, jako odcięte zupełnie od następnych jego teoryi politycznych. Zaś literatura krytyczna pragnąc ująć w jedną całość wszystkie pomysły Roussa, zmuszona była uciekać się do spaczenia istotnego ducha różnych jego pism (3). Tymczasem naturalne wytłómaczenie pierwszego przeskoku umożebnia właściwą dokładną ocenę głównego systematu.

Krańcowość pierwszego wystąpienia Roussa, potęgując na razie wrażenie, czyniła wszakże zarazem niemożebnym wszelki wpływ głębiéj sięgający. „Discours" mogły zachwycać ówczesnego czytelnika, podniecać nienawiść ku istniejącym urządzeniom, lecz w żaden sposób w życiu rzeczywistém stosować się nie dawały. Tylko jednostki wyjątkowe (4) mogły udawać się pomiędzy dzikie ludy, wedle rady mistrza; dla masy zwyczajnych śmiertelników droga ta była zamknięta. A jednak—mimo wszelkich późniejszych odżegny-

---

(1) *Réponse au discours qui a remporté le prix de Dijon* (*par Stanislas, roi de Pologne*). 1751 (umieszczone w „Dziełach" Roussa. T. VII). Uczestniczył podobno w téj pracy jezuita Maron, stąd Rousseau początkowo po swéj odpowiedzi obawiał się Bastylii. Król w następstwie pozostawał długo w stosunkach z Roussem za pośrednictwem hrabiego Du Tressan. Bronił go nawet późniéj energicznie przeciw napaściom Palissot'a, członka Akademii w Nancy.

(2) *Confess.* l. VIII. Diderot. *Essai sur Senèque.* I, § 66. Tegoż *Réfut. de l'Homme.*

(3) Np. Villemain, Mohl, Hettner, Janet.

(4) Jak np. uczeń i przyjaciel Roussa Bernardin de Saint-Pierre.

wań się Roussa—jedynym logicznym wnioskiem z pierwszych jego rozumowań był powrót stanowczy do stanu pierwotnego. Stąd wyradzała się dla Roussa konieczność poczynienia ustępstw pewnych dla życia rzeczywistego — inaczéj wypadało chyba położyć pióro. Dostrajały się téż do alternatywy takiéj subiektywne niektóre czynniki. Rousseau zaznajamia się z życiem i nauką; przestaje być nowicyuszem, który pragnie zwrócić na siebie uwagę przez dysonans najjaskrawszy (1). Nie ma już na oku nagrody konkursowéj, lecz pragnie napisać „dzieło dydaktyczne“ z dziedziny prawa państwowego. Powstaje więc „Umowa społeczna.“

„Du contrat social ou principes du droit politique“ (2), według zapewnień Roussa miało stanowić właściwie część obszerniejszego traktatu (3). Rousseau pragnie tu znaleść sprawiedliwy i doskonały ustrój państwowy, nie myśli jednak tworzyć ideału, lecz system praktyczny *„en prenant les hommes tels qu'ils sont.“* Człowiek rodzi się wolnym: wypływa to ze zmysłu samozachowawczego, który dąży z natury swéj do indywidualizacyi czynów każdego osobnika. Gdy więc w najpierwotniejszym instynkcie ma swe źródło, a zatém bezpośrednio w naturze ludzkiéj jest ugruntowana, winna idea wolności stanowić podwalinę każdego systematu politycznego. Jednakowoż życie na każdym kroku staje z nią w sprzeczności „przez swe

---

(1) „Prendre le parti, que personne ne prendra“, radził mu Diderot.

(2) 1762 r. W najnowszém obszerném dziele o Roussie (A. S. Aleksiejew, prof. un. mosk. *Etiudy o Ž. Ž. Russo.* T. I *Russo wo Francyi.* T. II *Swiaż pol. doktriny R. s gosud. bytom Żenewy.* 1887) autor pragnie dowieść paradoksalnéj tezy, jakoby „Contr. soc.“ napisany został jeszcze 1754 r. Nie wdając się w szczegółową krytykę wątłéj argumentacyi Al., zaznaczę tu tylko główne źródło błędów w jego skądinąd interesujących i nader pracowitych „studyach.“ Jest niém t. zw. przez Macaulay'a „furor biographicus“, który powoduje Al. przyjmować na wiarę wszystkie zapewnienia Roussa (w „Konfesyach“ zwłaszcza i korespondencyi); stąd liczne sprzeczności, które Al. tłómaczyć chce przez hypotezy. Kwestya ta posiada swe znaczenie, gdyż Al., zgodnie ze swém przypuszczeniem, uważa „Contrat.“ za utwór młodzieńczy, drugorzędny, nie będący wcale wyrazem istotnych poglądów politycznych Roussa.

(3) *Contr. soc.* Avertiss. Liv. III. Ch. XV. Conclus. Por. *Confess.* liv. X. Jednakowoż mityczne owe „Institutions politiques“, dokąd jakoby wejść miało prawo międzynarodowe, nauka o finansach, administracyi i t. p., nigdy nię istniały w rzeczywistości. Rousseau od czasu pierwszych „Discours“ układa osobne urywki „socyologiczne“ (por. Streckeisen-Moultou. *Oeuvr. et corrésp. inéd. de J. J. Rousseau.* 1861) pod wpływem Monteskiusza i z zewnętrznyeh pobudek (Tak np. jego „Considérations sur l'influence des climats relativement à la civilisation“ uważam za odpowiedź na uwagę D'Alembert'a w *Disc. prélimin.* z powodu pierwszego „Discours“). Od 1755 r., kiedy powierzono mu wydanie pism politycznych księdza de Saint-Pierre (por. Lettre à Bastide z 5 grud. 1760 r.), zajmuje się Rousseau w poważniejszy sposób kwestyami politycznemi. Jeden z pierwszych, powstałych w ten sposów fragmentów stanowi *Economie politique*, ekstrakt ze wszystkich— *Contrat. social.*

kajdany". Ta faktyczna niewola istot ludzkich może być rozpatrywana albo ze względu na utrzymującą ją siłę, albo też ze względu na prawo, na jakiém się opiera. W pierwszym razie wypadałoby w miarę możności przemoc odeprzéć przemocą i powrócić do wolnego stanu pierwotnego, niszcząc społeczność. Z drugiego punktu widzenia „porządek społeczny jest uświęconém prawem" i wypada jedynie wywołaną przez konieczność niewolę postawić w zgodzie z wolnością przyrodzoną. To ostatnie zadanie stawia sobie Rousseau.

Jasném jest, że przez postawienie już w ten sposób kwestyi wyrzeka się Rousseau krańcowości „Rozprawy o nierówności." Tam więzy państwowe były wynikiem chytréj chciwości, tutaj są one „prawem uświęconém"; tam społeczność uznaną została jako wynik zwyrodnienia, a państwo nazwane kulą, wspierającą zgrzybiałego kalekę (1) — tutaj zaś „człowiek wiecznie winien błogosławić szczęśliwą chwilę, kiedy wyrwany został z przyrodzonego stanu i do obywatelskiego przeniesiony" (l. I, Ch. III).

W celu rozwiązania określonego już zadania zwraca się Rousseau do zjawiska prostszego — rodziny, gdzie analogicznie, jak w społeczeństwie, wolność członków jest nierówną. W rodzinie wolność dzieci przez własny ich instynkt samozachowawczy zostaje ograniczoną; stają się one wolne odkąd samodzielnie życie swe zachować potrafią. W państwie rząd jest ojcem, poddani — dziećmi, i wzajemny ich stosunek, podobnież jak w rodzinie, jest środkiem do osiągnięcia dobrobytu tych ostatnich. W ten sposób inna zasada — pożytku, również ze zmysłu samozachowawczego wypływająca, może w państwie ograniczyć pierwszą—wolność. Wszelkie inne próby wytłómaczenia nierówności pomiędzy ludźmi są bezowocne: nie daje się ona tłómaczyć przez „prawo przemocy" (Hobbes), gdyż pojęcia przemocy i prawa są sobie sprzeczne; nie daje się też wyprowadzić z „prawa niewolnictwa" (Grocyusz), gdyż wyżenie to stanowi *contradictio in adjecto*; ani też wreszcie z „prawa wojny" (2). Lecz porządek społeczny nie wypływa z natury

(1) „La société est naturelle à l'espèce humaine, comme la decrépitude à l'individu et il faut des arts, des loix, des gouvernemens aux peuples, comme il faut des béquilles aux vieillards." *Lettr. à Philopolis* (Oeuvr. I, 180).

(2) T. j. mniemanego prawa, czyniącego zwyciężonych niewolnikami zwycięzcy, który darował im życie. Lecz 1-o nie daruje on im życia, do którego żadnego nie ma prawa, gdyż wojna jest stosunkiem państw tylko, nie zaś osobników prywatnych; 2-o położenie zwyciężonego, jako na „prawie przemocy" oparte, nie jest prawném, lecz faktyczném, które w miarę możności obalić powinien (Ch. IV). Pierwsza zasada stanowi podstawę prawa międzynarodowego i dziwna, że właśnie przeciw twórcy onego, Grocyuszowi, wypadło się na nią powołać.

saméj; „a więc oparty jest na umowach.“ Wypada przeto zbadać istotę tych umów.

Główna i zasadnicza wada rozumowań Roussa polega na pomieszaniu istotnego (historycznego) porządku zjawisk, z jedynie słusznym podług jego przekonań (logicznym). Pokusił się był dawniéj wskazać pierwszy w „*Disc. sur l'inég.*“, lecz obecnie zrozumiał już trudności takiego zadania, nieodzowność wiedzy historycznéj i niedojrzałość własnych hypotez. Stąd w „*Contr. soc.*“ wyrzeka się strony historycznéj, rzuca się natomiast do moralnéj, teoretycznéj, nie wymagającéj już tyle wiedzy, ile zdolności spekulatywnéj. „Nie wiem, w jaki sposób powstał obecny ustrój państwowy — powiada na wstępie — pragnę jedynie wskazać, w jaki sposób daje się on uprawnić“ (1). Atoli obiedwie te kwestye są nierozłączne. Wskutek tego Rousseau z musu wpada w sprzeczności i czyni umowę społeczną czémś środkującém pomiędzy zjawiskiem rzeczywistém a ideałem, nie może bowiem przedstawić jéj jako pierwsze, a nie chce uznać w niéj tylko drugiego. Na tém polega jego siła — lecz tutaj też kryje się bezsilność. Skoro tylko uznamy umowę społeczną jako fakt rzeczywisty, skoro dozwolimy Roussowi „założyć fundamenty“ (Schlosser) — wypadnie z trudnością oprzéć się jego konsekwencyom; z drugiéj strony przez zaprzeczenie realnego istnienia takiéj umowy, stawiamy „Contr. soc.“ w jednym rzędzie z „Utopią.“

Stanowisko abstrakcyjne Roussa musiało go doprowadzić do walki z Grocyuszem i Hobbes'em, od których przecie przejął swe zasady najpierwsze. Uznają oni również niezależność przyrodzoną człowieka pierwotnego, lecz rozumując *a posteriori*, z istotnych stosunków społecznych wyprowadzają domysł o milczącéj zgodzie na takowe. Nie byli oni właśnie reformatorami. Stąd istota zwróconéj przeciw nim polemiki Roussa polega na zarzucie, że „uzasadniają oni prawo przez jego stosowanie. Podnieść tu szczególniéj należy sposób, w jaki zbija twierdzenie Grocyusza, że naród może samego siebie podarować monarsze, podobnież jak każdy w ogólności osobnik, właśnie na mocy zupełnéj swéj niezależności i prawa rozporządzania samym sobą. Naród, wyrzekający się wolności— odpowiada na sofizmat ten Rousseau — unicestwia tém samém swój charakter osoby prawnéj, a więc wszelkie zawierane przezeń umowy są z istoty nieważne. W uwadze téj występuje dobitnie wielka i płodna w następstwa idea „niezbywalności swobody“, która, zda-

---

(1) Jaskrawiéj jeszcze w rękopisie „Contr. soc.“ (wydanym przez Aleksiejewa): „je cherche le droit et la raison et ne dispute pas des faits“ (str. 24 rękopisu).

niem głębokiego krytyka, stanowi istotnie samorodną treść pomysłów Roussa i główną spuściznę zeszłego stulecia (1). Bezpośrednie jéj zastosowanie doprowadza Roussa do negacyi niewolnictwa w ogólności, nie z humanitarnego już tylko (jak np. u Woltera), lecz z prawnego a więc i mocniejszego stanowiska. Wychodząc z jego poglądu, że niewolnictwo nie jest umową, rewolucya, kiedy zniosła poddaństwo, *servage* itp. pozostałości dawnych porządków, odmówiła wszelkiéj indemnizacyi. Tutaj téż odnosi się przepis Kod. cyw. (§ 1780), znoszący najem usług bezterminowy, jako formę niewolnictwa. Należy jednak zastrzedz, że sam Rousseau w niewolnictwie świata klasycznego upatruje konieczny warunek wolności zupełnéj obywateli. By wszyscy obywatele mieli możność zająć się należycie sprawami państwa, należy uwolnić ich od prywatnych zajęć codziennych (l. III, Ch. XV). Na takie zdanie Roussa powoływali się w następstwie deputowani południowych Stanów Zjedn. Ameryki pół., w obronie niewolnictwa (2).

Powróćmy do właściwego toku wykładu Roussa. „Umowa społeczna jest treści następującéj: „Każdy stawia swą osobę i całą swą siłę pod władzę zwierzchnią woli powszechnéj i każdy członek uważany jest za część nierozdzielną całości." Z poświęconéj idealnie pełni „sił" osobnika, państwo faktycznie bierze część tylko, lecz rozmiary téj części w zupełności zależą od woli państwa. Gwarancyę stanowi tu ta okoliczność, że rozmiary te zawsze określane bywają p r z e z w s z y s t k i c h d l a w s z y s t k i c h. W ten sposób osobnik każdy, gdy oddaje siebie wszystkim, nie zaś oddzielnéj jednostce, zachowuje pewną samodzielność, a wzamian za ofiarowaną jéj część zyskuje prawo korzystania ze zjednoczonéj potęgi całości dla obrony swojéj osoby i majątku. „Umowa społeczna" z saméj swéj istoty wymaga jednomyślności.

---

(1) Stahl. *Gesch. d. Rechtsphil.* III, 5, § 2. — Por. jeszcze w *Sur l'inég.* 115.

(2) Część polemiczna, w rękopisie obszerniejsza (p. 24—36), zawiera jeszcze krytykę poglądu feudalnego, opierającego władzę rządu na zasadzie *primi occupantis*. Rousseau ustanawia dla saméj téj zasady liczne a słuszne ograniczenia, zgodnie z któremi zaprzecza możliwości nabycia tą drogą przez jednostkę całych terytoryów; powstaje przeciw stosowaniu teoryi okupacyi względem nabytków kolonialnych (od XVI w.), i oburza się na tytuły „królów Francyi, Hiszpanii" i t. p., jako pozbawione zasady prawnéj. Ostatnia uwaga Roussa, podjęta przez rewolucyę, po dziśdzień zachowała znaczenie. „Son seul titre est roi des *Français*" (Ustawa 1791 r. Titre III, Ch. II, 1, § 2); podobnież Napoleonowie i Ludwik Filip. W rękopisie również znajdujemy krytykę przedawnienia, jako sankcyi władzy rządowéj, lecz tu argumentacya Roussa jest słaba i zwraca się zarówno przeciw przedawnieniu cywilnemu; w druku ustęp ten całkowicie został opuszczony. Niemniéj jednak tkwią tu pobudki głębsze, powiązane z „niehistorycznością" epoki: rewolucya zachowała się wrogo nawet względem przedawnienia cywilnego, w zastosowaniu do praw feudalnych i beneficyów kościelnych.

Powstała w ten sposób „osoba społeczna“ zowie się w stanie działania — władcą *(souverain)*, w stanie „biernym“ — państwem, w stosunku do innych tego rodzaju stowarzyszeń—mocarstwem (1). Części jéj składowe, uważane jako całość, zowią się narodem, jako osobni spółuczestnicy władzy zwierzchniczéj—obywatelami, a jako sługi woli powszechnéj—poddanymi. W tym ostatnim charakterze każdy może zostać zmuszony do posłuszeństwa przez „ciało społeczne“; naówczas tylko „zmusza się go, by był wolny“ (Ch. VII). Przymus taki, uprawniony przez wypływające z „umowy“ zobowiązanie, nigdy nie może być ze szkodą dla zmuszanego osobnika, gdyż „ciało nie może pragnąć żadną miarą uszkodzenia swych członków.“ Jednakowoż oddzielnéj jednostce wolno emigrować, jeśli nie chce uznać saméj „umowy społecznéj“; może ona w takim razie zabrać ze sobą wszystko, co posiada (l. III, Ch. XVIII).

Od pierwszego już kroku, wbrew założeniu, wypadło Roussowi zatrzymać się na zasadzie przymusu — przemocy większości. Stara się więc ukryć tę zasadę pod paradoksem o „przymusowéj wolności“ i złagodzić ją przez swobodę emigracyi. Pierwsze jest tylko paradoksem (2), drugie zaś odmienną formą przymusu: dość pomyśléć np. o „swobodzie emigracyi“ Irlandczyków. Lecz Rousseau ogranicza jeszcze prawo wychodźtwa: w czasach krytycznych, kiedy państwo szczególnie potrzebuje pomocy obywateli, emigracya równa się dezercyi i jako taka winna być karaną (ib. Note). Kiedy późniéj, w Konstytuancie (28 lutego 1791 r.) trwały rozprawy o wychodźcach, powoływał się Merlin na to ostatnie miejsce „Contrat“, najsurowszych przeciw emigracyi żądając postanowień (3).

Utożsamienie narodu i „władcy“, które odtąd stanowi nić przewodnią wywodów Roussa, znajdujemy właściwie już u Grocyusza: *imperium in populo manet, ut in toto, cujus pars caput (rex)*.“ Wszakże Rousseau zamiast „caput“ powiedziałby „ręka.“ Należy tutaj zwrócić szczególną uwagę na upodobanie, jakie ma Rousseau do porównań „organicznych.“ „Ciało państwowe można uważać jako organizm, żywy i do ludzkiego podobny. Władza zwierzchnia wyobraża głowę; prawa i zwyczaje—mózg, zasadę *(principe)* nerwów i siedlisko rozumu, woli i uczuć, których organami są sędziowie i urzędnicy; handel, przemysł i rolnictwo stanowią usta i żołądek, przyjmujący pokarmy; finanse państwa — to krew, którą rozumna

---

(1) Terminologia Roussa stała się w następstwie obowiązującą. Kiedy w Konstytuancie (6 czerw. 1790) Malouet nazwał króla „souverain“, przerywają mu po dwakroć z lewicy: „on vous prie de parler français.“ (Eymery. *Rapports et discours*. T. IV, 118).
(2) Por. niżéj. — (3) Podobnież Pastoret (*Ass. législ.* 25 paźdz. 1791).

ekonomia całemu równie udziela ciału, sama funkcye serca pełniąc; obywatele wreszcie składają samo ciało, którego ranić w żadném miejscu niepodobna, aby wrażenie bólu natychmiast nie udzieliło się mózgowi" (1). Umyślnie wypisałem cały ten ustęp, gdyż sądzę, że idea „organiczna" towarzyszyła w umyśle Roussa wszystkim wywodom „Contrat" i milczącą dawała im sankcyę (2).

Wyłożywszy powstanie i cechy główne „umowy społecznéj", przechodzi Rousseau do zbadania opartego na niéj ustroju państwowego.

„Wola powszechna" (*volonté générale*) bezpośrednio przejawiać się może jedynie względem ciała społecznego jako całości (l. II, Ch. IV), i przejawy takie zowią się prawem. Prawo jest właśnie niczém innèm, jak każdorazowém określeniem rozmiarów owéj części wolności, jakiéj pozbawieni zostają wszyscy poddani. Należy ściśle rozróżniać pomiędzy „wolą wszystkich" a „wolą powszechną"; gdyby nawet w obydwóch „subiekt" był identyczny, „obiekt" pozostaje różny: dla pierwszéj—interes prywatny (szczególny), dla drugiéj – publiczny (ogólny). Wynika stąd zaprzeczenie wszelkich prywatnych przywilejów lub ograniczenia praw, choćby nawet za zgodą wszystkich zostały ustanowione. Natomiast w aktach „woli powszechnéj" z saméj istoty rzeczy przejawiać się musi „zadziwiająca zgodność interesu ze sprawiedliwością", gdyż przy wydaniu prawa, które wszystkich w równéj mierze obowiązuje, każdy myśli o sobie. Lecz dla osiągnięcia takiéj zgodności konieczną jest rzeczą, aby w istocie każdy dawał swój głos, by „z większéj ilości małych różnic wypływała zaprawdę powszechna wola". Należy zatém przeszkodzić tworzeniu się w państwie jakichkolwiekbądź stowarzyszeń i partyi, gdyż członkowie takowych dawaliby jeden właściwie głos, wyrażający „prywatną wolę powszechną stowarzyszenia", a wraz ze zmniejszeniem „ilości różnic" zaciemnioną zostaje istotna „wola powszechna" (Ch. III).

Dotychczas Rousseau jest ściśle konsekwentnym. Opiera się on ciągle na dwóch powiązanych ze sobą przypuszczeniach: umowie społecznéj i równości. Jeśli pierwsza istotnie miała miejsce, jako akt woli spółobywateli i wynik słusznéj rachuby, to system „woli powszechnéj" jest jedynym możliwym prawnie. Lecz aby istotnie miały wszystkie „strony" znaleść rachubę w onéj „umowie", ko-

---

(1) *Econ. polit.* (Oeuvr. I. 366; cały ten artykuł ukazał się pierwotnie w V tomie „Encyklopedyi"). — (2) Zawsze jednak jedynie jako analogia, o czém pamiętać należy: „mais... la constitution de l'homme est l'ouvrage de la nature, celle de l'état est l'ouvrage de l'art". *Contr. soc.* l. III, Ch. XI.

nieczną jest pewna równość „umawiających się“. Np. podatek pieniężny równy, nie równym będzie dla nierównych, ani nawet procentowy lub postępowy (ostatni zresztą z trudnością już dałby się wtłoczyć w formułę prawa Roussa). Podobnież dowolne prawo cywilne lub karne. Rozumie to Rousseau, a jednak przypuszcza tylko „małe różnice“; musi zatém szczególny kłaść nacisk na równość, jako na warunek bardziéj, niż na cel, musi wciąż powracać do żądania „równości, gdyż wolność bez niéj istniéć nie może“ (1).

Nie mniéj logiczną jest opozycya Roussa przeciw „woli wszystkich“. We wszelkich stosunkach państwa względem swych części składowych, lub części tych pomiędzy sobą, „wola powszechna“ jest nieobecną, stają tylko strony, zainteresowane a więc do wydania sądu o sprawie niezdolne. Stanowić przeto tutaj powinna nie władza prawodawcza, lecz sądowa lub administracyjna. Zawiera się w takim poglądzie opozycya stanowcza przeciw wielu nadużyciom rewolucyi. Przez charakter obiektu „woli powszechnéj“ określone są jéj granice, nietykalne, bo bezpośrednio na „umowie społecznéj“ oparte: wyklucza się w ten sposób wszelakie podstawienie na jéj miejsce „woli wszystkich“ lub prywatnéj. Szczególną kładę wagę na ten szczegół, dotychczas nigdzie należycie nie oceniony; tutaj kryje się przepaść, jaka dzieli despotyzm teoretyczny Roussa od faktycznego rewolucyi—każdéj.

Jeśli pod tym względem rewolucya odstąpiła od Roussa, to natomiast najdokładniéj wypełniła inne jego żądanie, również odnoszące się do „woli powszechnéj“. Mówię o „stowarzyszeniach“ w państwie. Zniesione zostały prowincye ze swymi parlamentami i charakterem lokalnym, a natomiast zaprowadzony geometrycznie abstrakcyjny podział na departamenty, dystrykty, kantony. Zniesione korporacye kościelne, w następstwie nawet towarzystwa naukowe i literackie (by nie wspomniéć już o cechach, przy zniesieniu których przeważnie działały pobudki ekonomiczne). Państwo całe, według pięknego wyrażenia Taine'a, zamienione zostało w „pył istot ludzkich“. Czynniki takiego kierunku były nader różnorodne, lecz pośród nich w pierwszym rzędzie jasno się uwydatnia powyższy wywód Roussa (2).

Powróćmy w dalszym ciągu do jego wykładu. Z własności „woli powszechnéj“ wypada, że władza prawodawcza jest 1° nieomylną (Ch. III), gdyż wola „ciała społecznego“ może miéć na celu

---

(1) L. II, Ch. XI; por. l. I, Ch. IX; l. II, Ch. III i t. d.

(2) Por. posiedzenia Konstytuanty w końcu 1789 i na początku 1790 r., oraz Zgromadzenia Prawod. w lipcu i sierpniu 92 r.

jedynie pożytek tego ciała; 2° niezbywalna (Ch. I), gdyż nikt w równym z nią stopniu nie jest nieomylnym; 3° niepodzielna (Ch. II), gdyż podmiot jéj i przedmiot stanowi niepodzielne „ciało społeczne". Wynika stąd bezprawność systematów przedstawicielstwa narodowego, instytucyi feudalnéj, nieznanéj starożytnym; oszukane przez nie narody jedynie w czasie wyborów są wolne, następnie „przestają istniéć" (l. III, Ch. XV). Konieczne są powszechne, peryodyczne zgromadzenia całego narodu, odbywające się z mocy samego prawa w pewne dni określone (Ch. XII, XIII). Próżno usiłowanoby wykazać niewykonalność podobnego urządzenia w obszernych państwach europejskich: wszak istnieją przekonywające przykłady rzeczpospolitych greckich, Macedończyków, Franków, przedewszystkiém zaś Rzymu, jako państwa pod względem rozmiarów najdaléj zbliżonego do spółczesnych. I otóż Rousseau całą księgę (l. IV) poświęca na analizę rzymskich urządzeń politycznych, głównie mając na oku komicye. Należy wszakże unikać zgubnéj centralizacyi rzymskiéj, a więc nie dopuszczać stolic, lecz urządzać zgromadzenia kolejno we wszyskich miastach, również kolejno przenosząc centrum rządowe. Otwarcie zgromadzenia powszechnego odbywa się przez przedłożenie dwu pytań najpierwszych: 1° zgromadzeni, w charakterze „władcy", stanowią, czy zachować dotychczasową formę rządu; 2° ciż sami, jako „naród", decydują, czy zostawić nadal obecnych członków rządu. Następnie dopiero zgromadzenie przechodzi do właściwych zajęć prawodawczych, dopełnia i poprawia istniejący systemat praw.

Poglądy Roussa na prawodawstwo tyle są niepraktyczne, ile logiczne ze względu na jego założenie. Kiedykolwiek zaś pragnie pomysły swe uprawdopodobnić i o wykonalności ich pomyśli, natychmiast staje się niekonsekwentnym. Dzieje się tak już w sprawie inicyatywy prawodawczéj. Jeszcze w „Rozprawie o nierówności" proponował Rousseau prawo to całkowicie pozostawić „aux magistrats" (1). dla uniknięcia „niebezpiecznych inowacyi". W „Contr. soc." nie wyrzeka się on takiego poglądu, owszem, wspomina o osobnym projektodawcy prawodawczym, którego moc prawodawcza „równa się zeru", lecz prawo inicyatywy jest nieograniczone (l. II, Ch. VII). Oświadcza tutaj wprawdzie, że „prawodawca" ów nie może być zarazem rządzącym, za przykładem Lykurga, który wyrzekł się władzy królewskiéj zanim się podjął ustanowienia praw dla swego narodu. Nie mniéj atoli zachodzi tu ta zasadnicza sprzeczność, że kiedy akt uczestnictwa w „woli powszechnéj" uznany został ja-

(1) *Sur l'inég.* Dédic. 11.

ko czynność niezbywalna każdego obywatela, jednak tyle istotna część tego aktu, inicyatywa, wszystkim została odebrana i osobnéj, uprzywilejowanéj jednostce powierzona.

Inną, równéj wagi, kwestyę stanowi sposób przejawiania się faktycznego „woli powszechnéj“. Na zgromadzeniach, powiada Rousseau, stanowi większość głosów. Prawo to większości oparte jest na przyjętéj uprzednio przez jednomyślność „umowie społecznéj“, nie ogranicza zatém swobody mniejszości. Rzeczywiście, przy głosowaniu nie zapytuje się, jaką jest wola głosującego w danéj sprawie, lecz jaką jest pod tym względem „wola powszechna“. Obliczenie głosów wykazuje to ostatnie. A więc, „jeśli moje zdanie zwyciężone zostało przez przeciwne, dowodzi to tylko, żem się pomylił, i że to, com za wolę powszeehną uważał, nie było nią bynajmniéj. Gdyby mój głos pojedyńczy był przeważył, stałoby się wbrew własnemu memu życzeniu; wówczas właśnie nie byłbym wolnym“ (l. IV, Ch. II).

Rousseau zmuszony jest uciec się do téj sofistyki. Powyżéj (l. II, Ch. I) był powiedział: „bezmyślném jest, aby wola wiązała się sama na przyszłość, gdyż niepodobna, aby wola zgodziła się na cośkolwiek, co sprzeczném jest z dobrobytem istoty, przejawiającéj wolę“. Obecnie zaś wypada mu związać obywateli, na rzecz większości, przez tę samą „bezmyślność“, jaką nie chciał ich wiązać na rzecz jednostki. Aby uniknąć sprzeczności, Rousseau ratuje się przez wyłuszczony sofizmat, nader wszakże niewystarczający. W istocie, nieomylność „woli powszechnéj“ wywnioskowaną została uprzednio właśnie z jéj układu wewnętrznego, na który złożyły się wszystkie „wole indywidualne“; obecnie zaś, gdy się okazuje, że głosujący wyrazić ma nie własną wolę, lecz „powszechną“, traci pierwsza swą wartość indywidualną a druga całą treść i wszystkie niezrównane własności. Błąd logiczny spowodowany tu został również przez milczące ustępstwo, poczynione dla życia rzeczywistego. Niepraktyczném byłoby żądanie ciągłéj jednomyślności, lecz byłoby bardziéj logiczném. W rzeczy saméj, uczeń Roussa, Filangieri stanowczo żąda jednomyślności dla dokonania zmian w danym ustroju politycznym. Sam Rousseau w następstwie, kiedy na jawie napotkał urządzenie, którego nie ośmielił się żądać nawet pośród swych rojeń abstrakcyjnych, z zapałem bronił polskiego *liberum veto*, tj. negatywnego uosobienia jednomyślności (1).

---

(1) Pragnął jednak ograniczyć *veto* do „points fondamentaux de la constitution“ *Gouvern. de Pologne* Ch. IX. (Oeuvr. I. 475). Por. Filangieri *La science de législ.* T. I. (wyd. francus. 1786 r.)

Dalsze szczegóły poglądów Roussa, tyczących się zgromadzeń prawodawczych, w ścisłym są związku z urządzeniami politycznemi rodzinnego jego miasta—Genewy (1). Odnosi się tutaj przedewszystkiém żądanie peryodyczności zgromadzeń raz na zawsze ustanowionéj przez prawo, na co Rousseau wielokrotnie silny kładzie nacisk. Zgromadzenia takie odbywały się w Genewie od 1707 r., co 5 miesięcy, z mocy prawa, bez udziału rządu. Porządek taki zniesiony został 1712 r. pod wpływem Rad rządzących, dla których okazał się nader niewygodnym, i odtąd zwołanie Zgromadzenia Narodowego (Conseil général) znowu stało się zależném od woli rządu. Kiedy dzieło Roussa zostało w Genewie wyrokiem Rady mniejszéj skazane na spalenie, jedną z głównych pobudek, acz ukrywaną pod pozorem skrupułów religijnych, był właśnie omawiany ustęp z „Umowy społecznéj", gdzie autor niejako wprost wskazywał na zniesione prawo z roku 1707. W Genewie znajdujemy również ślad jednego z najskrajniejszych pomysłów Roussa. „Od chwili, kiedy naród z mocy prawa zgromadzony jest w charakterze władcy, zawieszoną zostaje wszelka juryzdykcya rządu, jak również sama władza wykonawcza... w obecności reprezentowanych nie masz reprezentantów" (2). Na ten ustęp powstawał jeszcze Wolter i słusznie twierdził, że Zgromadzenie Narodowe przy takich warunkach jest niczém innćm, jak „uroczystą zachętą dla przestępców". Owóż nader jest ciekawém, że w Genewie, jeszcze w broszurze politycznéj z 1707 r., pośród najgorętszéj walki stronnictw, wypowiedziane zostało przez partyę radykalną żądanie identyczne. „Wobec zgromadzonego ludu, czytamy tutaj,.. wszystkie prawa niezwłocznie zostają zawieszone, jako przed władcą (souverain); podczas trwania Zgromadzenia ma miejsce jakoby zupełne zniesienie rządu" (3).

Pozostała do rozważenia jedna jeszcze kwestya wagi pierwszorzędnéj, mianowicie napaści Roussa na system przedstawicielstwa wogóle i angielskiego w szególności. Napaści te przyczyniły się

---

(1) O stosunku Roussa do Genewy ob. trzy ciekawe studya Juliusza Vuy, prezesa Instytutu Genewskiego (1881). Nowe, lecz mało zasadne są poglądy Jansena w rozprawie *Zur Literatur über Rousseau's Politik* (w Preuss. Jahrbücher 1882 kwiecień), gdzie pragnie dowieść stanowczego wpływu na Roussa czynów i pism Jakóba Michélego. Jacques Michéli du Crest pomiędzy laty 1730—44 toczył słynny onego czasu spór z Radą Dwustu genewską; w rezultacie majątek jego sekwestrowany, sam on praw obywatelskich pozbawiony. Wpływ pewien gwałtownych pism tego awanturnika na Roussa bądźcobądź przez Jansena został udowodniony. Por. też studyum Kocha *Die Verfass. von Genf u Rousseau's Contrat soc.* (w Histor. Zeitschr. Sybla 1886. T. XIX).

(2) L. III, Ch. XIV. Por. *Gouv. de Pol.* Ch. VI. 449. Voltaire *Idées républ.* XXXII. 197. — (3) *Lettre d'un citoyen* 1707 r. (podana u Aleksiejewa l. c. II. 361).

głównie do odsądzenia Roussa od wszelkiego rozumu politycznego przez bezstronnych nawet i poważnych badaczów (1); są one wszakże zupełnie zrozumiałe i naturalne. W istocie, nie mogła Anglia liczyć na sympatye owoczesnéj Francyi, nie miała do tego nawet prawa. Działały tu przedewszystkiém przyczyny polityczne: historyczna nienawiść narodowa obfity znajdowała pokarm w nowych walkach we wszystkich niemal częściach świata (2). Również i parlamentaryzm angielski onego czasu bynajmniéj sympatycznie się nie przedstawia, przesiąknięty do głębi sprzedajnością i zepsuciem. Jeszcze D'Argenson, były minister, którego dzieło silnie oddziałało na Roussa, uskarża się na demoralizacyę parlamentu angielskiego i porównywa Anglię z Kartaginą, przeciwstawiając jéj Rzym (3). Równocześnie, a niezależnie od nich obydwóch do tegoż samego wniosku przychodzi Helwecyusz (4). Podróż po Anglii, jaką odbył Rousseau w towarzystwie Hume'a w 1766 r., mogła tylko utwierdzić taki pogląd; to téż w późniejszych Radach dla Polski nie jednokrotnie napotyka się surowe o Anglii i polityce jéj zdanie (5). Wypadnie zresztą poniżéj do téj kwestyi powrócić; tutaj należy zaznaczyć tylko, że krytyczny względem Anglii stosunek stanowi rys charakterystyczny wszystkich „encyklopedystów". Ukrywa się tu zasada czysto rewolucyjna i kiedy ta została urzeczywistnioną, niezwłocznie anglomania Woltera i Monteskiusza ustępuje miejsca pogardzie i nienawiści śmiertelnéj. Pomijając już pobudki zewnętrzne, ta tu działała wewnętrzna, że dążenie radykalne ku reformie nie mogło zostać zadowolnione przez istniejącą już rzeczywistość, lecz ideału abstrakcyjnego szukać sobie musiało.

W trzeciéj księdze Rousseau szczegółowo bada istotę i zadanie rządu w państwie.

Z danéj powyżéj definicyi prawa wypadało, że stanowić je może jedynie naród cały: prawo, jako takie, nigdy nie ma na widoku jednostki osobnéj, lecz „ciało społeczne" w swéj całości. Inaczéj rzecz się ma przy stosowaniu prawa: ma się tu do czynienia wyłącznie ze zjawiskami szczegółowemi. Wówczas już naród sam działać nie może, nie powinien, koniecznym jest natomiast osobny organ

---

(1) Np. Schlosser, Lecky, nie mówiąc już o politykach.

(2) Optymizm Buckle'a (I. Ch. XII) jest zrozumiałym: jest on anglikiem i silnie wierzy w „cywilizacyę". Za nim często bywa powtarzany błędny pogląd na stosunek Anglii i Francyi od XVIII w.

(3) D'Argenson *Considér. sur le gouvern, de la France* (1764) 37 i nast. Rousseau korzystał z ciekawego tego dzieła z rękopisu.

(4) *De l'Esprit* Ch. XX. „Les Anglois, plus Carthaginois, que Romains" i t. d. — (5) Rzecz o Polsce pisał Rousseau już po przeczytaniu słynnych „Listów Juniusza".

wykonawczy: o ile „wola powszechna“ nie może ani prawnie ani faktycznie być reprezentowaną, o tyle jest to odpowiedniém dla „siły powszechnéj“. Tego rodzaju organ wykonawczy dla praw politycznych, będący pośrednikiem pomiędzy narodem — „władcą“ a poddanymi, zowie się rządem. Ustanowienie rządu nie jest umową pomiędzy „władcą“ a członkami rządu: „władcy„ żadna inna umowa oprócz społecznéj wiązać nie może. Rząd nie jest kontrahentem, lecz sługą względem państwa; wykonywa on tylko nałożony nań obowiązek w granicach dowolnie przez „władcę“ określanych i w każdéj chwili przez „władcę“ może zostać pozbawiony stanowiska.

Stosunki wzajemne trzech czynników: władcy, poddanych i rządu dają się wyrazić zapomocą stosunku geometrycznego, gdzie czynnik ostatni stanowi ogniwo środkowe, pierwszy zaś i drugi— skrajne. Tym sposobem w państwach różnych rząd winien być różnym. Siła rządu winna wzrastać w stosunku prostym do liczby ludności, gdyż wraz ze wzrastającą liczbą obywateli wola jednostki więcéj oddala się od „powszechnéj“, większéj zatém wymaga siły powstrzymującéj. Głównym czynnikiem siły rządu jest ilość rządzących: znajduje się ona w odwrotnym do pierwszéj stosunku. W związku z poprzedniém wypada, że winna ona pozostawać w stosunku odwrotnym do liczby ludności. A zatém odpowiada monarchia wielkim państwom, arystokracya—średnim pod względem zaludnienia, demokracya—małym. Nie są tu bez wpływu również pobudki natury ekonomicznéj, dla których monarchia odpowiednią jest dla narodów bogatych, arystokracya dla zamożnych, demokracya—dla ubogich. Pierwsza, przy najwyższéj sile ekspansywnéj, posiada wszelako dwie zasadnicze wady: nadmierny wpływ woli monarchy na „powszechną,“ oraz niebezpieczeństwo, wynikające z następstwa tronu, gdyż system elekcyi i dziedziczności zarówno są niedogodne (1). Forma rządu arystokratyczna zbyt często a zasadniczo gwałci ideę równości (2). Demokracya—to ideał niedościgniony, to „urządzenie stosowne dla bogów“ (3). Trzy te główne formy rządu mają dążność przechodzenia jedna w drugą, pod wpływem ciągłéj dążności rządu do powiększenia swéj władzy; ruch taki możliwy jest w następującym tylko kierunku: demokracya, arystokracya, mo-

(1) L. II; l. III, Ch. I. Przeciw dziedziczności tronu por. *Gouv. de Pol.* 470 i nast.

(2) Rousseau zdaje się przechylać ku arystokracyi wyborczéj—w duchu szwajcarskiéj; wszakże w razie nadużycia (już jako ochlokracyę) uważa ją za najzgubniejszą: „le meilleur des gouvernemens est l'aristocratie; la pire des souverainétés est l'aristocratique“. *Lettres de la mont.* VI. 294. Podobnież por. *Polysynodie* (Oeuvr. XII, 89).

(3) L. III, Ch. IV; l. IV, Ch. III; por. *Econ. pol.* 394.

narchia. Nareszcie ogólną miarę dobrego rządu stanowi wzrost zaludnienia (l. III, Ch. IX, X).

Rozgraniczenie władzy prawodawczéj od wykonawczéj, które stanowi podstawę wyłuszczonéj nauki o rządzie, posiada u Roussa całkowicie inne znaczenie, niż u Monteskiusza. U tego ostatniego obiedwie władze stają obok siebie równouprawnione, u Roussa druga stanowi pojęcie pochodne, podrzędne. „Władza zwierzchnia" jest niepodzielną, a więc teorya podziału władz Monteskiusza „jest istném szalbierstwem jarmarczném, jestto, jak gdyby żywego człowieka rozerwano na części i jednéj pozostawiono oczy tylko, innéj ręce i nic więcéj". Różne pojmowanie zasady pociągało za sobą różnice kardynalne w jéj stosowaniu. Pogląd Roussa nader sprzyja pochłonięciu siły zależnéj, pochodnéj, przez siłę twórczą, bezwzględną. Określając w następstwie (1) szczegółowiéj własności władzy prawodawczéj, Rousseu za jeden z najważniejszych jéj przywilejów uważa wykonywanie „nadzoru (*inspection*) nad władzą wykonawczą". Nadzór ten jest nieograniczonym i nieokreślonym, nie zaś, jak u Monteskiusza, ustanowioném uprzednio przez prawo zrównoważeniem dwóch osobnych, równouprawnionych potęg; polega on na ciągłém, zasadniczém ujarzmieniu jednéj, bez żadnego w zamian równoważnika: wiemy już, że rząd żadnego nie ma wpływu na zwoływanie lub rozwiązywanie zgromadzeń.

Jednakowoż, jeśli zgodnie z całym kierunkiem swego systematu dochodzi Rousseau tym sposobem do żądania wyraźnego wszechwładzy ludu, umié on jednocześnie ustanowić dla niéj granice przez ściśle logiczne wnioskowanie z własnego założenia. Tak więc sprawy zagraniczne państwa, jako nie dające się podciągnąć pod otrzymaną wyżéj definicyę prawa, nie stanowią „aktów władzy zwierzchniéj, lecz tylko stosowanie prawa", a zatém nie należą do „władcy", tj. zgromadzeń. Stąd prawo wojny i pokoju należy wyłącznie do rządu (2). W téj kwestyi rewolucya nie poszła za Roussem i potężnym wysiłkom wymowy Mirabeau udało się uzyskać dla króla nieznaczne jedynie ustępstwo—prawo inicyatywy. Odstępstwo takie od zasad Roussa wyraźniéj jeszcze uwydatniło się w konstytucyi 1793 r.

Co się tyczy form rządu, to—przy całkiem zresztą różném pojmowaniu ich istoty—Rousseau ściśle zachował stary podział Arystotelesa. W jednym tylko kierunku przypuszczając przejście, Rousseau, swym zwyczajem, liczy się tylko ze swą logiką i pomija historyę. Próbował wprawdzie podciągnąć pod swą formułę historyę

---

(1) *Lettr. de la mont.* VII, 318. — (2) L. II, Ch. II, *Lettr. de la mont.* 319.

rzymską, lecz cała jego sofistyka na nic się nie zdała wobec faktu, że w Rzymie monarchia przerodziła się w rząd arystokratyczny, ten zaś w demokratyczny, z którego znowu powstała monarchia. Niemniéj zdyskredytowanym, jak teorye „cyklów politycznych“, jest obecnie pogląd Roussa i jego spółczesnych na wzrost zaludnienia, jako zjawisko bezwzględnie dodatnie. Naówczas jedyny protest przeciw temu poglądowi (1) wyszedł od Woltera i Mablego. Idąc w téj kwestyi za rozpowszechnioném zdaniem, stanął Rousseau poniekąd z własną teoryą w sprzeczności. Poprzednio określił był rząd demokratyczny jako ideał, do którego tylko naród nieliczny zbliżyć się może; obecnie zaś upatruje szczęście narodu w najszybszém wzrastaniu ludności, co według własnéj jego zasady niechybnie prowadzi do monarchii. Jedyném wyjściem z téj sprzeczności byłoby państwo federacyjne, z drobnych republik złożone, lecz na idei téj krótko zatrzymuje się Rousseau i odrzuca ją tymczasem, jako niezgodną z niepodzielnością „woli powszechnéj.“

Wypada w końcu przyjrzéć się jednéj z najciekawszych stron systematu Roussa — jego teoryi „religii cywilnéj.“

Rousseau był deistą, lecz nie tyle deistą rozumującym, a więc abstrakcyjnym, w stylu angielskich, wciąż znowu wątpiącym, bez wiary w nieśmiertelność duszy, ile deistą uczuciowym, wiary istotnéj, bezpośredniéj, pełnym zachwytu dla ewangelii, jako wielkiéj księgi, nie badającym jéj podejrzliwie, jako sfałszowany dokument. Wobec takiego nastroju ducha musiał on przypisać religii znaczenie niepoślednie w swym systemacie politycznym; poświęcił téż téj kwestyi rozdział końcowy swego dzieła. Rousseau odróżnia trzy rodzaje religii. Pierwszy, własny jego chrystyanizm ewangeliczny jest nieprzydatny dla celów politycznych, gdyż pomija w zupełności życie ziemskie, całą uwagę skupiając na przyszłém. Drugą grupę stanowią religie „narodowe“, najsilniéj rozwinięte u ludów starożytnych, podczas teokratycznéj ich epoki; są one niewłaściwe ze względu na skrajną swą nietolerancyę i mnogość koniecznych przesądów. Trzecia grupa — „religie kapłańskie“, „jak religie Japończyków, lamaizm, katolicyzm“ — najzgubniejsze są pod względem politycznym, gdyż „dają dwa sprzeczne prawodawstwa, dwóch władców, dwie ojczyzny.“ Ten ostatni właśnie rodzaj religii panuje obecnie w państwach europejskich; zmiany, poczynione w Anglii (Henryk VIII) i Rosyi (Piotr I), są niewystarczające, gdyż nie usu-

(1) Pogląd ten ustalił się głównie dzięki powadze imienia Monteskiusza. Por. *Espr. d. loix* l. XXIII; księga ta, pod względem cynizmu, w niczém nie ustępuje wybrykom, jakich w duchu przeciwnym dopuszczali się najskrajniejsi uczniowie Malthusa.

wają rozdwojenia. Jedyne wyjście właściwe—ustanowienie „religii cywilnéj“; określenie jéj dogmatów należy z prawa i obowiązku do „władcy“. Dogmaty te stanowi: wiara we wszechmocne i dobroczynne bóstwo, w życie zagrobowe, w świętość „umowy społecznéj“ i praw. Każdy obywatel obowiązany jest publicznie i uroczyście uznać te prawdy; jeśli się nie zgadza, zostaje z państwa wydalony, jeśli zaś po złożeniu przysięgi okazuje się w następstwie niewierzącym, karany jest śmiercią. Do dogmatów wiary należy również tolerancya względem wszystkich, nie objętych przez nią kwestyi religijnych (1).

Rewolucya nie pominęła i tych pomysłów Roussa. 18 Floréal'a roku II, istnienie „Istoty Najwyższéj“ zostało zadekretowane przez Konwencyę, a więc stało się obowiązującém z mocy prawa. 20 Prairiala' t. r. odprawiono po raz pierwszy odpowiednie nabożeństwo na całéj przestrzeni Francyi, przyczém w Paryżu występował jako arcykapłan prezydent Konwencyi, najgorliwszy uczeń Roussa, Robespierre. W następstwie kierunek taki podjęty został za czasów dyrektoryatu przez dyrektora Laréveillère'a, pod nazwą teofilantropii, kiedy drogą prawodawczą ustanawiano nawet liturgię i świątynie nowéj „religii cywilnéj.“ Lecz, co najważniejsza, dzięki Roussowi zdołał umocnić się pogląd na religię, jako na policyę moralną *sui generis*, a więc i na duchowieństwo, jako na urzędników państwowych. Stąd urządzenie cywilne duchowieństwa przez rewolucyę. Jednocześnie, rozumując ściśle logicznie, gdy osoby duchowne uznano za zwyczajnych „*salariés*“ państwa (Mirabeau), uznano dobra kościelne za własność państwa i skonfiskowano, zastąpiwszy je przez pensye.

Oto w głównych zarysach nauka Roussa o państwie. Obaczmy teraz, w jaki sposób zastosował on ją względem organizmu żywego, dotykalnego, a który, jeśli oddawna już różnił się całą swą budową od tych, jakie Rousseau mógł na zachodzie naocznie oglądać, przedstawiał naówczas (1772 r.) zjawisko zupełnie szczególne. Nie stanowi to wszakże szkopułu dla abstrakcyjnego umysłu Roussa; nie stara się on nawet poznać bezpośrednio pacyenta i chorobę (jak Mably np.), lecz zdaleka przepisuje mu cudowny swój a powszechny sposób leczenia. Na zasadzie nielicznych i wątpliwéj wartości danych, jakich mu dostarczono, pokonferowawszy też nie-

---

(1) W rękopisie żąda nawet, aby „cette profession de foi, une fois établie, se renouvelle tous les ans avec solennité.“ Larivière czyta późniéj w Zgromadzeniu Prawod. cały ustęp o religii z „Umowy społecznéj“, a Filassier żąda, aby wprost oddano pod głosowanie „la proposition du citoyen Rousseau“, tyczącą się religii cywilnéj (24 maja 1792)

co z mężem téj powagi, bezstronności i rozumu politycznego, co biskup Massalski, pisze Rousseau głośne „Uwagi o rządzie polskim.“

Z samego już, jak widzimy, sposobu powstania „Uwag“, nie mogły one posiadać ani naukowéj, ani praktycznéj wartości. A jednak w ostatniém tém swojém piśmie politycznėm położył Rousseau wielką, niespożytą zasługę, zawarł w niém bowiem dobitnie i z mocą ideę nową wówczas a potężną i płodną. Jest nią idea narodowości. Rys ten, wyraziście odbijający od kosmopolityzmu, właściwego epoce, ma źródło w pierwotnym stosunku Roussa względem Genewy, jako ideału politycznego, i występuje jeszcze w słowie wstępném do „Rozprawy o nierówności.“ Następnie w „Ekonomii politycznéj“ powstaje Rousseau z goryczą na głoszone powszechnie „szyderstwa z uczuć patryotycznych“ i żąda „skondensowania“ miłości bliźniego na rzecz współobywateli (1). Podobnież w „Emilu“, w „Umowie społecznéj“ (2), i wreszcie tyle szczegółowo i wymownie w „Reformie Polski.“ Narodowości szuka i żąda w odzieży, zwyczajach, wychowaniu. „Szczęściem jest dla Polaków, że posiadają strój narodowy“; to téż obowiązkowo winni się go trzymać „zarówno król i senatorowie, jak i wogóle wszyscy urzędnicy państwa... surowo ma być wzbronionėm ukazywać się przy dworze w stroju francuskim.“ Wystrzegać się mają pod tym względem Polacy „błędu, jaki popełnił car ów, tyle wychwalany.“ Najważniejszym wszakże czynnikiem jest tu wychowanie. „Pragnę, aby każde dziecko polskie znało w roku dziesiątym życia rodzaje wytwórczości swego kraju, w dwunastym — wszystkie jego prowincye, drogi i miasta, w piętnastym—historyę narodu, w szesnastym—wszystkie jego prawa. W dwudziestym roku życia każdy Polak ma być nie człowiekiem w ogólności, lecz właśnie Polakiem.“ Uczyć młodzież mają wyłącznie krajowcy (Ch. IV). Potrzeba jedném słowem uczynić Polskę „niestrawną“, skoro niepodobna powstrzymać apetytu sąsiadów.

Jednakowoż i tę nawet sympatyczną stronę „Uwag“ zasłaniają niezwłocznie natchnienia doktrynerskie, pochodzące od „Umowy społecznéj.“ Zauważył był tam Rousseau (l. II, Ch. IX), że w wielkich państwach tak znaczne powstają pomiędzy obywatelami różnice, że muszą oni poniekąd czuć się względem siebie obcymi,

---

(1) „Le sentiment d'humanité s'évapore, en s'étendant sur toute la terre... il faut donc borner et comprimer l'intérêt et la commisération pour leur donner de l'activité. Or... il faut, que l'humanité soit concentrée entre les citoyens.“ *Econ. pol.* 381, 382.

(2) Zwłaszcza w rękopisie, gdzie uskarża się na „ces prétendus cosmopolites, qui, justifiant leur amour pour la patrie par leur amour pour le genre humain, se vantent d'aimer tout le monde, pour avoir le droit de n'aimer personne“ (p. 9 rękopisu).

a więc pragnąć różnych praw, wobec czego i patryotyzm istotny zanikać musi. Tutaj (1) powtarza z naciskiem, że „wielkie rozmiary państw głównym są powodem niedoli ludzkiéj“. Radzi więc podzielić Rzpltą na Małopolskę, Wielkopolskę i Litwę, jako „trzy państwa, połączone w jedno“ sposobem federacyi. Bardziéj jeszcze byłoby do życzenia rozczłonkowanie Polski na tyle części federacyjnych, ile jest województw, z osobną w każdéj administracyą, oraz obok odpowiedniego rozszerzenia kompetencyi sejmików. Zauważyć się tu daje pewne odstępstwo od zasady ścisłéj jedności, która kazała Roussowi porzucić w „Umowie“ wszelką myśl o federacyi; tłómaczy się ono przez obawę, jaką budziła w nim forma monarchiczna Rzpltéj. Obawa ta, podsycana jeszcze przez jego mocodawców—Barzan,—dominującą nutą przechodzi przez cały ciąg „Uwag“. Stąd szczególną baczność zwraca Rousseau na władzę królewską. Dziedziczność korony (jak już wiadomo z „Umowy“) byłaby zgubną, a zatém, wobec „inklinacyi“ w tym kierunku Polaków, stwierdzonéj ostatnio przykładem dynastyi saskiéj, konieczném jest prawo, wyłączające raz na zawsze synów królewskich od tronu (Ch. VIII). Król obierany zostaje w sposób następujący: z senatorów dożywotnich (wojewodów) przez losowanie zostaje oznaczonych trzech kandydatów, z pomiędzy których sejm natychmiast obiera króla (Ch. XIV). Urządzone zostają sądy pośmiertne, na wzór egipskich, wyrokujące o zmarłych królach; w ten sposób spodziewa się Rousseau zastąpić, w części przynajmniéj, konfirmacye peryodyczne króla (rządu) przez Zgromadzenie Narodowe, którym tak ważne przypisał znaczenie w „Umowie, a których tutaj wyrzec się widzi zmuszonym. Z żalem czyniąc to ustępstwo, Rousseau nie omieszkał jednak gorąco zalecić Rzpltéj ten swój sposób trzymania królów w karbach (2). Jak widać ze sposobu obierania, król winien koniecznie być Polakiem; pomijając już inne względy, należy pamiętać, że samowola cudzoziemca trudniéj bywa poskramianą. Co się tyczy sejmów, to z natury swojéj, jako instytucya reprezentacyjna, stanowią one właściwie *malum necessarium*; kiedy jednak naród cały udziału w nich przyjmować nie może, należy przynajmniéj związać posłów przez możliwie ścisłe instrukcye, których obowiązkowo trzymać się muszą (3), oraz poddać dokładnie urządzonéj, ciągłéj

(1) *Considér. sur le Gouv. de Pologne.* Ch. V. (Oeuvr. I, 441 i nast.).

(2) Życzyłby sobie „que la Couronne fut en quelque manière amovible, et qu'au bout de certaines périodes les Rois eussent besoin d'être confirmés.“ Ib. 529.

(3) W téj sprawie Konstytuanta odstrychnęła się od Roussa, kiedy sejm czteroletni ściśle wypełnił jego żądanie. 24 marca 1791 r. powoływał się Kiciński na powagę Konstytuanty francuskiéj, która niemal równocześnie ustanowiła moc tylko wskazującą nie zaś obowiązującą instrukcyi poselskich; bezskutecznie jednakże.

kontroli wyborców. Należy również rozszerzyć w tym celu znaczenie i rolę sejmików, jako właściwych, bo bezpośrednich głosicieli woli narodu. Również dla zmniejszenia wpływu sejmów, oraz by uniknąć przekupstwa sejmujących przez rząd, należy ściśle przestrzegać sześciotygodniowego terminu sejmowania. Wolno wprawdzie sejmowi przedłużyć ten termin drogą prawodawczą, nigdy jednak dla sejmu bieżącego, lecz tylko dla przyszłych w ogólności: wynika to ze znanéj już definicyi ogólnéj prawa (1). Nie mniéj wadliwym jest w zasadzie podział władzy prawodawczéj, (z natury swéj niepodzielnéj, jak wiadomo z „Umowy“) przez ustanowienie senatu obok izby poselskiéj; i tutaj więc konieczne są środki zapobiegawcze. Liczbę senatorów należy zmniejszyć; mianować ich ma nie król, lecz izba poselska, z pomiędzy kandydatów, przedstawianych jéj przez sejmiki. Część tylko senatorów ma być dożywotnią; inni wybierani zostają na dwa lata lub dłużéj. Wreszcie głosowanie odbywa się zawsze jawnie. Lecz co winno stanowić podwalinę konstytucyi—to konfederacye i *liberum veto*. Pierwsze uważa Rousseau jako „*chef d'oeuvre de politique*“ (2); są one „tarczą, azylem, świątynią konstytucyi“. Podobnież rzecz się ma z *liberum veto*, winno ono zostać zachowane jako „gwarancya istotnéj wolności“. Rousseau powstaje przeciw propozycyi Mablego, według któréj prawo *veto* miało należyć nie do każdego pojedyńczego posła lecz do jednomyślnego ogółu przedstawicieli całego województwa; zgubny to projekt, albowiem „głosy brane zbiorowo, gromadnie, nie dążą już tak prawdziwie ku dobru powszechnemu, jak brane odosobnione, indywidualne“ (3). Nadużyciom przy stosowaniu prawa *veto* daje się w zupełności zapobiedz przez odpowiednie urządzenie tego prawa; a więc należy zachować *veto* jedynie względem „praw fundamentalnych“ oraz wyraźnie określić odpowiedzialność protestujących. W tym celu poseł, który założył *veto* w jakiejkolwiek sprawie, po upływie 6 miesięcy stawić się musi przed specyalnym trybunałem, który dwojaki tylko wyrok mocen jest ferować: honory dożywotnie lub śmierć (bez drogi łaski) (Ch. IX). To samo stosuje się względem konfederacyi; zatém barską, która „niewątpliwie uratowała umierającą ojczyznę“, należy uczcić przez wzniesienie pomnika, z wyrytemi na nim nazwiskami konfederatów (4), oraz przez

---

(1) Uwagi te Roussa nie były bez wpływu na rozprawy z powodu prorogacyi sejmu w r. 1790. Powołuje się na Roussa Suchorzewski (10 czerwca) i inni przeciwnicy prorogacyi. — (2) Ch. IX, 480. — (3) Ch. VII, 465. — (4) Wszystkich, „même de ceux, qui dans la suite auroient pu trahir la cause commune; une si grande action doit effacer les fautes de toute la vie“ Ch. III. 429.

uroczystość „wspaniałą i republikańską“, święconą na ich cześć co każde lat dziesięć. Natomiast, co się tyczy Stanisława Augusta, to „skoro oswobodzicie się od przemocy wschodniéj, albo powtórnie winniście go obrać na podstawie nowych paktów konwentów—albo téż głowę mu uciąć należy, jak na to dobrze sobie zasłużył“ (1).

Tak się przedstawiają w streszczeniu rady Roussa dla Polski. Polegają one oczywiście—pomimo niektórych ustępstw wymuszonych—na zastosowaniu formuł bezwględnych z „Umowy Społecznéj“. Zastosowanie to atoli szczególne. Kiedy „umowa społeczna“ i zrodzone z niéj formuły pochłaniały wszystkie osobniki danego narodu i wszystkich téż prawa uwzględniały—tutaj większość ogromna wyrzucona jest za nawias i część tylko drobna brana w rachubę. Poradził sobie tu Rousseau za pomocą następującego wygodnege sofizmatu: ogólne, wyprowadzone uprzednio twierdzenia polityczne odnosiły się istotnie do wszystkich ludzi, żyjących w społeczeństwie; otóż, jeśli „prawo państwowe“ (*loi d'Etat*) danego narodu pewien tylko stan za obywateli a więc za ludzi uważa, to twierdzenia owe do tego tylko stanu się stosują i nic wspólnego nie mają z resztą mieszkańców (jak np. ze zwierzętami). Raz przyjąwszy takie rozumowanie, Rousseau następnie z konsekwencyą wielką mógł już daléj wnioskować, odzyskawszy grunt „Umowy“. Tak np. twierdzi zupełnie logicznie, że król, jeśli nie jest szlachcicem, nie ma w sejmie prawa głosu, albowiem królem być przestaje w czasie trwania sejmu (urzędy wszystkie, jak już wiadomo, zostają zawieszone, kiedy działa władza prawodawcza), zaś jako nie-szlachcic nie jest człowiekiem-obywatelem (Ch. VI). Wszelako sofizmat powyższy, jeśli pomógł Roussowi wybrnąć z nierozwikłanéj sprzeczności, zbyt był kruchym, aby istotnie zdołał go uspokoić. Toż „umowa społeczna“, na przyrodzie bezpośrednio oparta, żadnéj „*loi d'Etat*“ ustąpić nie powinna. Obok logika burzy się téż w Roussie człowiek szlachetny, miłujący ludzkość. Zaraz téż na wstępie określa Polskę jako „ciało, w znacznéj części z martwych członków złożone“, a daléj wprost oświadcza, że zgubą Polski jest nic innego, jak „barbarzyństwo owe feudalne, co odrywa od państwa część jego największą a niekiedy najzdrowszą“. Gorąco więc i po kilkakroć mówi za uwolnieniem chłopów, za uszlachceniem mieszczan. Prawda, że zaleca przytem „oględność krańcową“, że radzi trzymać się stopniowania powolnego w reformie, że wreszcie, wbrew własnym zasa-

(1) „Il faut lui faire couper la tête,“ comme il l'a bien mérité“. Ciekawego tego ustępu nie mogłem odnaleść w kilku wydaniach dzieł Roussa, jakie miałem pod ręką; popany jest u Venedey'a *J. J. Rousseau*. 1850, str. 444.

dom pragnie indemnizacyi właścicieli—lecz wszystko to nie umniejsza zasługi, owszem większą ją raczéj czyni. W „notach”, jakie Rousseau otrzymał do swéj pracy od Barzan, w rozmowach pouczających z Massalskim, pewnie niewiele się znalazło o doli i potrzebach ludu polskiego. Tak więc szczerze odczute wskazówki Roussa w téj sprawie stanowią niejako *hors d'oeuvre*—niekoniecznie miłe dla jego mocodawców—względem żądanego odeń elaboratu politycznego, który miał obok szlachetnych zamiarów i zadawnione grzechy powagą głośnego imienia autora usankcyonować. Jakkolwiek są pobieżne, sympatyczne te wskazówki, należy Roussowi za zasługę niepoślednią poczytać i ocenić je jako samoistny protest z jego strony, któremu aby praktyczną nadać doniosłość, gotów był nawet zwykłą swą surowość logiczną poświęcić (1). Żądanie to, w wykonalną obleczone formę, podniesienia stanów włościańskiego i mieszczańskiego, stanowi obok zaznaczonéj idei narodowości istotną, niepożytą wartość „Projektu Reformy Polski“. Z tego właśnie (i jedynie) stanowiska powtórzyć można zdanie Portalis'a, że „głębokie uwagi Roussa o Polsce długo przeżyją pustą i burzliwą metafizykę umowy społecznéj“ (2).

Ażeby skończyć z Roussem, jedna jeszcze ogólna o nim uwaga. Rousseau żadnego nie odebrał wychowania i do końca życia pozostał przy nader szczupłych wiadomościach (3). Okoliczność ta spotęgowała jego śmiałość spekulatywną i ułatwiła mu wpływ na tłumy. Tę samą abstrakcyjność i brak wiedzy napotykamy u najbardziéj konsekwentnych jego uczniów, Robespierre'a i Saint-Just'a; stąd również upór ten sam i dogmatyzm nieubłagany.

(1) Niesprawiedliwym w téj mierze, bo nie uwzględniającym należycie innych pism Roussa, ani okoliczności, towarzyszących napisaniu „Uwag“, jest Kalinka *Sejm czter.* II. § 154. — (2) Portalis *L'esp. philos. durant le XVIII s.* 1820. II. Ch. XXVI. 283.

(3) „Peu de science et nulle pratique“ Villemain l. c. II. 234. „Rousseau, le moins instruit de tous“. Taine *L'anc. rég.* 226. Nie znał zupełnie greckiego i angielskiego języka (w epoce panowania Platona i Locke'a); nawet łaciną bardzo słabo władał, (por. Avertiss. do przekładu Tacyta. Oeuvr. VII. 235. Lettr. à Vernes 18 listop. 1759; XII. 228). Podobnież rzecz się miała z historyą i naukami przyrodzonemi.

(*Dok. n.*) *Szymon Askenazy.*



BAN STRACHINICZ.

RAPSOD LUDOWY SERBSKI.

PRZEKŁAD Z SERBSKIEGO.

Bohaterskie pieśni serbskie w przekładzie polskim znane są nam dotąd w ilości zbyt szczupłéj i z wielu względów nie dają należytego wyobrażenia o całéj wartości tych utworów. Ze zbioru ogłoszonego przez Wuka Karadżicza tłómacze nasi nie zawsze wybierali pieśni najcelniejsze, lecz głównie takie, które im samym najbardziéj się podobały. Więc Bohdan Zaleski ślicznie, lecz za swobodnie i nie z oryginału podobno, przełożył ulubione sobie pieśni pobożne i niektóre legendowe o bitwie na Kosowém polu. Roman Zmorski także, oprócz kilkunastu legend i najpiękniejszéj ze wszystkich bohaterskich pieśni p. t. „Wesele Maksyma Czernojewicza", tudzież cyklu pieśni o Marku Królewiczu, podał kilka pieśni bohaterskich; te wszakże nie tylko nie liczą się do najcelniejszych, lecz należą do miernych, a nawet do pośledniejszych. Dla czego pominął on takie pieśni, np. jak Ban Strachinicz, Siostra Leki Kapetana i Chory Dajczyn z tomu II Wuka, oraz takie, jak Ożenienie się Todora z Zadaru, Iwa Senjanina, Milicza bajraktara i wiele innych z tomu III-go? Czy przekłady tych pieśni, późniéj przez niegoż dokonane, nie zaginęły w rękopismach po jego śmierci?—na to odpowiedzieć trudno.

To tylko jest rzeczą pewną, że ów wsławiony słusznie i jedyny w swoim rodzaju skarbiec rapsodów narodowych serbskich mieści w sobie mnóstwo utworów prześlicznych, a nam dotąd zupełnie nieznanych, których przekład wierny możeby nie był darem obojętnym dla naszéj literatury.

Jednym z tych-to nieznanych, a najcelniejszych utworów, jest bezzaprzeczenia pieśń o Banie Strachiniczu, którą pokusiwszy się

przełożyć jak najstaranniéj, podaję tutaj chociażby dla tego, ażeby na to wdzięczne wielce, lubo od lat blisko 3o-tu całkiem u nas zapomniane pole literatury narodowéj serbskiéj zwabić tłómacza bardziéj powołanego od siebie.

Bohater téj pieśni, Ban Strachinicz (*) nie jest zgoła osobą zmyśloną; albowiem najprzód, w kronice jednéj, jak podaje G. Mileticz (**), jest wzmianka wyraźna o tém, że „Car Amurat, stanąwszy na polach Kosowskich, zburzył dwór Strachini nad rz. Toplicą; a powtóre i w pieśniach opiewających pogrom kosowski, w jednéj (***) powiedziano o nim, że

„gdzie brodzono we krwi po kolana,
tam to poległ Banowicz Strachinia“ —

a w przechowanym urywku (***) innéj, bardzo pięknéj pieśni jest o nim 5 wierszy takich:

„Któż to taki był ów dobry junak,
który jedném cięciem ostréj szabli,
ostréj szabli w swojéj ręce prawéj
po dwadzieścia głów tam zmiatał naraz?
— Był to junak Banowicz Strachinia.“

Nie zapomniało więc podanie ludowe o jego bohaterskim udziale w téj walce wiekopomnéj, lecz nie uwydatnił się tam Strachinicz żadną przygodą nadzwyczajną, żadnym czynem osobliwszym, podobnie jak Miłosz Obilicz, jak Kosanczycz Iwan, Milan Toplica i inni towarzysze cara Łazarza. Daleko bardziéj zapewne osoba jego w swoim czasie imponować musiała niepospolitą odwagą rycerską, szlachetnością i wspaniałomyślnością, których dowody prawdopodobnie rzeczywiste, łącznie z przygodami niezwykle dramatycznemi, lubo zapewne upoetyzowanemi, złożyły się na utworzenie całego rapsodu osobnego o tym „sokole serbskim“, Banie Strachiniczu.

Powstanie téj pieśni, wraz z innemi co do treści współczesnemi, Mileticz słusznie odnosi do wieku XV. Późniejszą, jak mniemam, być ona nie musi dla tego, że wyrazów tureckich ma 3—4 razy mniéj, niż każda z pieśni junackich pochodzących niewątpliwie z XVI i XVII wieku, znanych mi tak ze zbioru Karadżicza, jako też i z innych, drukowanych i niedrukowanych.

Musi być ona klejnotem wielce rzadkim w literaturze ustnéj Serbów, gdy sam Karadżicz słyszał ją tylko parę razy w waryan-

---

(*) W zbiorze pieśni serbskich Wuka Karadżicza (wyd. wiedeńskie 1845, II, s. 262) pieśń ta pod N. 44 ma nadpis: „Banowicz Strachinja.“ — (**) Glasnik Srpskog učenog društwa. Belgrad 1865. Zeszyt 18, str. 294. — (***) W. Karadżicza: Pieśni Serbskie. T. II, pieśń 45, wiersz 188 i 189. — (****) Tamże, pieśń 5o, V, wiersz 1—5.

tach mocno uszkodzonych, wprzód nim mu się udało w roku 1820 spisać ją z niezmiernym trudem i to za wdaniem się osobistem panującego wówczas ks. Miłosza Obrenowicza, z ust sławnego gęślarza *Miliji*, hercegowińca, rodem z Kołaszyna, osiadłego w Serbii (*).

W przekładzie téj mistrzowskiéj pieśni o banie Strachiniczu starałem się zachować jak najwierniéj nie tylko właściwy rytm i budowę wiersza oraz każdy szczegół jéj treści, lecz i właściwą jéj prostotę opowiadania obok niepospolitéj wymowy i siły w obrazowaniu. Wierność tę mając przedewszystkiém na względzie, trzymałem się tak ściśle oryginału, że każde zdanie wyrażałem niemal dosłownie, o ile to było możliwém bez rażącego serbienia polszczyzny, — albo téż oddając myśl oryginału w wyrazach zupełnie równoznacznych, strzegłem się wszelkich zboczeń od niéj i ozdobniejszego urabiania jéj po naszemu. Skutkiem tego w całéj pieśni nie tylko liczba wierszy w moim przekładzie wypadła zupełnie taka jak w oryginale, lecz i pojedyńcze zdania ujęte zostały w takiéj saméj ilości wierszy i w tymże porządku po sobie następują.

Przy całém wszakże usiłowaniu zachowania wierności w przekładzie, nastręczały mi się często trudności nie małe, wynikające z wielce odmiennéj budowy obu języków, a szczególnie z przyczyny tego osobliwszego stylu gęślarskiego pieśni Serbskich, który żywcem przepolszczony, brzmiałby za dziko dla naszego ucha. W obec tych trudności, zmuszony nieraz do odstąpienia od wyrażeń czysto serbskich, w przekładzie niniejszym baczyłem głównie na to, ażeby w nim myśl oryginału pozostała wszędzie nietkniętą i temu stało się zadość.

BAN STRACHINICZ.

Żył przed laty pewien ban Strachinicz,
był on banem małéj ziemi Bańskiéj (**),
małéj Bańskiéj około Kosowa;
był to sokół, jakich dziś już nie ma.
Dnia jednego wstał ban raniusieńko
i przyzwawszy sługi swe, zawoła:
„Sługi moje, pośpieszcie się żwawo,

(*) Od tegoż dziada Miliji spisał Karadżicz dwie inne pieśni, najpiękniejsze ze wszystkich, t. j. o Maksymie Czernojewiczu i Siostrze Leki Kapetana.— (**) Mała Bańska jest to okolica w południowéj Serbii z miasteczkiem Bańska, przy Kosowém polu.

siodłajcie mi siwka od majdanu (*),
a ubierzcie mi go jak najpiękniéj
i popręgi podciągnijcie mocno,
bo ja, dziatki, w drogę się wybieram:
z Bańskiéj ziemi i grodu wyruszę
i natrudzić mego siwka myślę,
by w gościnę udać się, me dziatki,
w teściowiznę, na Kruszewac biały,
do miłego teścia Jug Bogdana
i do szwagrów, dziewięć Jugowiczów;
tęsknią za mną tam w teściowém gnieździe,
Sługi, panu swojemu posłuszne,
osiodłały mu siwka sokoła.
Tymczasem się ban Strachinicz odział:
wystroił się w atłas i aksamit
i sajetę wdział, wspaniałe sukno,
co od wody żywiéj się czerwieni,
a od słońca jaskrawiéj rumieni.
Wystroił się dzielny sokół serbski,
dosiadł siwka swego od majdanu,
ruszył żwawo i lotem zajechał
w dom teściowy na Kruszewcu białym,
Kędy carstwo (**) powstało niedawno.

Skoro zoczył go Jug Bogdan stary
i ujrzało dziewięć szwagrów miłych,
Jugowiczów, dziewięciu sokołów,
ledwo wierzą, że to zięć ich drogi;
więc za szyję gościa obejmują,
sługi wierne pochwyciły konia,
a szwagrowie go na wieżę wiodą,
gdzie zasiedli do gotowych stołów,
do biesiady, na pańskie rozmowy.
Nazbiegało się sług i służebnic,
jedni stoją (***), drudzy winem służą.
Ile było chrześciańskiego państwa,
wszyscy siedzą popijając wino:
pierwsze miejsce sam Jug Bogdan zasiadł,
u prawego ramienia tuż przy nim
ban Strachinicz, miły zięć posadzon,
po nim daléj bracia Jugowicze,
a na końcu stołu inne państwo.

(*) Majdan, po serbsku znaczy plac boju, plac pojedynku rycerskiego; stąd koń od majdanu, często wspominany w pieśniach, oznacza rycerskiego, bojowego rumaka. — (**) To jest Żupaństwo, województwo, feudalne państwo pod władzą cara serbskiego. — (***) „Neko dvori“ — dvoriti nie ma innego znaczenia, tylko stać przed panem lub gościem spokojnie, z rękami złożonemi na piersiach, w gotowości do usług, oczekując rozkazów.

Młodsi zawsze służą gospodarom.
Najmłodsze zaś, to dziewięć szwagrowych;
więc szwagrowe tuż stanęły rzędem:
te przed świekrem, silnym Jug Bogdanem,
inne dalej przed swymi mężami,
a najwięcej przed wspaniałym zięciem.
Jeden sługa wino im obnosi,
nosi wino w dużej czarze złotej,
która dziewięć litrów (*) w siebie bierze.
Gdybyś widział inne tam przysmaczki,
te łakocie, same pańskie jadła,
rzekłbyś bracie, że to carska uczta!
Dość już długo ban tam sobie gościł,
dość już długo tam się ban zabawił,
otoczony czcią w teściowym domu.
Wszystkie państwo, co było w Kruszewcu
przychodziło rano i wieczorem
Jug Bogdana silnego upraszać:
„*gospodaru*, silny Jug Bogdanie!
całujemy twą połę jedwabną
i prawicę twoją, białą rękę,
racz potrudzić cudne państwo swoje
i przyjdź do nas z miłym zięciem swoim
i przyprowadź bana Strachinicza
w nasze dwory i domostwa nasze,
byśmy uczcić mogli go u siebie."
Jug każdemu chętnie czynił zadość,
zanim tedy wszystkich poodwiedzał,
dużo czasu na to mu schodziło
i za długo ban się tam zasiedział.

Aż tu naraz, patrz co za nieszczęście!
Dnia jednego, gdy słońce rozbłysło,
goniec przybiegł, pismo białe niesie,
z Bańska przybiegł od małego grodu,
od banowej staruszeczki matki,
pismo składa na kolanie bana.
Jak rozczytał pismo i przeczytał,
aż tam w piśmie szpetne rzeczy stoją,
bo staruszka matka nań narzeka:
„gdzieś ty synu, banie Strachiniczu?
przeklęte ci we Kruszewcu wino
i nieszczęsna u teścia gościna!
Czytaj pismo,—znaj ból niesłychany!
Przemoc na nas spadła niespodzianie,
car turecki, synu, od Jedrena (**),

(*) Litra, dawna miara krajowa za Dunajem dla płynów i wagi, równa ćwierci oka, t. j. kwarty, lub 2 funt. wagi. — (**) Z Adryanopola.

car nam wpadł tu na Kosowe pole,
car nam wpadł tu i wezyrów nawiódł
i okrutnych swoich namiestników.
Całą ziemię naszą car zagarnął,
wszystkie wojska swe tureckie dźwignął
i na polu Kosowém zgromadził.
Całe zalał niém Kosowe pole,
obie rzeki na niém opanował:
po nad Łabą i rzeką Sitnicą
horda całe Kosowo zaległa.
Powiadają, synu, i tak prawią ludzie,
że po suchy jawor od marmuru,
a od tegoż jawora do mostu,
sklepionego mostu na Sazliji
i od mostu tego do Zweczana,
od Zweczana, prawią, do Czeczana,
od Czeczana w górę ku płoninie
Turki całe przygniotły Kosowo.
A na liczbę, powiadają, synu,
sto tysięcy najprzód jest u cara
jakichś pysznych, wybranych Spahijów,
co w dzierżawach mają carskie ziemie,
co się carskim chlebem wszyscy żywią,
co na koniach majdanowych jeżdżą
i nie noszą zbytniego oręża,
tylko szablę jedyną u pasa.
　U Turczyna, tureckiego cara,
mówią, synu, jest i drugie wojsko,
ćma ognistych janiczarów Turków,
co w Jedrenie mają swój dom biały;
sto tysięcy ma być tych janczarów.
　Powiadają, synu, i tak prawią ludzie,
że Turczyn ma trzecie wojsko silne
z samych Tuków jakichś i Mandżuków (*),
Strasznie wrzeszczą i srodze się biją.
　Ma téż Turczyn inne wojsko jeszcze:
powiadają, że jest z jedną hordą
samowolny Turczyn Włach-Alija,
co samego cara słuchać nie chce,
o wezyrach nigdy ani myśli,
a zaś wszystkie inne wojska carskie
lekceważy, jak mrowie na ziemi;
tyle wojska ma przeklęty Turczyn!
Gdzie zaś stąpi, synu, tam nieszczęście!
On nie poszedł z carem na Kosowo,
lecz na lewo sobie drogę znalazł
i na naszą spadłszy Bańską ziemię,

(*) Tuki i Mandżuki, nazwy nieznane, najpewniéj zmyślone, jakichś dzikich azyatyckich ludów.

Bańsko, synu, w niwecz ci obrócił,
żywym ogniem wszystko tu popalił
i kamienie powyrzucał z głębi.
Wierne sługi twoje porozganiał,
styrał twoją staruszeczkę matkę
i jéj kości koniem potratował;
w końcu porwał twoję lubę wierną (*)
i zawiózłszy na pole Kosowe,
pod namiotem twoję lubę pieści!
Ja, mój synu, na zgliszczach tu jęczę,
a ty wino we Kruszewcu spijasz!
Bądź przeklęte ostatnie twe wino!“

Gdy wieść taką z pisma ban wyczytał,
ból go srogi i żal ciężki przejął;
z twarzy smutnéj uciekło wesele,
wąsy czarne opadły mu na dół
i do samych ramion pozwisały.
Po obliczu srodze zachmurzoném
łzy mu tuż-tuż puścić się gotowe.
Takim ujrzał go Jug Bogdan stary.
Takim zięcia ujrzawszy z poranka,
zapłonął Jug, jako płomień żywy
i do zięcia Strachinicza rzecze:
„o mój zięciu, Bóg niech będzie z tobą!
czegoż to dziś tak bardzo wczas wstałeś?
czemuś smutny dzisiaj i nie wesół?
czyś się czego zatroskał, mój zięciu?
czyliś się na kogo tu rozgniewał?
Szwagrowie-li z ciebie żartowali,
lub co złego rzekli ci w biesiadzie?
czy Szwagrowe nie dość ci służyły?
albo zganić masz coś w domu teścia
powiedz zięciu, co ci jest i jak jest?“
Ban zapłonął i tak mu odrzecze:
„przestań, teściu, stary Jug Bogdanie;
ze szwagrami jestem w pięknéj zgodzie,
a szwagrowe, to pańskie *gospoje*,
cudnie gwarzą i cudnie mi służą;
cóżbym zganić miał w méj teściowiźnie?
Oto czemu jam dzisiaj nie wesół:
pismo do mnie przyszło z małéj Bańskiéj,
pismo od méj staruszeczki matki.“
Więc teściowi bóle swe powiada:
jak mu dwory jego poniszczono,
jak mu sługi jego rozegnano,
jak mu matkę starą stratowano.
i jak lubą porwano mu żonę.

(*) Luba i wierna luba w pieśniach serbskich zastępuje stale wyraz żona.

„Lecz mój teściu, stary Jug Bogdanie!
chociaż ona jest dziś żoną moją
lecz i córką jest tobie zarazem,
więc sromota wspólną jest nam obu!
Owóż, teściu, starcze Jug Bogdanie!
jeśli byś zmarłego żałował,
to nad żywym ulituj się bardziéj.
Błagam ciebie, całując twą rękę,
daj mi swoich ty dziewięciu synów,
twoich synów a mych szwagrów miłych.
Pójdę z nimi, teściu, na Kosowo,
poszukiwać społem mego wroga
a carskiego chana plugawego,
co mi porwał moją lubę wierną.
Ty niczego nie lękaj się, teściu,
i o dzieci (*) twe nie troszcz się zgoła,
bo ja dzieciom twoim a mym szwagrom
całą odzież pozmieniam do znaku,
po turecku wszystkich ich przebiorę:
dam zawoje białe im na głowy
a na plecy zielone dołomy,
w fioletowe spodnie poubieram
i przypaszę szable płomieniste.
Sługom moim junackim nakażę,
by im konie dobrze posiodłali
i popręgi mocno podciągnąwszy,
po wierzch skórą niedźwiedzią pokryli.
W janiczarów dzieci twe przestroję,
sam też szwagrów pokieruję wszędy,
kiedy pójdą ze mną na Kosowo.
Między wojskiem carskiém się zwijając,
przodem pójdę im za delibaszę (**).
Niech się niby wstydzą i udają,
że się boją mnie, swojego wodza.
Ktokolwiek zaś w wojsko carskiém chciałby
nas zatrzymać i pomówić z nami
po turecku, czy też po mandżucku,
to rozmówić się potrafię z każdym
i turecką mową i mandżucką.
Po arabsku rozumiem ja także,
odrobinę też po arnaucku;
więc przewiodę dzieci przez Kosowo.
Całe wojsko tureckie przejść muszę
zanim wroga mojego wynajdę,

(*) Dzieci, według naszego wyobrażenia, jest wyrazem wcale nie stosownym dla mężów dorosłych, dziewięciu Jugowiczów; lecz u ludu serbskiego wyrazem „djeca“ dotychczas nazywają wszystkich młodszych od ojca rodziny, nie wyłączając nawet jego własnéj żony. — (**) Naczelnik, dowódca hufca.

tego turka, zbója (*) Włach-Aliję,
co mi porwał moją lubę wierną.
Niechże szwagry potrudzą się dla mnie,
bo sam, teściu, łatwo mógłbym zginąć,
lecz przy szwagrach zginąć ja nie mogę,
ani dam się nawet okaleczyć".

Posłyszawszy to Jug Bogdan stary,
zapłonął Jug, jakby płomień żywy
i do zięcia Strachiń-bana rzecze:
„Strachiń-banie, zięciu ty mój miły!
widzę dzisiaj, że rozumu nie masz,
gdy mi synów mych dziewięciu żądasz,
byś mi dzieci powiódł na Kosowo,
na Kosowo pod tureckie miecze.
O tém zięciu ani mowy więcéj!
Nie dam dzieci wodzić na Kosowo,
choćbym córki nie miał już oglądać.
Zięciu miły, dzielny Strachiń-banie!
Czemu żeś się tak bardzo zatroskał?
Wiész-li zięciu,—niech cię biéda nie zna,—
niechby ona jednę noc spędziła
z nim w namiocie,—tylko jedną nockę,—
to nie może już ci zostać miłą.
Bóg ich zabíj! przeklęta to sprawa:
ona woli jego dziś niż ciebie;
niechże zginie, niech ją diabeł porwie!
Ja cię z lepszą tu ożenię lubą,
z tobą będę chłodne winko spijać
i na wieki będziem przyjaciółmi;
lecz nie dam ci dzieci na Kosowo".

Wspłonął na to ban, jak ogień żywy;
a z téj żółci i srogiego żalu
nie chce nawet na sługę zawołać,
o koniuchu ani już pomyśli,
lecz do stajni sam po siwka skoczył.
A jakże go sam osiodłał gracko,
jak popręgi mocno mu podciągnął!
Okiełznał go wędzidłem stalowém
i przed dom go wywiódł na podwórzec,
ku pieńkowi z białego kamienia (**)
i rzucił się na grzbiet swego siwka.
Spojrzał potém na swych dziewięć szwagrów,

(*) W oryginale „silna Vlah-Aliju", tj. mocnego, potężnego; tutaj wszakże i daléj w ustach Strachinicza tłómaczę przez zbój, jako wyraz wierniéj i dobitniéj oznaczający siłę brutalną nienawistnego wroga, przeciw któréj występuje Strachinicz. — (**) Z którego się wsiada na konia.

a szwagrowie patrzą w ziemię czarną (*);
spojrzał także na szwagra swéj żony,
Nemanicza, młodzika jakiegoś,
a Nemanicz w czarną ziemię patrzy.
Gdy z nim wino i wódkę pijali,
każdy z nich się junactwem przechwalał,
każdy chlubił się i klął na Boga:
„miłujemy cię Strachinicz-banie
więcéj niżli całą ziemię naszą“;
a dziś, patrzaj, w nieszczęśliwéj doli
ban żadnego przyjaciela nie ma!
Boć nie żarty to, pójść na Kosowo!

Ban poznawszy, że przyjaciół nie ma.
sam się puścił Kruszewackiém polem.
Wyjechawszy już w szerokie pole,
obejrzał się na Kruszewac biały,
czy szwagrowie się téż nie namyślą,
czy nad szwagrem się téż nie użalą?
Gdy się ujrzał w dzisiejszéj potrzebie,
że nikogo przyjacielem nie ma,
wówczas wspomniał i przypomniał sobie
o swym charcie, lotnym Karamanie, ;
co mu milszym był nad siwka nawet
więc zawołał nań z białego gardła.
Charcik biedny, zapomniany w stajni,
posłyszawszy głos pański, poskoczył
i wśród pola wnet dogonił siwka.
Poskakuje przy siwoszu charcik,
aż obróża złota na nim brząka.
Lubując się nim, ban ducha nabrał.

Jedzie daléj ban na koniu siwym,
mija pola i płoniny mija,
aż jak stanął na Kosowém polu
i moc wojska ujrzał na Kosowie,
ban na razie zatrwożył się nieco;
lecz przyzwawszy Boga prawdziwego,
wprost się puścił między hordy Turków.
Ban rozjeżdża po Kosowém polu,
rozjeżdża ban na wsze cztery strony,
poszukując zbója Włach-Aliję.
lecz go nigdzie napotkać nie może.
Spuścił się ban ku wodzie Sitnicy
I natrafił tam na dziwo jedne (**):

(*) „W czarną ziemię patrzą“, jest wyrażeniem obrazowém bardzo pospolitém w pieśniach serbskich, zamiast spuścił oczy ze wstydu lub bojaźni. — (**) Chociaż to, co się natychmiast opisuje, żadnym dziwem nie jest, umyślnie przełożyłem dosłownie wyrażenie oryginału, jako wzór przesadnego stylu pieśniarskiego w serbskiéj poezyi ludowéj.

po nad brzegiem téj wody Sitnicy
jakiś namiot zielony tam stoi
i szeroko rozsiadł się na polu.
Na namiocie błyszczy jabłko złote
i świeci się jak żarzące słońce;
przed namiotem dzida w ziemię wbita,
a u dzidy wrony koń uwiązan,
głową raz wraz torbę z owsem miota,
grzebiąc nogą, to lewą to prawą.
Ban Strachinicz, kiedy to obaczył,
jął miarkować i tak się domyślać,
czy nie Włacha Aliji to namiot?
Więc na siwka poskoczywszy naprzód,
zrzucił junak z za ramienia dzidę,
odchylił nią połę od namiotu
i zagląda, kto tam jest w namiocie?
Aż to nie był ów zbój Włach-Alija,
tylko siedział jakiś derwisz stary,
z brodą białą do samego pasa.
Z nim nikogo nie ma pod namiotem,
bo biédakiem jest nieszczęsny derwisz.
Turczyn winem raczy się z puhara,
sam nalewa i sam na sam pije.
Poczerwieniał derwisz aż po oczy.

Skoro go ban Strachinicz obaczył,
po turecku pozdrowił selamem.
Derwisz pjaném mierząc go spojrzeniem,
złowrogie mu powitanie bąknął:
„bodajś zdrów był, dzielny Strachiń-banie
z małéj Bańskiéj około Kosowa!“
Ban zapłonął, przerażony srodze,
po turecku jednak odpowiedział:
„hej derwiszu,—biada twojéj matce!
po co pjesz, na co się tak spijasz,
że aż pjany szpetne rzeczy pleciesz
i prawego Turczyna zwiesz giaurem?
Co ty bajesz o jakimś tam banie?
Nie jestem ja banem Strachiniczem,
tylkom carski mołojec prawdziwy.
Luźne konie carskie się zerwały
i rozbiegły się po całém wojsku,
więc mołojcy, rzucili się żwawo
i carowi pierzchłe konie łowim.
Gdybym ja przed carem lub wezyrem
twoje własne chciał powtórzyć słowa.
to choć stary, skosztowałbyś biédy“.
Derwisz się na całe gardło rozśmiał:
„hej mołojcze, banie Strachiniczu!
wiész co banie?—niech cię bieda nie zna!—

gdybym cię dziś na Golecz-płoninie
spotkał nawet po środku wojsk carskich,
tobym poznał wnet ciebie i siwka
i twojego charta Karamana,
milszego ci nawet nad siwosza.
Wiész co banie z małéj Bańskiéj ziemi?
poznaję cię po twém własném czole,
a pod czołem po parze twych oczu
i poznaję cię po wąsach czarnych.
Wiesz-li banie?—niech cię licho nie zna!—
Raz w mém życiu popadłem w niewolę:
pandury mnie twoje pochwyciły
nad Sucharą, w górze na płoninie
i gdy w twoje oddali mię ręce,
tyś mnie wrzucił na dno do ciemnicy.
Tam zamknięty, cierpiałem w niewoli,
biédny więzień, przez dziewięć lat całych.
Dziewięć przeszło, dziesiąty rok nadszedł;
wówczas, banie, tyś się ulitował.
przywołałeś Rada, stróża więźniów,
kazałeś mu ciemnicę otworzyć
i do siebie przywieść mnie w podwórzec.
Pamiętasz-li, banie Strachiniczu,
jakeś ty mnie wówczas dopytywał:
„„nędzny rabie mój, turecka żmijo,
co przepadasz tu w mojéj ciemnicy!
czybyś nie mógł wykupić się, rabie?"“
Tyś mię pytał, a jam prawdę wyznał:
„„mógłbym ci się z żywotem wykupić,
gdybym dostał się do mego domu,
w ojcowiznę, kędym się urodził.
Mam ci ja tam i gotówki nieco,
majętności mnogie i dzierżawy,
to mógłbym ci zdobyć się na okup;
lecz ty, banie, wierzyć mi nie zechcesz
i nie puścisz do białego dworu (*).
Dam ci za się zastaw najpewniejszy:
jednym będzie sam Bóg nasz prawdziwy,
drugim będzie przysięga ma święta,
że ci okup sam przyniosę wiernie"“.
A tyś, banie, dał mi wówczas wiarę
i puściłeś do białego dworu
w ojcowiznę, gdziem się był narodził.
Gdym do biednéj ojcowizny wrócił,
widzę, sroga ją przygniotła klęska:
na me dwory, kędym się urodził,
na me dwory zaraza napadła,
wymorzyła co męzkie i żeńskie,

(*) „Dwór biały" i „dwory białe" używa się stale w pieśniach serbskich, zamiast dom.

przy ognisku żywéj duszy nie ma;
dworzy mi się w pustki obróciły,
pustką stojąc w gruzy się rozpadły,
a na gruzach dzikie bzy porosły.
Com miał jakie dobro i dzierżawy,
rozszarpały to w dziedzictwo turki.
Kiedym ujrzał moje dwory w gruzach,
sam bez grosza i bez przyjaciela,
pomyślawszy, na jednom się ważył:
pochwyciłem ja pocztowe konie
i ruszyłem do Jedrenu grodu,
do caram się udał i wezyra.
Widzi wezyr i carowi doniósł,
co za junak jestem do majdanu;
więc odziały mnie wezyry carskie,
odziano mnie i namiot mi dano.
Car darował wrońca od majdanu
i broń świetną ze swojéj zbrojowni;
zapisały mnie wezyry carskie
na wojaka carskiego na wieki.
Ty zaś banie pewno dziś przychodzisz
o swój dług się upominać u mnie,
lecz ja, banie, ni denara nie mam.
Strachiniczu,—bodajś biedę spotkał!—
po co wlazłeś między wojska carskie
na Kosowo, by tu marnie zginąć?"

Widzi to ban i derwisza poznał,
więc z siwosza, swego konia, zsiada
i starego derwisza obejmie:
„Bogiem bracie, ty derwiszu stary!
cały dług mój chętnie ci daruję.
Nie żądam ja, bracie, ni denara;
nie mojego długu ja tu szukam,
tylko szukam zbója Włach-Aliji,
który dwory moje w gruzy zburzył,
który lubę moję sobie porwał.
pokażże mi, ty derwiszu stary,
Pokażże mi tu mojego wroga;
przytém jeszcze raz ciebie bratymię,
nie wydaj mnie tureckiemu wojsku,
by mnie Turcy żywcem nie schwytali".
Na to derwisz Bogiem się zaklina:
„Sokole ty, banie Strachiniczu!
mocniejszą jest wiara ma od skały:
gdybyś dzisiaj dobywszy szablicy,
wyrąbał nią połowę wojsk carskich,
to i wtedy ciebie bym nie zdradził
i twojego chleba nie podeptał.
Kiedy więźniem twym w ciemnicy byłem,

tyś mnie dosyć swém napoił winem
i swym białym chlebem nakarmiłeś
i słoneczkiem odegrzéwał często,
gdyś swobodę dawał mi na wiarę,
ani razu wiarym ci nie złamał;
długu-m, prawda, nie spłacił,—bom nie mógł.
Więc odemnie niczego się nie bój.
A co widziéć chciałeś i mnie pytasz
o możnego Turka Włach-Aliję,
to on biały namiot swój rozłożył
na Goleczu, wysokiéj płoninie.
Lecz ci wiernie radzić będę, banie:
wsiądź na siwka i uchodź z Kosowa,
bo na pewno zginiesz tutaj marnie.
Sobie tutaj za nadto nie ufaj,
ni ramieniu, ni ostréj szablicy,
ani swojéj téj zatrutéj kopii.
Na płoninę chce ci się, do Turka?
dostaniesz się,—lecz okrutnie wyjdziesz:
razem z koniem i orężem twoim
żywego cię do rąk tam pochwycą,
tuż żywemu ręce ci połamią
i żywemu wyłupią ci oczy".
Roześmiał się na to ban Strachinicz:
„Bogiem bracie, ty derwiszu stary!
nie użalaj się nademną, bracie,
tylko wojskom tureckim nie wydaj".
Turczyn mu się powtórnie zaklina:
„Wysłuchaj mnie, dzielny Strachiń-banie!
mocniejsza ma wiara od kamienia:
gdybyś dzisiaj, rozjuszywszy siwka,
szablicę swą ostrą tuż wydobył
i pół wojska carskiego nią wysiekł,
to i wtedy ciebie bym nie zdradził
i Turkom cię nie wydałbym za nic!"
Po rozmowie ban odjeżdża rano
i z siwosza zwróciwszy się, pyta:
„o mój bracie, staruszku derwiszu!
poisz konia rano i wieczorem,
poisz konia na wodzie Sitnicy,
więc mi poradź i ukaż po prawdzie
gdzie są brody na téj wodzie zimnéj,
żebym konia mego nie utopił?"
A derwisz mu po prawdzie odrzecze:
„Strachiń-banie, serbski ty sokole!
dla twojego konia i junactwa
tam bród wszędy, gdzie nad wodą staniesz".

Ban się kopnął i w bród wodę przebył,
potém ruszył na swym koniu siwym,

ruszył prosto na Golecz-płoninę.
Jedzie dołem, a słoneczko z góry
całe pole Kosowo oświeca
i oświeca całe wojska carskie.
Lecz patrzcie-no zbója Włach-Alija!
Przez całą noc Strachinicza lubę
na płoninie pod namiotem pieści.
Ale Turczyn brzydki zwyczaj miewał,
lubił zaspać każdego poranka,
choć już słońce z wysoka dogrzéwa.
Zamknął oczy i śpi sobie słodko.
Upodobał sobie nową brankę,
brankę miłą, Strachinicza lubę,
na kolanach jéj więc głowę złożył.
Ona tuli mocarza Aliję
i przez poły otwarte namiota
rozgląda się po Kosowém polu,
po tureckich rozgląda się wojskach.
Tu namioty, jakie są, przegląda,
tam się w konia lub w junaka wpatrzy;
naraz oczy gdzie indziéj zwróciła
i spojrzawszy w dół Golecz-płoniny,
obaczyła junaka na koniu.
Wpatrzywszy się i dobrze przyjrzawszy,
wnet Turczyna dłonią uderzyła,
uderzyła go w policzek prawy,
uderzyła i tak nań zawoła:
„*Gospodaru*, mocny Włach-Alijo!
wstawaj żywo,—bodajś nie dźwigł głowy!
prędko pasem wzorzystym się opasz,
chwytaj na się oręże twe jasne,
bo nadjeżdża ku nam ban Strachinicz,
więc i tobie on tu zetnie głowę,
i mnie razem oczy powydziera“.
Spłonął Turczyn, jako ogień żywy,
spłonął Turczyn, lecz rzuciwszy okiem,
Turczysko się na głos roześmiało:
„duszko moja, Strachinicza lubo!
jakżeż się ty zlękłaś tego właszka!
jakiegoż on strachu ci napędził!
Czyż ci przy mnie i w Jedrenie nawet
ban się będzie jeszcze przewidywał?
Toż to nie jest żaden ban Strachinicz,
tylko jakiś delibasza carski.—
Car go z czémeś do mnie tu przysyła,
albo sam car, albo wezyr Mehmed.
Car mnie pewno do pokory wzywa,
bym mu wojska jego nie rozpędził.
I wezyry carskie snać się boją,
bym szablicą czasem ich nie skropił.

Lecz ty patrzaj tylko, co to będzie
i niczego nie lękaj się duszko.
Jak wyciągnę ja mą szablę ostrą
i carskiego utnę delibaszę,
to drugiego niech już do mnie nie szle."
Lecz mu luba Strachinowa swoje:
„*Gospodaru*, silny Włach-Alijo!
czyż nie widzisz? bodaj ci wypadły!
toż to nie jest ci mołojec carski,
lecz to mąż mój jest, sam ban Strachinicz.
Poznaję go dobrze ja po czole
i po oczach obojgu pod czołem
i po własnych jego wąsach czarnych;
poznaję go po tym siwku w jabłka
i po płowym charcie Karamanie.
Nie żartuj-że z głową, *gospodaru*!"

Gdy to słyszy Turek Włach-Alija,
aż osłupiał Turczyn z przerażenia;
więc się zerwał na lekkie swe nogi,
prędko pasem wzorzystym opasał,
puginały ostre za pas włożył
i szablicę przypasał do boku,
a na wrońca raz po raz pogląda.
A tymczasem i ban tuż się zjawia.
Mądry był ban, lecz tu sprawę popsuł:
ani rano dzień-dobry nie rzecze,
ni tureckim pozdrowił selamem,
tylko szpetnie lży go temi słowy:
„A tuś mi ty? bękarcie ty jeden!
ty, bękarcie, podły chanie carski!
A czyjeś to poburzył ty dwory?
a komuś to niewolników pobrał?
czyją lubę pieścisz pod namiotem?
Wychodźże mi na majdan junacki!"
Skoczył Turczyn, jakby opętany;
raz pokroczył i już jest przy koniu,
znów krok zrobił — już na koniu siedzi
i oba mu cugle ręką ściągnał.

Lecz Strachinicz ban już nie wytrzymał,
więc na Turka pierwszy siwkiem natarł
i bojową dzidę w niego puścił.
Ale junak na junaka trafił:
Włach-Alija rękę wprzód wyciągnął
i schwyciwszy rzuconą nań dzidę,
tak do bana z urąganiem rzecze:
„bękarcie ty, banie Strachiniczu!
cóż to, właszku, ty sobie myślałeś,

że to tobie Szumadijskie (*) baby
krzykiem tutaj straszyć i rozganiać?
Masz ty sprawę z silnym Włach-Aliją,
co ma cara za nic i wezyra,
a to wojsko carskie ze wszech ziemi,
całe jak jest, tyle u mnie znaczy,
ile mrowie to w zielonéj trawie.
A tyś ze mną na majdan się porwał!“
To mu rzekłszy, dzidę w niego puścił,
chcąc od razu srogi cios mu zadać.
Lecz Bóg pomógł Strachinicz-banowi,
że miał siwka konia od majdanu;
więc gdy dzida świsnęła w płoninie,
sokół siwek przypadł na kolana,
dzida nad nim przeleciała górą
i o kamień zimny uderzywszy,
rozstrzaskała się na trzy kawały:
tuż przy jabłku (**) i przy tylnym końcu.

Po skruszeniu téj dzidy bojowéj,
buzdygany pierzaste porwali:
jak uderzył silny Włach-Alija,
jak uderzył bana Strachinicza,
to go z siodła wysadził odrazu
i powalił aż na uszy siwka.
Lecz Bóg chronił bana Strachinicza:
ma on siwka, konia od majdanu,
jakiego dziś żaden Serbin nie ma,
ani Serbin, ani Turczyn żaden.
Jak w tył głową rzucił z całéj siły,
tak znów pana na siodle usadził.
Jak uderzy teraz ban Strachinicz
złego smoka, zbója Włach-Aliję,
choć go z siodła wysadzić nie zdołał,
lecz z nim wrońca po same kolana
w ziemię wtłoczył na wsze cztéry nogi.
Połamali piórne buzdygany,
połamali i poodrzucali,
a za ostre pochwycili szable,
by junacki majdan daléj dzielić.

Wartoż widzieć bana Strachinicza!
ma u pasa, powiadają, szablę,
którą kuło dwóch kowali naraz,
dwóch kowali i dwóch czeladników
od niedzieli do drugiéj niedzieli.
Z czystéj stali szablę mu ukuli

(*) Szumadya, okolica Serbii między rz. Kołubarą i Morawą. — (**) Gałka po środku rzewca.

i straszliwe wyciągnęli ostrze.
Turczyn zaciął, a ban się zasłaniał;
swoją szablą jego szablę odbił
i odrazu przeciął ją na poły.
Spostrzegł to ban i tém ucieszony,
stąd i z owąd naskakuje wściekle,
żeby prędzéj głowę mu usiekać,
lub choć rękę skaleczyć Turkowi.
Ale junak na junaka trafił;
bo swéj głowy Turek nie dał dotknąć,
ani ręki nie dał sobie zranić,
tak się bronił swą połówką szabli:
tą połówką wywijając zręcznie,
kark zasłania od srogiego ciosu
i zarazem szablę bana łupie,
że wciąż kawał po kawałku pryskał.
Obie szable zsiekali do szczętu,
aż po same rękojeści prawie.

Więc te szczątki cisnąwszy od siebie,
zeskoczyli oba z dziarskich koni
i za białe porwawszy się gardła,
tak się wodzą dwa smoki okrutne
po Goleczu, po równéj płoninie.
Wodzili się letni dzień do pół dnia,
aż się w końcu Turczyn pienić począł
pianą białą, jak śnieg nowy w lesie,
a Strachinicz białą zakrwawioną;
obryzgał nią odzienie na piersiach,
i zabroczył buty swe obadwa.

Dokuczyła walka ta banowi,
więc zawoła, szamocąc się z Turkiem:
„Lubo moja, niech cię Bóg zabije!
'kiego licha wyglądasz w płoninie?
porwij lepiéj jaki kawał szabli
i przebij nim mnie albo Turczyna,
wybierz lubo, kogo sobie wolisz.“
Na to Turczyn wściekle się odezwie:
„duszko moja, Strachinicza lubo!
nie przebijaj mnie, lecz Strachinicza,
wszak mu nigdy miłą już nie będziesz;
on do śmierci będzie ci wyrzucać,
wypominać rano i wieczorem,
żeś ty u mnie była pod namiotem.
Mnie zaś miłą zostaniesz na wieki:
zawiozę cię do Jedrena grodu,
wyznaczę ci służebnic trzydzieści
do trzymania pół twych i rękawów,
karmić będę miodem i cukrami,

dukatami całą cię obszyję
z wiérzchu głowy do zielonéj trawy:
przebij tylko bana Strachinicza!“
Rzecz to łatwa, przekupić niewiastę:
więc skoczyła lekko, jak szalona
i znalazłszy ułamek szablicy,
obwinęła haftowaną chustką,
by swéj rączki białéj nie skaleczyć
i lata z nim z téj i z owéj strony.
Szczędzi głowę Turka Włach-Aliji,
a ugodzi swego gospodara,
gospodara, Strachinicza bana
w samo ciemię, u pokrętnéj (*) kity,
a przez zawój białego turbana.
Przecięła mu kitę pozłocistą,
przecięła mu cały turban biały
i zraniła głowę junakowi.
Krew junacka na twarz mu chlusnęła,
o mało mu oczu nie zaleje.

Przeraził się mocno ban Strachinicz,
że ma zginąć marnie, jak szaleniec.
Lecz w tém sobie naraz coś przypomniał
i na całe gardło białe krzyknął
na swojego charta Karamana,
tak, jak go był na łowach nauczył.
Raz i drugi krzyknął ban na niego,
aż chart skoczył i w lot dosadziwszy,
lubę bana zębami uchwycił.
Że niewiasta każda jest lękliwą,
lękliwszą jest każda od szczenięcia,
więc kęs szabli odrzuciwszy w trawę,
wrzasła strasznie, aż daleko słychać,
porwie charta płowego za uszy
i szamoce się z nim po płoninie.
Turczynowi oczy chcą wyskoczyć,
tak kochanki żal mu opadniętéj,
więc tam patrzy, co się téż z nią stanie?
Wtém ban w sobie nową siłę poczuł,
nową siłę i serce junackie;
więc zatoczy w tę i w drugą stronę,
aż Turczyna w końcu z nóg obalił.
Wtedy ban już tak był rozjuszony,
że nie szukał żadnego oręża,
tylko gardło Turkowi naprężył
i w gardło mu wpiwszy się zębami,
zagryzł go tak, jak wilk jagnię zgryza.

(*) „Čekrk-čelenka“, ozdoba często wspominana w pieśniach junackich, jest to kita u kołpaka, zwykle złocista, osadzona tak, że w swéj osadzie kręci się jak chorągiewka.

Powstał ban i całém gardłem krzyknie
na płowego charta, nawołując,
aż wyzwolił od niego swą lubę.
Rzuciła się luba po płoninie
i do Turków ucieka przed banem;
lecz jéj nie dał uciec ban Strachinicz,
tuż pochwycił ją za białą rękę,
i powrócił z nią do swego siwka.
Sam na barki wskoczył siwoszowi,
potém lubę wciągnął po za siebie
i popędził ban, w bok się rzuciwszy,
potém w poprzek tędy i owędy,
aż wywinął się z pomiędzy Turków
i oparł się aż w Kruszewcu równym,
aż w Kruszewcu, w swojéj teściowiźnie.

Zdala ujrzal go Jug Bogdan stary,
a spotkało dziewięć szwagrów miłych.
Ręce szerzą (*), w twarze się całują,
o dobre się wypytali zdrowie.
A gdy stary Jug Bogdan obaczył
kitę zięcia i zranioną głowę,
łzami zalał swe oblicze pańskie:
„Bodajś wesół był w naszéj dziedzinie!
cóż to? i car turecki u siebie
ma, jak widzę, nie lada junaka,
co potrafił zranić mego zięcia,
któremu dziś równego nie znaleść.
Przeraziło to i szwagrów również.
Lecz Strachinicz ban przemówił na to:
„nie martw się ty napróżno, mój teściu,
ani wy się lękajcie, szwagrowie;
nie ma tam car takiego junaka,
coby mógł mnie pokonać lub zranić.
Powiem ja wam przez kogo zraniony,
i czyja mnie ugodziła ręka:
Oto kiedym majdan dzielił z Turkiem,
o mój teściu, stary Jug Bogdanie,
wtedy luba moja mnie zraniła,
moja luba, twoja córka miła,
nie mnie broniąc lecz tego Turczyna.“
Wspłonął stary Jug, jak płomień żywy
i krzyknął już na dziewięciu synów:

(*) To jest *obejmują w otwarte ramiona*. Chociaż nie gładko po polsku, lecz umyślnie przetłómaczone są dosłownie te dwa wiersze, dla oddania w całém oryginalném brzmieniu tego obrazu, stereotypowo powtarzanego często w pieśniach serbskich:

„ruke šire, u lica se ljube,
za lako se upitaju zdravlje.“

„dziewięć nożów zaraz mi pochwyćcie
i w kawałki rozpłatajcie sukę!"
Silni chłopcy posłuchali ojca
i rzucili się na swoję siostrę;
lecz Strachinicz ban im nie pozwolił
i do szwagrów przemówił w te słowa:
„Szwagry moje, dziewięć Jugowiczów!
po co, bracia, tak się dziś hańbicie?
na kogoż to dobyliście noże?
Jeśliście wy tacy dziś junacy,
to gdzie noże mieliście i szable,
gdym was z sobą wzywał na Kosowo,
by na Turkach junactwo pokazać
i w potrzebie stanąć mi na pomoc?
Nie dam tedy wam dziś siostry karać.
Przecież bez was mógłbym ją sam zgładzić,
leczbym przez to zgładził teściowiznę (*)
i nie miałbym z kim się wina napić;
więc ja wolę przebaczyć méj lubie."
Mało dziś jest podobnych junaków,
jakim niegdyś był ów ban Strachinicz!

(*) T. j. związek z teściem i jego rodziną.





PIOTR JÓZEF PROUDHON.

MUTUALIŚCI, FEDERALIŚCI I T. D.

(Dokończenie.)

II.

Zasadnicza myśl Proudhona.—Wzajemność.—Umowa.—Z prawa do pracy wynika prawo do kredytu.—Organizacya kredytu.—Taniość kredytu nie rozwięzuje kwestyi społecznéj. Scentralizowanie i uprzystępnienie kredytu.—Organizacya wymiany.—Uwagi Modola.—Pieniądze.—Rewolucya.—Stowarzyszenie.—Ekonomizm i socyalizm.—Własność ziemska. Równowaga społeczna.—Równość.—Mierny stan jest stanem normalnym.—Mutualiści francuscy.—Ruch spółdzielczy.—Mutualiści na kongresach Stowarzyszenia Międzynarodowego i w komunie paryskiéj.—Pisarze mutualistyczni.

Wśród rozmaitych sprzeczności i niekonsekwencyi, w pomysłach ekonomicznych Proudhona snuje się wszakże jedna myśl, która pod rozmaitemi nazwami i formami wynurza się prawie we wszystkich jego dziełach. Jest to myśl wzajemności (*mutualité* od *mutuum*), którą najlepiéj uwydatnił w swojém dziele: „*Contradictions économiques*“. Autor widzi w społeczeństwie same sprzeczności, które można pogodzić formułą zrównania. Formułą tą jest teorya wzajemności, „synteza dwóch idei: własności i spólności; synteza równie dawna jak pierwiastki ją składające, ponieważ niczém innéni nie jest, jeno powrotem społeczeństwa, przez labirynt pomysłów i systematów, do praktyki pierwotnéj, jeno wynikiem tysiącoletniego rozmyślania nad zasadniczém założeniem, A równa się A“ (1).

Wzajemna wymiana usług powinna być dobrowolna, a więc ma się opierać na umowie, która powinna być fundamentem organizacyi, tak ekonomicznéj jak politycznéj. Proudhon więc, pomimo że sponiewierał Rousseau'a, bierze dwie zasadnicze jego myśli:

---

(1) Système des contradictions économiques. II. str. 528.

umowę i federacyą, która jest także przejawem tylko umowy. Umowa stała się kamieniem węgielnym wszelkich poglądów Proudhona. Na jéj podstawie—jak widzieliśmy—wyrasta najwyższa jego idea: *Sprawiedliwość*.

Podjąwszy—jak sam powiada—dzieło Saint-Simona, Fourier'a, L. Blanc'a, stara się wyciągnąć z ich pracy ostateczny wniosek. Formuła L. Blanc'a: *organizacya pracy* zamieniła się w prostszą: *prawo do pracy*. Niech więc ona będzie punktem wyjścia. Prawo do pracy koniecznie przypuszcza poprzednie prawo do używania *narzędzi pracy*, bez których robotnik nie może pracować. Same jednak narzędzia pracy nie wystarczają. Ażeby robotnik mógł pracować, potrzebuje on jeszcze *materyału*. Prawo do pracy znaczy więc także prawo do materyału, potrzebnego do pracy. Lecz jakaż byłaby dla robotnika korzyść z pracy, gdyby miał tylko prawo do części produktu wypracowanego przez siebie, nie zaś do całości jego? Prawo do pracy prowadzi więc koniecznie do prawa posiadania w całości wytworu swéj pracy. Robotnik jednak, dla utrzymania swego, potrzebuje rozmaitych przedmiotów; musi więc za swój produkt otrzymywać wytwory innéj pracy. Bez możności wymiany, prawo do pracy byłoby fikcyą, złudzeniem. „Zanim więc robotnik mógłby korzystać z wytworu swéj pracy, otrzymuje on—powiada Proudhon—od społeczeństwa: narzędzia pracy, materyał potrzebny, własność produktu, wymianę, które mu ono poręcza, daje naprzód, czyli—mówiąc językiem technicznym—kredytuje. Wyiązuje się z tego następująca formuła:

Prawo do pracy = { Prawo do narzędzi
Prawo do materyału
Prawo do wytworu
Prawo do wymiany } = Prawo do kredytu" (1).

Daléj prawo do pracy pociąga za sobą obowiązek pracy, a więc również prawo do kredytu—obowiązek kredytu, a wynikiem tego jest *wzajemność kredytu* (*réciprocité du crédit*). Kredyt w stosunkach prywatnych przejawia się jako pożyczka; w stosunkach społecznych—jako wzajemność, wymiana.

„Kredyt w narodzie, który oddaje się pracy, jest to samo co obieg krwi w zwierzęciu; jest organem odżywiania się, życiem samém. Ustawać on nie może, bez niebezpieczeństwa dla ciała społecznego. Jeżeli prawodawcom, po obaleniu praw feudalnych i zniwelowaniu klas, należałoby zwrócić uwagę na jaką instytucyą przed wszystkiemi innemi, to z pewnością na kredyt" (2). Dobra organi-

(1) T. XVIII. str. 36 i 37. (2) Idée génerale de la révolution, str. 49 i 50.

zacya kredytu jest to kardynalna, najgłówniejsza reforma społeczna, która sama sprowadzi dobrą organizacyą wytwarzania i spożycia. Z początku Proudhon mówił o możności bezpłatnego i dostępnego dla wszystkich kredytu; następnie jednak, przeszedłszy próbę banku ludowego, mówił o kredycie tylko możliwie najtańszym i rozróżniał kredyt osobisty od rzeczowego.

Niezawodnie kredyt można uczynić tańszym i przystępniejszym; niezawodnie, im kredyt tańszy, tém bardziéj zmniejsza lichwę, tém bardziéj sprzyja produkcyi;—ale sama taniość kredytu nie jest w stanie ani zapewnić wszystkim zarobku ani zapobiedz wyzyskiwaniu. Takie kasy zaliczkowe Schulze-Delitsch'a, takie związki pożyczkowe Raiffeisen'a, chociaż obniżyły ogromnie procent od pożyczki, chociaż ogarnęły wielką liczbę osób (1) nie osiągnęły celu oczekiwanego przez Proudhona od kredytu.

W jaki sposób Proudhon mniemał zorganizować kredyt, ażeby był on najtańszy i najprzystępniejszy dla wszystkich? W „*Solution du problème social*" uważał za pierwszy, niezbędny warunek takiego kredytu jego bezpośredniość i powszechność. W tym celu zalecał on w banku, którego akcyonaryuszami byliby wszyscy wytwórcy, a więc całe społeczeństwo, scentralizować wszystkie operacye handlowe; tj. weksle i trety, przedstawiające wytwory już sprzedane, zamieniałyby się w nim na obligacye papierowe odpowiedniéj wartości. W ten sposób można będzie obniżyć stopę procentową do ½ lub ¼ centima tj. pobierać ściśle taką kwotę, jaka okaże się potrzebną dla opłaty kosztów administracyi i zużycia metalów. Byłby to początek radykalnéj zmiany stosunków ekonomicznych. „W tym dniu, w którym zadekretujecie zdemokratyzowanie banku i zniżenie procentu — powiada autor — wejdziecie na drogę rewolucyjną" (2). Czy jednak istotnie tak by było? Pomijając niebezpieczeństwa, grożące istnieniu takiego banku, a które zmuszają Proudhona na samym już wstępie do orzeczenia, że będą przyjmowane papiery handlowe tylko pierwszéj watości tj. pewne i wypłacalne, wypada zauważyć, że taki bank przyniósłby największą korzyść klasie kupieckiéj, daléj zakładom wytwórczym (fabrykom, warsztatom itd.), ale prawie żadnéj robotnikom, którzy prócz własnéj pracy nic do sprzedania nie mają. Ułatwienie wymiany przytém nie zapobiegłoby nadprodukcyi w pewnych gałęziach przemysłu, a więc zawieszaniu pracy i obniżaniu zarobku.

---

(1) Podług sprawozdania z 1885 r., kasy zaliczkowe w Niemczech doszły do liczby 3224 i miały członków 451800. — (2) Ideé. str. 201.

Ułatwienie wymiany przedewszystkiém wyszłoby na korzyść téj klasy i tego zawodu, które u socyalistów niemal powszechnie nie miały względów. Uznawszy wymianę za najważniejszy czynnik ekonomiczny, Proudhon stara się podnieść także znaczenie społeczne handlu i stanu kupieckiego. Handel—podług niego—nie tylko jest wymianą wytworów, ale sam jest wytwórcą bogactwa. W obecnych jednak stosunkach wzbogaca więcéj jednostki, niż społeczeństwo. Przyczyną tego dowolność cen, frymarczenie, ażiotarstwo. Pod nazwą *ażio* Proudhon rozumie zysk, przewyższający koszta wytworu i zarobek prawowity kupca. Ażio, równoznaczne ze złodziejstwem, jest następstwem niepewności i nierówności w stosunkach handlowych. Zaprowadzenie równości w handlu przyczyniłoby się ogromnie do rozwoju społecznego: „nastąpiłby olbrzymi postęp w sprawie zrównania majątkowego" (1).

Lecz Proudhon czuł, że wymiana w takim razie musi zmienić swój charakter: zamiast wymiany rzeczowéj, wymiany przedmiotów, powinna ona stać się rzeczywistą wymianą usług, czyli raczéj pracy. Stoją temu na zawadzie dwa główne warunki: trudność ocenienia wartości pracy w wytworach wymiennych i samoistna wartość środka zamiennego, pieniędzy metalicznych. Gdyby na wytwór pewnego przedmiotu spożywczego składała się jedna osoba, lub przynajmniéj jedna kategorya osób, to dałaby się oznaczyć jego wartość, na podstawie użytéj pracy, chociaż nie bez ogromnéj trudności. Lecz rzecz przedstawia się bardziéj skomplikowaną. Zwykle wytwór, poszukiwany przez spożywcę, przechodził przez ręce kilku kategoryi wytwórców. Weźmy np. chleb. W każdym jego bochenku mieści się praca rolnika, młynarza i piekarza. Sprzedając chleb, piekarz bierze nie tylko wartość swojéj pracy, ale także wartość pracy młynarza i rolnika. Przy tém nagromadzeniu wartości, może sobie doliczać pewnę przewyżkę i prawdopodobnie ją dolicza. Jakże temu zapobiedz? Trzeba rozdzielić zawarte w jednym przedmiocie wartości pracy oddzielnych wytwórców, a to może się odbyć—zdaniem Proudhona—w następujący sposób. Rolnik, dostarczając zboże młynarzowi, kredytuje mu tylko poniesione przez siebie koszta rolnicze; młynarz kredytuje piekarzowi koszta tylko mléwa; piekarz kredytuje spożywcy koszta tylko pieczenia chleba. Spożywca płaci więc tylko za pracę piekarza. Pomijając to, że autor nie daje jasnego tłómaczenia, kto zapłaci za pracę młynarza i rolnika, wypada jeszcze zapytać, w jaki sposób rolnik zwróci sobie koszta kupna gruntu, inwentarza, narzędzi? Czy młynarz nic nie ma rachować so-

(1) De la Justice etc. I. str. 311.

bie za kupienie, lub wystawienie młyna? Kto zapłaci piekarzowi wydatki ogólne (*frais généraux*), połączone z pieczeniem chleba (urządzenie pieca, opał, światło itd.)? Idźmy daléj za wątkiem myśli naszego autora. Do piekarza przychodzi roznosiciel, kwituje go za wykonaną jego pracę (kwitować zawsze śmiało może, bo kwitu sam nie płaci), zabiera chleb i odnosi takowy do domu spożywców, którzy w ten sposób otrzymują chleb łatwiéj i taniéj, bo płacą tylko za pracę roznoszenia. Czy nie ułatwiłoby to licznym pasorzytom wyzyskiwanie społeczeństwa, z zachowaniem wszelkich pozorów wykonywania pracy? Projekt proudhonowski banku zamiennego, w porównaniu do stowarzyszenia pracy wymiennéj Owena, do angielskich *equitable-labour-exchange bazars*, które pochłonęły ogromne kapituły i pobankrutowały, przedstawia się jako mniéj racyonalny, więcéj skomplikowany i zgoła niepraktyczny. Sama myśl instytucyi zamiennéj, bez pośrednictwa pieniężnego, nie była—jak widzimy—nowa, a z listu Modola do Proudhona w maju r. 1848 pisanego, dowiadujemy się, że przemysłowcy francuscy nosili się także z podobnemi pomysłami. W liście Modola zawierają się bardzo słuszne uwagi. Instytucya zamienna, w rodzaju projektowanéj przez Proudhona, przyczyniłaby się ogromnie—zdaniem Modola—do rozszerzenia zakresu pracy, ale nie zapobiegłaby złym i zgubnym skutkom walki konkurencyjnéj; praca odbywałaby się zawsze na ślepo, a więc z mniejszą, lub większą zatratą korzyści, tak dla samego pracownika, jak dla społeczeństwa. O wiele praktyczniejszy od banku ludowego projekt przedstawił Proudhon w r. 1855; był to projekt „Towarzystwa wystawy nieustającéj“, które scentralizowałoby niejako cały handel krajowy.

Co do roli pieniędzy w stosunkach ekonomicznych, to Proudhon odmiennego był zdania w początkowych i w późniejszych swych badaniach. Z początku uznawał on konieczność pieniędzy; w późniejszym jednak czasie stanął w tym względzie na stanowisku socyalistyczném i przyszedł niemal do tego przekonania, że pieniądze metaliczne są główną przyczyną złego. Największym aktem wielkiéj rewolucyi francuskiéj—podług niego—był dekret Konwencyi z 10 listopada 1793 r., zaprowadzający kult rozumu; największym aktem przyszłéj rewolucyi ma być: „zdemonetyzowanie pieniędzy, ostatniego bożka Absolutu“ (1). Dzięki pieniądzom tylko i procentowi od nich pobieranemu, wytworzyła się fikcya p r o d u k c y j n o ś c i k a p i t a ł u. Hipoteza ta, znajdując poparcie w ustawach, prowadzi do tego, że połowa produktów społeczeństwa, pod nazwą

(1) De la Justice etc. II. str. 132.

renty, dzierżawy, czynszu, procentu, zysku, ażia itd., przechodzi nieustannie z rąk robotniczych do rąk kapitalistów. Są to swego rodzaju prawa feudalne, jakie nadaje własność swoim posiadaczom. „Otóż, twierdzimy—powiada Proudhon—że powszechne zniesienie praw własności, zapewniających panowanie, nastąpi samo przez się, powoli, bez wywłaszczania, bez boju, skoro tylko państwo, podejmując inicyatywę rewolucyi, rozpocznie swoję działalność od zniesienia procentu i od bezpłatnego zorganizowania obiegu i dyskonta“ (1). Czy zniesienie prawne procentu od pieniędzy nie otworzyłoby drogi lichwie bezprawnéj? Procent nie jest ściśle przywiązany do pieniędzy metalicznych; można brać odsetki także przy asygnatach, można pobierać je wreszcie w formie naturalnéj, jako dosypki, doléwki i wogóle wszelkiego rodzaju nadwyżki. Pieniężne dzisiejsze gospodarstwo przytém jest bądź co bądź wyższą formą od poprzedniego naturalnego. Usunąć pieniądze, bez ważnych organicznych zmian w ustroju ekonomicznym, byłoby to samo co cofnąć gospodarstwo na niższy poprzedni stopień rozwoju, zamiast posunięcia go na wyższy.

Wprawdzie—zdaniem Proudhona—najważniejszą rzeczą jest usuwać przeszkody, utworzone przez samychże ludzi, w tym celu ażeby rewolucya, która w jego pojmowaniu jest właściwie tém samém co rozwój, mogła się odbywać swobodnie. Rewolucya polega na tém, że niższy ustrój społeczny zamienia się zwolna na wyższy, doskonalszy. Porządek teokratyczny, czyli kapłański ustąpił miejsca porządkowi feudalnemu, czyli wojskowemu, czy téż rządowemu; wyższym porządkiem od tego ostatniego jest porządek industryalny, czyli ekonomiczny, albo równościowy. Przez porządek industryalny nie należy rozumiéć, ażeby zamiast panowania szlachty i duchowieństwa, miało nastąpić panowanie rolników, przemysłowców, przedsiębierców, właścicieli, robotników; właściwie jest to taka konstytucya społeczna, któréj podstawą, zamiast hierarchii władz, stanie się organizacya sił ekonomicznych.

Na czém polega organizacya sił ekonomicznych? Czy na organizacyi stowarzyszeń? Nie łatwo w tym względzie wyrozumiéć Proudhona. Raz oświadcza się on stanowczo przeciwko stowarzyszeniom, to znowu z wielką siłą przemawia za niemi. Stowarzyszenie—powiada—nie jest żadną siłą ekonomiczną, przeciwnie szkodzi rozwojowi ekonomicznemu, bo ogranicza wolność“ (2), bo praca

---

(1) T. XVIII. str. 178. — (2) W Manuel du Spéculateur à la Bourse (Cinquième édition. Paris. 1857), powiada: im człowiek mniéj stowarzyszony, tém swobodniejszy, a więc tém szczęśliwszy“. Str. 213.

tak samo jak miłość wzmacnia się i uświęca przez samotność i t. p. W dalszym jednak ciągu powiada, że tam, gdzie jest wielki podział pracy, gdzie praca gromadzi wielką liczbę robotników, stowarzyszenie jest rzeczą konieczną. W tym wypadku „stowarzyszenie, pod karą niemoralności, tyranii i kradzieży, wydaje mi się — powiada Proudhon — rzeczą zgoła konieczną i słuszną" (1). Sam pomysł stowarzyszeń—zdaniem jego— „wskazany jest przez wszystkie dążności epoki i przez najbardziéj autentyczne jéj objawy" (2); a przytoczywszy dla przykładu rozmaite stowarzyszenia, mówi daléj: „przykłady te wystarczą, ażeby pokazać umysłowo najmniéj przenikliwym, sumieniom najtrwożliwszym i najbardziéj uprzedzonym, że myśl ta już dojrzała" (3).

Liczne sprzeczności w dziełach Proudhona utrudniają jasne określenie jego stanowiska. Kiedy w r. 1849 począł występować w roli socyalisty „*Journal des débats*", opierając się na „Systemie sprzeczności", ogłosił artykuł p. t. „*Le socialisme jugé par M. Proudhon*", w którym przypomniał, że Proudhon sam potępił socyalizm. Cięcie było trafne. Silnie zraniony autor utworzył na poczekaniu nową teoryą, którą zasłaniał się od dalszych razów. Teorya ta dosyć dobrze charakteryzuje go. Ażeby zrozumiéć znaczenie rewolucyi — powiada — badałem wszystkie utopie społeczne, będące w tym czasie w obiegu. „Utopie te dzielą się w naturalny sposób na dwie wielkie klasy: jednę, która żąda wszystkiego dla jednostki, i którą nazwałem e k o n o m i z m e m; drugą, która żąda wszystkiego dla społeczeństwa, i którą nazywam „s o c y a l i z m e m, albo częściéj komunizmem. Starałem się — mówi daléj — wykazać, że utopie te, tak jedne jak drugie, są wyłączne i niewykonalne. „Starałem się je zniweczyć, jednę po drugiéj; utrzymywałem, że socyalizm, utopia spekulacyjna, przydatnym jest tylko jako protest, dobrym jest tylko po to, ażeby przy jego pomocy usunąć utopią rządową" (4).

Przeciw socyalizmowi pozytywnemu w przekonaniu Proudhona może najsilniéj przemawiało to, że znając dobrze usposobienie włościan francuskich, nie widział możności, by nowa doktryna znalazła pomiędzy nimi wielu wyznawców. Włościanie — mówił — stanowią i zawsze stanowić będą we Francyi rzeczywistą podstawę narodu, główną jego siłę materyalną. Bez włościan nic nie zrobicie, a włościanie nigdy nie zgodzą się na wspólne władanie ziemią. Należy jedynie dążyć do ograniczenia własności ziemskiéj,

---

(1) Idée etc. str. 253. — (2) Société de l'exposition perpétuelle, str. 258; jako dodatek do dzielka: Théor. de la propr. — (3) l. c. str. 259. — (4) XVIII, str. 117.

aby nie mogła ona wyzyskiwać. Da się to zrobić przez przemianę renty w podatek i zniesienie dzierżawy. Rentę ma pobierać gmina. Każdy zaś dzierżawca, płacąc czynsz, tém samém spłaca cenę gruntu posiadanego. Gdy spłaci całkowicie jego cenę, staje się jego posiadaczem, właścicielem zaś zostaje gmina, która pobiera od niego rentę. Takie poglądy Proudhon rozwijał w r. 1851 w swojém dziełku *„Idée générale de la révolution au XIX siècle"* W jego więc mniemaniu, posiadanie ziemi na użytkownictwo było najwłaściwszą formą władania ziemi. W ostatniém swojém dziełku o własności, pisaném w r. 1862 *„Théorie de la propriété"*, uwydatnia on wielką różnicę pomiędzy własnością ziemi *(jus utendi et abutendi)* a jéj posiadaniem *(jus utendi, sed non abutendi)*. „Powiadam—są to jego słowa — że ten system, który w więcéj lub mniéj wyraźnéj formie panował początkowo u wszystkich ludów, Egipcyan, Arabów, Żydów, Celtów, Germanów, Słowian i samych Rzymian, jest zupełnie racyonalny — mam tu na myśli racyonalność partykularystyczną *(particulariste)* i zgodną z prostym rozsądkiem; wytrzymuje on wszelką krytykę, tak pod względem słuszności, jak ekonomii politycznéj. Jest-to posiadanie ziemi, które cesarz rosyjski, Aleksander II, nadał włościanom wraz z wolnością. Jest to to samo posiadanie, które zmodyfikowane, podług widoków katolicyzmu, tradycyi łacińskich i obyczajów wojennych panowało w średnich wiekach pod nazwą l e n n o ś c i *(fief)*" (1). Zdawałoby się więc, że Proudhon jest zwolennikiem użytkowniczego posiadania ziemi. Gdzie tam! Oświadcza się on przeciwko posiadaniu, a za własnością osobistą, alodyalną — jak powiada (2). Posiadanie — zdaniem jego — sprowadza nieruchomość własności, a więc nieruchomość społeczną, absolutność władzy. Pochwaliwszy poprzednio cesarza Aleksandra II za nadanie własności włościanom w formie posiadania, chwali go daléj za to, że pierwszy wymierzył cios przeciwko słowiańskiéj formie posiadania (?) (3). Własność absolutna jest potrzebna, ponieważ stanowi przeciwwagę absolutyzmowi władzy; jest ona z dążności i charakteru federalistyczna. „Własność, jeżeli ją weźmiemy na początku, jest zasadą błędną sama w sobie i antispołeczną, lecz przeznaczeniem jéj stać się, przez samo upowszechnienie się i poparcie innych instytucyi, osią i główną sprężyną wszelkiego systemu społecznego" (4).

Ekonomia społeczna—w przekonaniu Proudhona -- jest nauką równowagi społecznéj, rozległym systematem, który ma na celu

---

(1) Str. 88. — (2) *„Je suis pour l'alleu contre le fief"* — pisał 21 listop. 1861 r. do Grandclément. Correspondance, Tome Onzième, str. 294. — (3) Str. 145. — (4) Str. 208.

zrównoważyć wzajemność pracy i wytworu, podaż i popyt, handel, kredyt, eskontę, ludność, słowem zaprowadzić równowagę we wszystkiém i wszędzie. Prawo równowagi, jest-to „największe — możnaby powiedziéć — jedyne prawo ekonomii politycznéj, ponieważ wszystkie inne są rozmaitemi tylko jego wyrazami“ (1).

Równowaga sprowadzić musi ostatecznie równość. Istotnie, ludzkość dąży ku niéj we wszystkich dziedzinach. Postępuje ona przez przybliżenie *(par des approximations)*:

„1° przybliżenie równości uzdolnienia przez wychowanie, podział pracy, rozwijanie zdolności;

2° przybliżenie równości majątkowéj przez wolność handlową i przemysłową;

3° przybliżenie równości podatku;

4° przybliżenie równości własności;

5° przybliżenie anarchii;

6° przybliżenie nie-religii, czyli nie-mistycyzmu;

7° postęp bezgraniczny w wiedzy, wolności, honorze, sprawiedliwości“ (2).

Równość nie dopuszcza powszechnego zbytku. Nie trzeba się więc łudzić: ogół może żyć tylko w miernym stanie, graniczącym z ubóstwem, i zawsze musi dużo pracować. Ze wzrostem ludności, wzrasta wytwór, ale przytém praca zarobkowa raczéj obniża się, aniżeli podnosi, dzień pracy raczéj przedłuża się, aniżeli skraca. Można jednak w pewnéj mierze powiększyć bogactwo, zatrzymując ludność w téj saméj liczbie; potrzeba w tym celu spełnić trzy warunki: 1) przez wyższą kulturę powiększyć potrzeby; 2) przez doskonalszą organizacyą zaoszczędzić czas i siły robotnika i 3) usunąć pasorzytnictwo. Ogólny dobrobyt wówczas się powiększy, ale zawsze tylko do téj wysokości, która wydaje się być niezbędną. „Warunkiem normalnym człowieka w cywilizacyi jest ubóstwo“ (3). Nie jest on wcale nieszczęściem. Przeciwnie. Nieszczęściem jest pauperyzm, który jest skutkiem nierówności w podziale produktów. Wówczas jedni opływają w zbytkach, drudzy cierpią nędzę, t. j. nie mogą podołać niezbędnym potrzebom życia.

Mutualiści, czyli wyznawcy zasad ekonomiczno-socyalistycznych Proudhona, wystąpili na widownią w r. 1864, kiedy z powodu dodatkowych wyborów do ciała prawodawczego grupa sześćdziesięciu robotników postawiła kandydata także robotnika i ogłosiła przytém swój manifest. Kandydatem był Tolain, dzisiejszy senator.

---

(1) La Guerre et la Paix. II, str. 108. — (2) Théorie de la propriété, str. 242.— (3) La Guerre et la Paix. II, str. 123.

Pomiędzy podpisanymi napotykamy nazwiska: Varlin'a, Fribourg'a, Theisz'a, Avrial'a, Perrachon'a, Murat'a, Camélinat'a i innych, którzy rozwinęli następnie wielką czynność między robotnikami. Zasługa mutualistów dla socyalizmu była wielka: rozbudzili oni na nowo uśpiony ruch robotniczy i wzięli we Francyi inicyatywę w jego dalszym rozwoju postępowym. Wszyscy oni byli zwolennikami Stowarzyszenia Międzynarodowego Robotników i przyłożyli się czynnie do szerzenia filii tego towarzystwa we Francyi. Szczególnie czynnym był Eugeniusz Varlin, z zawodu introligator, który mając zaledwie 32 lata, zginął w krwawym tygodniu komuny. Pamięć jego pomiędzy robotnikami socyalistami jest bardzo ceniona. Mutualiści czynnie się zajmowali organizowaniem kas pożyczkowych, stowarzyszeń spożywczych, tanich kuchni i stowarzyszeń spółdzielczych.

Ruch spółdzielczy, kierowany głównie przez mutualistów, pociągnął ku sobie i innych socyalistów: zwolenników Cabet'a, Lud. Blanc'a, a nawet Augusta Blanqui'ego. Juliusz Vinçard redagował „*Mutualité.*“ Następnie wydawano „*Coopération*“; do redakcyi tego pisma pomiędzy innemi należeli Elizeusz Reclus i pani André Léo. Ruch ten spółdzielczy ogarnął także Belgią, Szwajcaryą, Włochy, po części Niemcy, odbił się nawet pewnćm echem w naszych krajach. Znalazł on wielkie uznanie u Wiktora Hugo. Dla organizowania stowarzyszeń spółdzielczych zawiązał się komitet, do którego wchodzili pomiędzy innymi: Belluze, zięć Cabet'a, Gustaw Chandey, E. Reclus. Organem urzędowym tego komitetu było pismo, „*l'Association, Bulletin international des sociétes coopératives.*“ Wychodzący w Chaux-de-Fonds (w Szwajcaryi) „Głos przyszłości“ *(La Voix de l'Avenir)*, organ Stowarzyszenia Międzynarodowego robotników, był jednym z najgorliwszych także propagatorów spółdzielczości. Beluze zorganizował rodzaj banku: *Société du crédit au travail*, który nie długo istniał, ale pomimo to dzielnie przyczynił się do pomnożenia liczby stowarzyszeń spółdzielczych. W r. 1865 liczono już we Francyi samych stowarzyszeń wytwórczych przeszło 50. W tymże roku powstał nowy bank spółdzielczy: *la Caisse d'escompte des associations populaires.* Szczególnie przyjazny dla siebie grunt napotkała spółdzielczość w Lyonie i na południu Francyi (1). Na sierpień 1867 r. był zwołany do Paryża kongres stowarzyszeń spółdzielczych, ale podejrzliwy rząd cesarski nie dopuścił do jego otwarcia. Ruch spółdzielczy miał pomiędzy

(1) Patrz dzieło Eugeniusza Flotard'a: „*Le mouvement coopératif à Lyon et dans le midi de la France.*“ (Paris 1867).

ekonomistami także bardzo gorliwych zwolenników, że wymienię Henryka Passy, Batbie, Eugeniusza Villedieu, a nadewszystko Jana Stuarta Milla.

Na kongresach Stowarzyszenia Międzynarodowego mutualiści z początku odegrywali ważną rolę. Na kongresie genewskim mówiono z uznaniem o wzajemności i bezpłatności kredytu. Jeszcze więcéj zajmowano się tém na kongresie lozańskim. Mutualiści paryscy przedstawili wówczas projekt połączenia wszystkich stowarzyszeń robotniczych w jedno ogólne stowarzyszenie p. n. *Fédération du travail.* Sprawozdawcą w tym przedmiocie był Karol Longuet. Zdaniem jego, stowarzyszenia mogą stać się środkiem wyzwolenia proletaryatu wówczas tylko, kiedy wzajemność połączy je pomiędzy sobą. Tolain, Murat, Chemalé popierali go gorliwie. Chemalé oświadczył nawet, że kwestya kredytu wzajemnego i bezpłatnego jest najważniejsza: jest-to powiedział podstawa naszego wyzwolenia się“ (1). Socyaliści belgijscy uznawali się także za mutualistów. „Należą — oświadczył De Paepe — tak samo jak obywatele Tolain i Chemalé, do socyalizmu mutualistycznego, który chce zrealizować we wszystkich układach ludzkich zasadę wzajemności“ (2). Rezolucye kongresu były przychylne dla wniosków mutualistycznych.

Na trzecim kongresie Międzynarodówki w r. 1868 widzimy już ogromny zwrot w tym względzie. Wprawdzie kongres uchwala, że robotnicy mogą przyjść do posiadania narzędzi produkcyi jedynie przez stowarzyszenia wytwórcze i przez organizacyą kredytu wzajemnego; ale kiedy następnie podniesiono kwestyą organizacyi tego kredytu pomiędzy robotnikami, odezwała się przeciwko mutualizmowi opozycya, wzmagając się coraz bardziéj. Pierwszy Eccarius z Londynu zauważył, że w „Niemczech, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych mało jest znana teorya kredytu bezpłatnego i wcale nie zajmują się nią w praktyce“ (3). Cohn z Londynu jeszcze silniéj wyraził się: „Kredyt bezpłatny — zdaniem jego — jest tylko teoryą i to teoryą sporną; przed wprowadzeniem go w życie, trzeba zmienić organizacyą społeczną“ (4). Najsilniejszy cios zadał teoryi kredytu bezpłatnego Moritz Hess. „Mała tylko sekta — powiedział on—przyjęła tę teoryą. Zaprzeczają jéj najwięksi ekonomiści. Odsyłam w téj kwestyi do dzieła Karola Marxa: „*La misère de la philosophie*“, w którém on wystąpił przeciwko „*Philosophie de la misére*“ Proudhon'a (5).

---

(1) Procès-Verbaux du Congrès de l'Association Internationale des Travailleurs—réuni à Lausanne du 2 au 8 septem. 1867. Chaux-de-Fonds. 1867, str. 41. — (2) l. c. 30.— (3) Troisième Congrès de l'Association internationale des Travailleurs. Compte rendu officiel. Bruxelles. Septembre, 1868, str. 33. — (4) l. c. str. 34. — (5) L. c.

Na kongresie bazylejskim w r. 1869 mutualiści Chemalé, Tolain, Murat, Langlois bronili gorąco własności ziemskiéj indywidualnéj przeciwko wnioskowi, domagającemu się uznania ziemi za własność kolektywną. Varlin głosował z kolektywistami, lecz najciekawszym objawem było to, że Hins, który na kongresie brukselskim był jednym z najgorętszych obrońców własności indywidualnéj, teraz najgruntowniéj wykazywał słabe jéj strony.

W komunie paryskiéj 1871 r., pomimo że zwolennicy Proudhona pomiędzy socyalistami stanowili niemal trzecią część, nie zajmowano się prawie wcale kwestyą kredytu. Komisya pracy i wymiany, w któréj zasiadali mutualiści, Theisz i Avrial, wydała jeden tylko dekret, mający ogólniejsze znaczenie: poleciła izbom syndykalnym robotniczym wypracować praktyczny projekt o oddaniu opuszczonych warsztatów robotniczym stowarzyszeniom spółdzielczym i wypracować także projekt organizacyi tych stowarzyszeń.

Z liczby piszących mutualistów nie wielu się odznaczyło wyższém uzdolnieniem: można tu wymienić Alfreda Darimon'a („*De la Réforme des Banques*"), G. Duchêne'a („*L'empire industriel*") i Paget-Lupicin'a („*Le droit du travailleur*"). J. A. Langlois, G. Duchêne, F. G. Bergmann i F. Delhasse kierowali wydawnictwami dzieł Proudhona i uzupełnili początek rękopismu: „*Théorie de la Propriété.*" Karol Longuet zdobył sobie sławę jako dziennikarz. Pisma Vermorel'a miały charakter raczéj polityczny, aniżeli ekonomiczny. W kierunku Proudhona pisze d-r Junqua, który zrzucił sutannę księżą i oświadczył się za wolnością religijną. Najważniejsze jego dzieło ma tytuł: „*De la sagesse dans la production et de la fraternité dans la consommation ou le Communisme des Républiques de l'avenir.*" (Paris 1880).

III.

U Proudhona z anarchizmu wykluł się federalizm. — Anarchia. — Przeciwstawia się jéj spólność. — Zmiana przekonań Proudhona co do rządu i państwa. — Nie był on początkodawcą ruchu federalistycznego. — Błędne rozumienie przezeń federalizmu.—Podobieństwo jego do Woltera. — Federaliści francuscy. — Anarchiści.

Niejasność wyrażania się i pewien zamęt w pojęciach Proudhona utrudnia dokładne zrozumienie jego teoryi. Przytém ulegała ona nieustannéj zmianie. Postępując jednak stopniowo za rozwojem myśli naszego autora, widzimy, że u niego z anarchizmu wykluł się dopiéro federalizm. W dziełach jego: „*Les Confessions d'un Révolutionnaire*" i „*Idée générale de la révolution au dix-neuvième siècle*", o ile jasném jest zaprzeczanie wszelkiego rządu i wszelkiéj

powagi, o tyle z trudnością tylko i z pewném naciąganiem dałaby się wymotać jego myśl federalistyczna.

Precz z rządem! oto jego hasło, które rozbrzmiewa we wszystkich tych dziełach. „Prawdziwa forma rządu, to anarchia“ (1). Kapitał, rząd i katolicyzm, jest-to trójca fatalna absolutyzmu: „to co robi kapitał z pracą a rząd z wolnością, to kościół z umysłowością“ (2). Absolutyzm jest pierwszym wyrazem; ostatnim zaś, przez sam los przeznaczonym *(fatidique)*, jest anarchia, zrozumiana jak najwszechstronniéj (3).

Anarchia — w naszém rozumieniu — jest-to brak rządu, brak kierunku, brak planu, a skutkiem tego bezrząd, bezcelowość, nieporządek, zamieszanie, panowanie dowolności. Czy Proudhon rozumiał anarchią w podobny sposób? Bezwątpienia że nie, chociaż często możnaby posądzić go o to. „Powiedzmy bez obawy—woła—że formułą rewolucyjną nie może być ani prawodawstwo bezpośrednie, ani rządy bezpośrednie, ani rządy uproszczone; formułą tą jest: brak wszelkiego rządu. Ani monarchii, ani arystokracyi, ani demokracyi nawet, jeżeli dopuszcza jakikolwiek rząd, działający w imieniu ludu i mianujący się ludem. Precz z władzą, precz z rządem, nawet ludowym: w tém rewolucya“ (4). Ogłosiwszy anarchią za ideał polityczny, Proudhon z dziwną niekonsekwencyą czyni nieraz swoim przeciwnikom zarzut anarchii. Wreszcie w obu tych dziełkach, w których najsilniéj zaleca anarchią, w „Wyznaniach rewolucyonisty“ i w „Ogólnéj idei rewolucyi XIX stul.“, sam podaje formę rządu, podług niego najodpwiedniejszą dla wolności i równości wszystkich. W formie téj rządu jest także władza prawodawcza i władza wykonawcza, chociaż uważa te rzeczy za śmieszne. Uznaje trybunały handlowe, sądy znawców, sądy polubowne. Wyroki więc tych sądów muszą być wykonywane. Nie chodzi przeto właściwie Proudhonowi o zupełne usunięcie rządu, jeno o radykalną zmianę jego charakteru; chodzi mu o to — jak w jednèm miejscu powiada — ażeby rząd zamienił się w administracyą (5).

W poźniejszych dziełach Proudhon prostuje coraz bardziéj swoje pojęcia o rządzie i anarchii i przychodzi ostatecznie z jednéj strony do uznania konieczności rządu, a z drugiéj do potępienia anarchii. Przeciwstawiając anarchii spólność, powiada, że „spólność pozostaje marzeniem większéj części socyalistów, anarchia zaś jest ideałem szkoły ekonomicznéj, która dąży otwarcie do zniesie-

---

(1) Confesions str. 131.—(2) l. c. str. 253.—(3) Idée etc. str. 142.—(4) l. c. 140.—(5) Conf. str. 324.

nia wszelkiéj instytucyi rządowéj i oparcia społeczeństwa jedynie na własności i pracy wolnéj" (1). Zdaniem jego jednak, ani spólność, ani anarchia nie mogą urzeczywistnić się w czystości swego ideału, muszą więc wzajemnie się uzupełniać. W dziele „O sprawiedliwości" zupełnie zaprzecza swoim dawnym przekonaniom. „Bez rządu powiada—społeczeństwo pada poniżéj stanu dzikości: dla osób nie ma wolności, własności, bezpieczeństwa; dla narodów nie ma bogactwa, moralności, postępu. Rząd jest równocześnie tarczą, która ochrania; mieczem, który mści; wagą, która określa prawo; okiem, które czuwa.... Anarchia, podług nieustannych świadectw w historyi, nie więcéj warta w ludzkości, co nieporządek w świecie" (2).

Państwo w przekonaniu Proudhona wznosi się nawet do ważnego znaczenia czynnika, ograniczającego szkodliwe następstwa konkurencyi ekonomicznéj. Pozostawiona sama sobie konkurencya musi doprowadzać do tego, że większa własność pochłania mniejszą, że więksi właściciele bogacą się kosztem mniejszych. Odwrotnie się dzieje, „jeżeli protekcya państwa jest silna i zapewniona każdemu; jeżeli skutkiem ogółu instytucyi liberalnych i dobrego wykonywania usług publicznych, warunki eksploatacyi stają się równe; jeżeli nareszcie dobry system nauczania publicznego sprowadza mniejszą nierówność pomiędzy zdolnościami osobistemi" (3). Mowa tu o rolnikach.

Proudhon—niech co chce mówi—nie był przecież świadomym federalistą ani w 1848, ani w 1851 r. Właśnie przesadny antiguwernalizm przeszkadzał mu w tém, chociaż kardynalna jego zasada ekonomiczna: u m o w a powinna go była doprowadzić do federalizmu, témbardziéj, że zasady federalistyczne nie były ani tak mało znane, ani tak rzadko wyznawane, jak to przedstawia nasz autor. O wiele wcześniéj przed nim rozpoczął propagandę w tym kierunku Aleksy Tocqueville, którego dzieło „O demokracyi w Ameryce" pojawiło się w r. 1835. Drugie dzieło tego autora „*L'ancien régime et la révolution*", nacechowane silną dążnością anticentralizacyjną, pojawiło się w roku 1856 i zwróciło powszechną na siebie uwagę. Tymczasem dopiéro w 1858 r. zaczyna wyraźniéj brzmieć u Proudhona: „szczytna myśl Henryka IV: federalizm powszechny, rękojmia najwyższa wszelkiéj wolności i wszelkiego prawa" (4). Myśl ta opanowała tak silnie umysł naszego autora, że u kresu prawie będąc swéj czynności publicystycznéj, powiada: „wszystkie moje my-

(1) Du principe fédératif, str. 27. — (2) De la Justice etc. II, str. 6. — (3) Théorie de la propriété, str. 178. — (4) l. c. II, 129.

śli ekonomiczne, wypracowane od dwudziestu pięciu lat, dadzą się streścić w trzech wyrazach: Federacya rolniczo-przemysłowa“ (1).

Wadą federalizmu proudhonowskiego jest pewna jego dowolność i sztuczność, kiedy tymczasem cechą jego powinna być historyczność i naturalność. Dawniéj, kiedy był anarchistą, uważał, że prawa społeczne były niezależne od woli ludzkiéj (2); późniéj mniemał, że prawo było ustawą dowolną woli ludzkiéj (3) i historyą traktował jak prokurator. Kiedy w r. 1849 oceniał z właściwego punktu ruchy włoskie, węgierskie i niemieckie; zostawszy federalistą, z gwałtownością pamflecisty potępiał wszelkie ruchy narodowe. Jemu to głównie przypisać należy, że w obozie socyalistycznym zaczęto wyrażać się o narodowości, jako o rzeczy reakcyjnéj, przestarzałéj“ (4).

Krytyka, jaką Proudhon uprawiał w swoich dziełach z epoki rewolucyi r. 1848, miała większe znaczenie od rzekomo twórczéj jego działalności z ostatnich lat. W „Wyznaniach“ powiada: „naszemu pokoleniu daje się uczuwać brak nie Mirabeau, ani Robespierre'a, ani Bonapartego, lecz Woltera.“ Otóż, Proudhon był wówczas pod pewnym względem Wolterem: jak ten w swoim czasie krytykę kościoła, tak autor „Wyznań rewolucyonisty“ i „Ogólnéj idei rewolucyi dziewiętnastego stulecia“ krytykę państwa i rządu posunął do ostatecznych granic. Krytyka ta oczyszczała grunt od wielu uprzedzeń i przygotowywała rolę pod zasiew nowych przekonań.

Pomiędzy wybitniejszymi federalistami francuskimi ze szkoły Proudhona należy wymienić: Ksawerego de Ricard, założyciela Związku Łacińskiego i autora dzieła „*Fédéralisme*“ (Paris, 1878) i Edmunda Thiandière, który w dziele p. t. „*La Confédération française*“ (1872) zalecał podzielić Francyą na 36 republik samodzielnych, połączonych jedynie węzłem politycznym przeciwko napaści zewnętrznéj.

Jakkolwiek sam Proudhon wyrzekł się prawie anarchizmu i został federalistą, to pomiędzy jego spadkobiercami myśl anarchiczna wzięła znowu przewagę i na długo przygłuszyła pojęcia federali-

(1) Du principe fédératif, str. 83. — (2) „Prawa ekonomii społecznéj niezależne są od woli człowieka i prawodawcy: naszym przywilejem jest poznać je, naszą godnością—uledz im.“ Idée etc. str. 255. — (3) „Prawo jest dowolną ustawą woli ludzkiéj: jest-to teorya umowy i federacyi.“ De la Justice etc. — (4) Już w liście do Edmunda Chojeckiego 9 lipca 1854 r. pisze: „Narodowości! Należy to do tradycyi, jestto rzecz blagi rewolucyjnéj *(de blagologie révolutionnaire)*.“ P. J. Proudhon. Sa Vie et sa corespondance 1838—1848, par C. A. Sainte-Beuve. Paris 1872.

styczne. Przyczynił się do tego najwięcéj Michał Bakunin, który z federalisty został anarchistą (1).

. . . .

Nowy ten kierunek znalazł szczególnie gorliwych propagatorów w Janie Most'cie, który zaczął w r. 1878 wydawać w Londynie „*Freiheit*", i w księciu Krapotkinie, redaktorze czasopisma, „*Le Révolte*", wydawanego od 1879 roku w Genewie. Wówczas także upowszechniła się doktryna propagandy czynami. Rozpoczęła się walka chaotyczna, dzika, często bezmyślna, prowadzona nie tylko z organizacyą państwową, nie tylko z fabrykantami i kapitalistami, ale nieraz z całém społeczeństwem—rzec można. Anarchiści, upominani, wstrzymywani, potępieni wreszcie przez znaczną większość socyalistów, zerwali z niemi zupełnie i ogłosiwszy się na kongresie lozańskim w r. 1882 jako zupełnie samodzielne i odrębne od nich stronnictwo, rozpoczęli nawet zawziętą z nimi walkę. Nie mogąc się ustrzec, z powodu anarchicznego swego ustroju, od wspólnictwa prowokatorów wszelkiego rodzaju, nieraz wpadali w zastawione sidła i stawali się narzędziem policyi państwowéj. Doszło wreszcie do tego, że stało się trudném nieraz odróżnić szczerego anarchistę od prowokatora policyjnego (Peuckert, Kammerer, Stelmacher). Rewelacye, zrobione na początku bież. roku (1888) przez posłów socyalistycznych, Singera i Bebla, na sejmie niemieckim, przekonały, że policya pruska korzystała z tego w szerokich rozmiarach.

IV.

Ruch mutualistyczny w Europie.—Stosunek ruchu spółdzielczego do socyalistycznego.—Upadek komuny paryskiéj sprowadza wzrost anarchizmu.—Ruch anarchiczny w Hiszpanii, we Włoszech, w Szwajcaryi i we Francyi.—Wpływ Proudhona na Rosyan.—Propaganda Mosta.—Czém jest właściwie dzisiejszy anarchizm socyalno-polityczny?

Oba kierunki, mutualistyczny i federalistyczno-anarchiczny, poruszyły w mniejszym, lub większym stopniu całą Europę.

Kiedy pod koniec drugiego cesarstwa we Francyi, żywiéj objawiać się począł rozwój myśli polityczno-społecznéj, mutualizm sta-

---

(1) Pismo „Czech", wychodzące w Genewie, w r. 1861 wydrukowało jego: „Zasadnicze prawidła polityki i federacyi słowiańskiéj".

Trzeba jednak tu zauważać, że B. chociaż nazwał zasadę narodowości fałszywą, to wszakże przyznał, że „narodowość jest faktem prawnym tak samo jak indywidualność. „Każda narodowość, mała czy wielka, ma niezaprzeczone prawo być sama sobą, żyć odpowiednio swéj przyrodzie; prawo to jest następstwem powszechnego prawa wolności." Co do patryotyzmu, to potępił tylko pyszny i egoistyczny, chełpiący się sławą, potęgą i wielkością swego kraju. „*Annales du Congrés de Genève*". Genève 1868. str. 190.

nął—jak widzieliśmy—przeważnie na gruncie spółdzielczości, gdzie się zetknął z innemi umiarkowanemi kierunkami socyalistycznemi i wielce się przyczynił do ożywienia działalności spółdzielczéj i wytworzenia pośredniego niejako kierunku pomiędzy ekonomizmem indywidualistycznym i socyalizmem komunistycznym. Podniecił on w téj formie czynność spółdzielczą w całéj Europie a pośrednio, głównie przez Niemcy, oddziałał na nasze kraje. Założony w r. 1865 w Warszawie „Ekonomista“ niezawodnie wiele wpłynął na rozbudzenie u nas zajęcia się kwestyami ekonomicznemi. Pierwsze jego roczniki zajmowały się gorliwie nader ważną kwestyą stowarzyszeń i umieszczały w tym przedmiocie bardzo dobre artykuły, pisane przez M. E. Trepkę, Józefa Kirszrota i innych. W Pozańskiém i w Galicyi zajmowano się także żywo tym przedmiotem. Pomiędzy młodzieżą uniwersytecką sprawa stowarzyszeń, spółdzielczości stała się niejako mostem do daléj idących przekonań. Kazimierz Hild, późniejszy tłómacz Lassalle'a i Marxa, stał z początku na gruncie spółdzielczości, praktykowanéj w formie najkorzystniejszéj dla ogółu ludowego.

Wogóle można powiedzićć, że ruch spółdzielczy w całéj Europie znajdował silne poparcie w obozie socyalistycznym i sam torował drogę socyalizmowi. Varlin, który ogromnie przyczynił się do rozruszania ludności robotniczéj we Francyi, był gorliwym krzewicielem stowarzyszeń spółdzielczych robotniczych. P. Lafargue, jeden ze zdolniejszych dzisiaj marksistów we Francyi, był w r. 1868 delegatem komitetu, mającego na celu upowszechnienie kredytu przez założenie banku narodowego (*L'Avenir Réaliste*). Na kongresach Towarzystwa Międzynarodowego Robotniczego popierano czynność spółdzielczą, chociaż rozróżniano w niéj dwa prądy: burżuazyjny i socyalistyczny. Rezolucye kongresów lozańskiego i brukselskiego zalecały zakładanie stowarzyszeń przez samych robotników, przystępność ich dla wszystkich i obowiązek dążenia w nich do usunięcia wszelkiego wyzyskiwania pracy przez kapitał (przez zniesienie procentu, dywidendy itd.). „*L'Egalité*“, organ międzynarodowy genewski, w r. 1869, kiedy znajdował się jeszcze pod przeważnym wpływem Bakunina, ogłosił bardzo dobrze napisany artykuł: „O spółdzielczości wobec rewolucyi socyalnéj“ (*La Coopération devant la révolution sociale*) (1), odpierając w nim krzyki tych, co nieustannie powtarzając: „rewolucya socyalna“, ostro ganili Stowarzyszenie Międzynarodowe za popieranie ruchu spółdzielczego.

Jakkolwiek kierunek anarchiczno-federalistyczny już przed r. 1870 rozwijał się i wzmagał, to przecież wybujał on odrazu silnie

---

(1) N. 34.

dopiéro wskutek upadku komuny paryskiéj 1871 r. Na komunę paryską złożyło się wiele przyczyn, ale niezawodnie jedną z nich była także rozpowszechniająca się w masach robotniczych myśl federalistyczna (1). Dowodem tego, ruchy komunalne, wprawdzie słabe i krótkie, w miastach południowych francuskich, które się objawiły wnet po ogłoszeniu komuny paryskiéj, i to współczucie ku Paryżowi, jakie dość otwarcie wypowiadały miasta francuskie (2). Komunaliści paryscy, pod silném wrażeniem rozdraźnienia z powodu poniesionéj klęski i pełni uczucia zemsty, stanęli, w dwóch skrajnych, najniecierpliwiéj rwących się do rewolucyi, obozach: blankistów i anarchistów formacyi bakuninowskiéj. Malon, Guesde, Brousse stali się zapalonymi anarchistami. Pani André Léo także zbliżyła się do tego obozu. Elizeusz Réclus dodawał im powagi swojém imieniem, którego sławę wprawdzie zdobył na polu wiedzy geograficznéj. Mieli z niemi czucie także Lefrancais (raczéj komunalista) i Artur Arnould (raczéj federalista), który w swojém dziełku, „*l'État et la Révolution*", 1877), zalecał Francyi instytucye polityczne Szwajcaryi. Ruch komnnalny w Hiszpanii w r. 1873, rozruchy agrarne we Włoszech, agitacya na północy przysporzyły obozowi anarchistycznemu wielu zwolenników. Anarchizm, który wyrodził się z federalizmu, okazał się nawet jego wrogiem. Jemu to w znacznéj części przypisać trzeba upadek rzeczypospolitéj hiszpańskiéj federalistycznéj, z 1873 r.

Przekonania anarchistyczne miały z początku szczególne powodzenie w Hiszpanii i we Włoszech. Co do Hiszpanii, były tam trzy bardzo ważne przyczyny. Najprzód, a n a r c h i a wcale nie była tam nowością. Jeszcze w r. 1845 powstała tam szkoła literacka, która się ogłosiła za anarchiczną. Przedstawiciele jéj wydawali pismo p. t. „Przyszłość", w którém odrzucając co do literatury i sztuki wszelkie przepisy, wszelką teoryą, wszelką powagę, ogłosili, że w okresie przejściowym, w jakim się znajduje, w okresie przejściowym od upadku powagi do uznania prawdy jeszcze nieznanéj, jedynie naturalną i pożyteczną jest anarchia. Był to protest inteligencyi hiszpańskiéj przeciwko absolutnéj powadze kościoła i monarchii;

---

(1) W dziele Proudhona „*Du Principe fédératif*" (1868) znajduje się ustęp, zawierający w streszczeniu argumenty podawane przez komunalistów. „Paryż, kiedy ze stolicy stanie się miastem federalném—powiada Proudhon—nic nie straci na tém przeobrażeniu się; przeciwnie, zyska przez to nową i lepszą egzystencyą. Pochłanianie prowincyi przezeń sprowadza w nim przekrwienie; gdybym mógł tak powiedzieć—mniéj naładowany, mniéj apoplektyczny, Paryż byłby swobodniejszy, więcéj by zarabiał i wydawał". str. 242.

(2) Patrz ciekawy w tym względzie artykuł Juliusza Guesde'a w „*Die Zukunft*", piśmie berlińskiém (1 listop. 1877).

tak téż zrozumiał to rząd hiszpański i, pomimo że w piśmie mówiono tylko o literaturze i sztuce, zamknął wydawnictwo. Chociaż więc krótko istniało, rzuciło ono liczne nasiona w umysły młodzieży i spopularyzowało hasło protestu. Powtóre, socyalizm wszedł do Hiszpanii w postaci furyeryzmu, który w łonie swojém nosił zaczątki dążności anarchistycznych. Jeden z socyalistów hiszpańskich, który służył niejako za łącznik między główném ogniskiem socyalizmu, Paryżem, a Hiszpanią, Ramon de la Sagra, był furyerystą; zbliżył się on późniéj do Proudhona i gorliwie popierał jego plan założenia Banku Ludowego. Wpływ samego Proudhona przytém był znaczny w Hiszpanii. Salmeron i Py y Margall byli jego wyznawcami. Ostatni z nich przetłómaczył na język hiszpański główniejsze dzieła Proudhona. Znakomite dzieło „*Las Naciolidades*“, Py y Margalla uważa się za program federalistów hiszpańskich. Utalentowany ten i życzliwy dla nas pisarz nie dał się porwać antypatyom proudhonowskim. Po trzecie, przez samę konfiguracyą geograficzną podtrzymywana dążność decentralizacyjna federalistyczna, gwałcona i dławiona przez absolutyzm rządowy, w ciemnych masach, pod wpływem doktryn rewolucyjnych, rozwinęła instynkty anarchiczne. To téż nigdzie nie było tylu anarchistów, co w Hiszpanii. W ostatnich jednak czasach zaszła w ich programie i usposobieniu ogromna zmiana. Można powiedziéć, że anarchiści hiszpańscy z dawnego programu zatrzymywali jeden punkt tylko: nie brania udziału w walce politycznéj, czyli raczéj parlamentarnéj.

We Włoszech anarchizm miał także swoję tradycyą. Jeden z nowszych inicyatorów socyalizmu w tym kraju, Karol Pisacane, który zginął w r. 1857 w ruchu powstańczym w Neapolu, podniósł był także protest przeciwko absolutnéj powadze kościoła. Proudhonizm również odegrał we Włoszech swoję rolę: pierwsze pismo socyalistyczne „*Il Proletario*“, które zaczęło wychodzić we Florencyi w r. 1865, było redagowane przez Nicolo Lo Savio, zwolennika Proudhona. Chorągiew anarchistyczną otwarcie podniósł Bakunin, który, osiadłszy w Neapolu i połączywszy się z uczniami Pisacanego, zwłaszcza z Fanellim, zaczął tam wydawać „*Libertà e Giustizia.*“ W r. 1867 założył on w Neapolu sekcyą Towarzystwa Międzynarodowego i nadał jéj odpowiedni swoim przekonaniom charakter. Do tych powodów, które przez czas pewien czyniły ruch anarchiczny popularnym, należy policzyć jeszcze: niechęć Maziniego i jego zwolenników do międzynarodowego ruchu robotniczego (1); zako-

(1) Bakunin wystąpił przeciwko powadze Mazini'ego w broszurce: „La théologie politique de Mazini et l'Internationale.“ 1871.

rzenione w narodzie usposobienie do łotrowstwa (rozboje, *mafia*, *camorra)*; wreszcie dążność federalistyczna, wynik geograficzno-historycznych warunków. Namnożyło się pisemek i programów anarchicznych, które miały po większéj części krótkie efemeryczne znaczenie. Pod względem teoretycznym najwięcéj się uwydatnili: Costa i Covelli. Gorący i żywy temperament włoski, podniecony teoryą anarchiczną, rwał się do czynów, a że stosunki rolnicze w niektórych częściach Włoch są okropne, wybuchły więc tu i owdzie poruszenia agrarne, a nawet większe ruchy powstańcze, z których najważniejsze były: w r. 1874 w Bolonii i w 1876 w Benevencie. Gorączka ta jednak anarchiczna zaczęła rychło przechodzić. Już w r. 1876 kolektywiści - propagandyści zaczęli brać przewagę nad anarchistami. Kongresy socyalistyczne, np. w r. 1881 w prowincyi Romanii, domagały się, wbrew anarchistom, utworzenia partyi zorganizowanéj. Socyaliści, pomimo agitacyi anarchicznéj, wzięli żywy udział w końcu r. 1882 w wyborach do parlamentu i właśnie jeden z wybitnych dawniéj anarchistów, Costa, został wybrany w Ravennie.

Pomiędzy anarchistami szwajcarskimi odznaczyli się: James Guillaume, wielki zwolennik Bakunina i autor broszurki: *„Idées sur l'organisation sociale“* (1876) i Ademar Schwitzguébel. Po śmierci Bakunina, anarchizm w Szwajcaryi podtrzymywali: Francuz, Paweł Brousse, który wydawał *„Avant-Garde“* w Genewie,.... Po zawieszeniu *„Avant-Garde“* i wypędzeniu Brousse'a ze Szwajcaryi, anarchizm znalazł gorliwego propagatora w ks. Krapotkinie. Organ jego *„Le Révolté“* stał się już wyraźnie terorystycznym. Kiedy Krapotkina skazano w r. 1883 w procesie lyońskim na więzienie, *„Le Révolté“* wkrótce przestał wychodzić, a inne pojawiające się pisemka anarchistyczne, redagowane nieudolnie, były tak prowokatorsko-wrzaskliwe, że nie budziły żadnego zaufania. W późniejszym czasie anarchizm znowu narobił pewnéj wrzawy; tym razem była to odmiana mostowska i miała główne siedlisko w niemieckiéj Szwajcaryi, a — jak śledcze badania rządu związkowego wykazały—krzewiła się przeważnie pomiędzy Niemcami austryackimi.

Anarchizm, z początku patronowany przez Francuzów, ze znakomitszych przedstawicieli téj narodwości, zachował jednego tylko Elizeusza Réclus, który jednak był tylko platonicznym jego czcicielem, ponieważ przekonania, wypowiadane przezeń w jego „Geografii Powszechnéj“, wcale nie są anarchicznemi. Malon bardzo prędko odsunął się od anarchistów i zbliżył się do niemieckich demokratów socyalnych, a następnie zajął jakieś niejasne stanowisko po nad stronnictwami socyalistycznemi. Guesde został gorliwym

marksistą. Nieprzejednany Brousse, wróciwszy do Francyi, zerwał zupełnie z dawnymi swymi spółwyznawcami i stał się energicznym propagatorem organizacyi robotniczéj. Nieliczni, ale wrzaskliwi i pochopni do awantur, anarchiści francuscy za główny cel postawili sobie przeszkadzać propagandzie i czynnościom socyalistycznym. Dzięki im, przez czas pewien zgromadzenia socyalistyczne stawały się miejscem zgorszenia publicznego. Z pomiędzy anarchistów francuskich jeden tylko Emil Gautier odznaczał się wyższą zdolnością. Propaganda anarchistyczna i ucisk administracyi górniczéj w Montceau-les-Mines wywołały rozruchy pomiędzy ludnością górniczą w roku 1882, które zaniepokoiły mocno warstwy rządzące. Wówczas aresztowano wielu anarchistów, w téj liczbie Krapotkina i Gautier'a i w styczniu r. 1883 odbył się w téj sprawie proces w Lyonie, który przybrał charakter tendencyjny, ponieważ obwiniono głównych przewódców o należenie do zakazanego we Francyi Towarzystwa Międzynarodowego robotników, które — jak wiadomo powszechnie—przestało istniéć faktycznie od r. 1872.

Anarchizm socyalno - terorystyczny znalazł gorliwego i niezmordowanego propagatora w Janie Most'cie, który niezadowolony ze spokojnego zachowania się demokracyi socyalnéj w Niemczech wobec zaprowadzenia ustaw wyjątkowych w r. 1878 i z potępienia przez nią zamachów Hödla i Nobillinga, zerwał z nią i, przeniósłszy się do Londynu, zaczął wydawać tam anarchiczny dziennik „*Freiheit.*" Propaganda mostowska, lubo zyskała trochę zwolenników w Niemczech, to jednak rozbiła się tam o znakomitą pod względem karności organizacyą stronnictwa socyalno - demokratycznego, ale za to w Austryi, gdzie takiéj organizacyi nie było, rozkrzewiła się dosyć silnie i doprowadziła ostatecznie do rozbójniczych zamachów Stelmachera i Kammerera. Anarchizm mostowski oddziałał także trochę na Galicyą, ale daleko więcéj na robotniczą ludność czeską, która — z powodu niechęci narodowéj ku Niemcom — nie może się pogodzić z centralistycznym kierunkiem propagandy socyalno-demokratycznéj niemieckiéj.

Most, skazany w Londynie za gwałtowny artykuł, po wyjściu z więzienia przeniósł się do Stanów Zjednoczonych w Ameryce i tam wydawał daléj swoję „*Freiheit.*" Propaganda jego nie pozostała bez skutku na ludność tameczną niemiecką, jak to pokazało się w kwietniu r. 1886 w Chicago, gdzie anarchiści rozruchowi robotniczo - socyalistycznemu nadali charakter terorystyczny. Most znowu dostał się do więzienia.

B. L.



SZKIC HISTORYCZNY

POCZĄTKU I ROZWOJU PISMA.

Kiedy po raz pierwszy dzienniki rozniosły nowinę o wynalezieniu fonografu i telefonu, zdziwienie ogólne było tak wielkie, że z niego wyrodziła się niewiara w podawaną wiadomość: wkrótce jednak nastąpiło potwierdzenie i naukowe objaśnienie dokonanego wynalazku; to znowu wywołało nowe zdziwienie, że wynalezione przyrządy są tak proste, każdy bowiem choćby posiadał tylko elementarne wiadomości z fizyki, pojąć może całe urządzenie tych aparatów. Czy jednak komu przyszła do głowy myśl, że używaliśmy już pewnego rodzaju telefonu i fonografu przed ich wynalezieniem, czyż bowiem mowa nasza nie jest telefonem a pismo fonografem? Ten jednak telefon i fonograf to nie mechaniczne narzędzia, łatwe do zbadania i objaśnienia, lecz owoc pracy całych tysięcy pokoleń w przeciągu lat tysięcy; m ó w i ć wydaje nam się tak rzeczą naturalną i prostą, jak spać lub jeść, ale czy rzeczywiście jest to rzecz prosta? Przedewszystkiem mamy tu do czynienia z niezmiernie delikatnemi czynnościami naszego gardła i ucha: już fakt wydawania rozmaitego rodzaju tonów i ich słyszenia jest sam przez się istnie cudownym, może być jednak naukowo c h o ć n i e z u p e ł n i e objaśniony; lecz kto objaśnić może stosunek pewnego konglomeratu dźwięków do jakiejś istniejącej rzeczy? nikomu się nie udało do tego czasu zbadać stosunku wewnętrznego wyrazu „pies" do zwierzęcia, które ten wyraz oznacza; wszystkie naukowe etymologie sprowadzają się do pewnej nieznacznej zresztą liczby pierwiastków, z których powstał cały zasób wyrazów języków najbogatszych; etymologia określiła stosunek między wyrazami jednego języka, które powstały z pnia wspólnego z jednej strony, a mię-

dzy odpowiadającemi sobie wzajemnie wyrazami różnych pokrewnych języków z drugiéj; żadna jednak etymologia do tego czasu nie zdołała objaśnić stosunku samych pierwiastków do idei, które te pierwiastki oznaczają: np. dlaczego pierwiastek *su* w językach indoeuropejskich zamyka w sobie pojęcie rodzenia; wyjątków mamy bardzo mało, są to tylko niektóre wykrzykniki, będące niejako skutkiem fizyologicznych odruchów, oraz wyrazy, powstałe z naśladowania dźwięków, np. kukułka. Widzimy więc, że nasz naturalny telefon, służący do posyłania myśli tak daleko, jak daleko nasz głos dobiedz może, jest dotychczas niezbadany, tajemniczy, i nawet wątpić można, czy kiedykolwiek w przyszłości badania nad początkiem mowy ludzkiéj doprowadzą do jakich rezultatów.

Coś pewniejszego możemy powiedzieć o starym fonografie czyli o piśmie. I tu także nie posiadamy żadnych nieprzerywających się danych, któreby utworzyły szereg faktów historycznych z życia jednego alfabetu od najwcześniejszych jego początków do dziś-dnia; ale teraz jeszcze posiadamy rozmaitego rodzaju pisma: od najpierwotniejszego u niektórych dzikich—do alfabetów używanych w dyalektologicznych dziełach, złożonych ze znaków, które z fotograficzną prawie ścisłością wyrażają rozmaite dźwięki owych dyalektów; mamy przytém niektóre dane z archeologii, a wreszcie ogólno ludzkie prawa psychologiczne. Opierając się na tych faktach, nauka doszła do pewnych rezultatów, rzucających silne światło na powstanie i rozwój pisma.

Przedewszystkiém zauważyć należy wzajemny stosunek myśli, mowy i pisma; teraz bezpośredni związek mają tylko: myśl i mowa z jednéj strony, a mowa i pismo z drugiéj; mowa bowiem maluje niejako samą myśl, czy przedmiotem jéj będzie oderwana idea, czy téż przedmiot realny, gdy tymczasem pismo wyraża tylko dźwięki danego języka, pismo więc ma pośredni przez mowę związek z myślą. To jednak nie jest konieczne, pismo może i bez względu na mowę myśl malować, w takim razie moglibyśmy czytać takie pismo bez znajomości języka, którym posługiwał się piszący, jedynie za pomocą naszéj wyobraźni, każdy czytał by książkę w swoim własnym języku. Nie będzie to nas dziwić, jeśli zwrócimy uwagę, że polak, patrząc na psa wymalowanego, powié sobie w myśli „pies“, francuz na to samo powié „chien“, a niemiec „hund“; nad ułożeniem takiego pisma między innymi pracował Leibnitz; przekonamy się późniéj, że początkowo pismo miało właśnie taki bezpośredni związek z myślą. Teraz jeszcze, zanim przystąpimy do właściwéj historyi pisma, musimy zwrócić uwagę na prawa psychologiczne, na których oparty jest stosunek mowy i myśli: otóż dzia-

łają tu dwa prawa, a raczéj dwa rodzaje jednego prawa asocyacyi. Ogólnie biorąc mowa nasza warunkuje się prawem asocyacyi styczności, mocą którego ukazujący się jeden fakt wywołuje w umyśle ludzkim fakt inny, który pierwszemu zwykle towarzyszy: i tak dziecko uczy się mówić w ten sposób, że wskazują mu jakiś przedmiot np. świécę i jednocześnie mówią wyraz „świéca“, więc potém choć samego przedmiotu nie ma przed oczami, w fantazyi dziecka maluje się jego obraz, gdy mu powtórzą jego nazwę. Inaczéj się ma z wyrazami naśladowczemi: dziecko słyszy beczenie owcy i nazywa ją wyrazem „be!“ potém choć owcy nie widzi, jednak przedstawia sobie jéj obraz, gdy mu kto ten wyraz „be!“ powtórzy; tutaj wyraz, i przedmiot, który ten wyraz oznacza, mają pewną wspólną cechę, pewne podobieństwo, tu więc działa asocyacya podobieństwa. Stosunek pisma do mowy oparty jest także na asocyacyi styczności, nie ma bowiem żadnego podobieństwa między dźwiękiem i literą, ale nie zawsze tak było, przeciwnie nawet na początku obadwa rodzaje asocyacyi były podstawą dla usiłowań człowieka, uwieńczonych tak pomyślnemi rezultatami, ale tylko asocyacya podobieństwa była prawdziwém źródłem tak pisma jak, według wszelkiego prawdopodobieństwa, i naszéj mowy.

I. **Pierwotne systemy pisma, oparte na asocyacyi styczności.**

Tylko wówczas będziemy mogli mówić o podobnego rodzaju systemach pisma, jeśli wprzód porozumiemy się co należy wogóle pismem nazywać; teraz prawie nie możemy sobie wyobrazić pisma bez papieru, pióra i atramentu, były jednak czasy kiedy wszystkich tych rzeczy nie znano. Do historyi pisma należy wciągnąć wszystko co choćby w przybliżeniu ma do teraźniejszego systemu stosunek; a więc określenie tego pojęcia musi być bardzo ogólném: jak mowa jest wyrazicielką myśli, przyjmowaną przez ucho, tak każdy znak lub zbiór znaków, wyrażający pewną myśl, przeznaczony na to, aby został przyjęty do świadomości za pomocą zmysłu wzroku, jest pismem.

Prawdopodobnie takiém najpierwotniejszém pismem był i jest jeszcze każdy znak robiony w pewnéj okoliczności, w tym celu, aby nam w innym czasie tę samą okoliczność przypomniał; jeszcze teraz często się zdarza, iż zawiązujemy węzełek na chustce, nasi karbowi za pomocą karbów robionych na kijach umieją zapisywać nie tylko liczbę robotników, ale i rodzaj ich roboty, a dawniéj mówiono, że gdy się kto rozgniewał i zemstę przygotowywał, motał węzełek na wąsie. Zdawało by się, że podobnego rodzaju znaki nie za-

sługują wcale, aby je mieścić w historyi pisma, a jednak one to prawdopodobnie dały pierwsze pchnięcie, pierwotnemu człowiekowi do pójścia daléj w tym kierunku. Na tém opierają się niektóre nasze zwyczaje, sięgające najstarożytniejszych czasów jak np. stawianie kopców lub słupów granicznych; pomniki na grobach ludzi zasłużonych lub blizkich naszemu sercu dopiero dziś stały się wyrazem naszych uczuć, dowodem ich zasług, początkowo zaś były tylko znakami mającemi na celu proste przypomnienie. Te pierwsze popędy niezupełnie były bezowocne, z nich rozwinęło się parę systemów pisma, które w rozmaitych okolicach i u urozmaitych ludów różne nosiły nazwiska, tak więc: w północnéj Ameryce *Kekivin*, u Irokezów i Huronów *Wampum* lub *Wampam*, w południowéj Ameryce *Tehmehri*, u Telteków a potém u Azteków *Quiche* albo *Analthe*, w Peru *Quipu*; ostatni rodzaj pisma mieli także Chińczycy. Najwięcéj jest znane pismo Irokezów i Peruwiańczyków o niém téż powiemy słów parę.

Quipu jest potomkiem w prostéj linii owych węzełków, które przed tysiącami lat zawiązywano jak teraz na chustkach, jeżeli te były w użyciu; sama nazwa oznacza „węzeł“ i odczytać je może tylko wtajemniczony. Pismo to jest rodzajem frendzli utworzonéj z jednego sznura poprzecznego, do którego jednym końcem przywiązuje się różnokolorowe i rozmaitéj długości mniejsze sznurki na których nawiązano węzły: kolor i długość sznurków, ilość i sposób zawiązania węzłów, wszystko ma swoje znaczenie, wątpię jednak czy je kto teraz odgadnąć potrafi; wiadomo tylko, że dotychczas znajdują się całe archiwa, gdzie przechowują się w podobny sposób zapisane lecz dziś niepodobne do odczytania zbiory traktujące o wypadkach z historyi inków.

Innym, choć na téj saméj zasadzie opartym, jest system pisma *Wampum*, co znaczy „muszla“; jest to rodzaj pasa ułożonego z nitek, na których przewleczono różnokolorowe tabliczki wycięte z muszli, tu także kolor muszli oraz kierunek różnokolorowych linii ma swoje znaczenie.

Wszystkie rodzaje, jakkolwiek mające główną zasadę jedną, tj. asocyacyą styczności, gdyż początkowo znaki te były zrozumiałe dla tego, kto je robił, potém stały się przedmiotem nauczania i otrzymały stałą wartość tak np. gdy pokażę komu chustkę, na któréj jeden róg zawiązałem w jeden węzeł pojedyńczy, drugi w dwa takie same a trzeci w jeden ale podwójny, nikt nie odgadnie co te węzły znaczą, dopiero muszę sam to wytłómaczyć; ale gdyby przyjął się zwyczaj oznaczania np. przez jeden węzeł pojedyńczy, że dwa państwa się poróżniły, przez dwa pojedyncze—że wybuchła wojna

a przez podwójny—że zwyciężyliśmy, w takim razie każdy widząc te trzy znaki z łatwością ich znaczenie odgadnie, jak gdyby przeczytał o tém we współczesnéj książce.

Cała trudność polega na tém, że najprzód takich znaków musi być wielkie mnóstwo, aby każdy odpowiadał jednemu faktowi, a powtóre że pomiędzy znakiem a myślą przezeń wyrażoną nie ma żadnego wewnętrznego związku, wskutek czego nauka tego pisma była nadzwyczaj utrudniona. Jaką żądzę wiedzy musiał posiadać człowiek, kiedy dokładał tyle nadludzkiego trudu, aby te przeszkody pokonać! trudność ta jednak była wyrokiem na ten rodzaj pisma: nie rozwinęło się daléj, nie pozostawiło żadnego potomstwa, lecz wpłynęło na rozwój pisma wogóle tylko w ten sposób, że zaostrzyło w człowieku popęd do szukania łatwiejszych sposobów utrwalenia swoich myśli.

Zanim przystąpimy do historyi systemów, które miały szeroki rozwój historyczny, które były niejako przodkami naszego teraźniejszego pisma, należy wspomnieć jeszcze o jednym osobnym pierwiastku, jaki wchodził w rozpatrzone już przez nas systemy, tym właśnie pierwiastkiém jest znaczenie rozmaitych kolorów.

Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że wybór kolorów nie odbywał się zupełnie dowolnie, że musiała istniéć tu jakaś zasada; tę dla niektórych przynajmniéj barw znaleść można. Czerwona krew płynąca z ran zadanych na wojnie stała się symbolem wojny; noc, która dla pierwotnego człowieka nie przedstawiała nic poetycznego, lecz przeciwnie była smutną, niebezpieczną ze względu na drapieżne zwierzęta i duchy ciemności, była przyczyną, że czarny kolor stał się symbolem smutku, nieszczęścia, jak przeciwny kolor biały, kolor dnia oznaczał radość i wesele, a barwa wschodzącego zboża zielona nadzieję. Nie można jednak sądzić, że poglądy na to wszędzie i zawsze były jednakowe: u nas np. czerwony kolor jest symbolem miłości, czarny wprawdzie oznacza smutek, ale u innych niepokrewnych z nami narodów tę rolę gra właśnie barwa biała, która znów u nas ma wyrażać niewinność.

W każdym razie można przyznać, iż znaczenie niektórych kolorów opiera się na asocyacyi podobieństwa, reszta zaś dla któréj téj zasady znaleźć niepodobna, otrzymała znaczenie umówione, tj. gdy parę kolorów wyrażało cokolwiek, więc człowiek i na inne barwę rozciągnął tę własność. Na tém także opiera się język kwiatów: od koloru znaczenie przeszło na kwiat, ztąd róża jest symbolem miłości, lilia niewinności itp. większość zaś kwiatów ma również znaczenie umówione, lub przypadkowe.

II. Systemy pisma oparte na asocyacyi podobieństwa.

Każde stworzenie na świecie zadowolone jest z postaci jaką mu nadała natura; wprawdzie kokieterya, chęć przypodobania się, oraz duma mająca źródło w poczuciu własnéj piękności nie jest wyłączną cechą człowieka, ale najmędrsze zwierzęta dbające o swój wygląd, swoje staranie o utrzymanie piękności ograniczają do *minimum*, np. ptaki muskają i czyszczą swe pióra, koty się myją, żadnemu jednak nie przyszło nigdy na myśl, poprawiać naturę, dodawać coś sztucznego do swoich ozdób naturalnych i umyślnie zmieniać swą postać. Człowiek jeden nie zadawalnia się nigdy tém co posiada, najniżéj stojący na stopniu umysłowego rozwoju dziki mieszkaniec Afryki lub Australii pragnie poprawić naturę, sztucznie podnieść swą piękność a raczéj powiększyć jeszcze swą brzydotę: nowonarodzonemu dziecku płaszczą głowę, która przez to ma się stać foremniejszą, torturują swoje niektóre członki, *par force* rozciągając je lub zmieniając kształt ich naturalny, wszędzie gdzie tylko mogą przywieszają świecidełka: do warg, do nosa, do uszu, a instynkt ten jest tak silny, że objawia się nawet u najucywilizowańszych narodów, gdyż i u nas piękne damy chętnie dziurawią uszy, aby do nich przyczepić błyszczący minerał lub kawałek metalu. Ubranie nasze, stanowiące teraz niezbędną potrzebę, ma początek także w tym instynkcie, bez niego skóra nasza tak samo była by przyzwyczajona do zmian atmosferycznych jak skóra zwierząt; nie potrzeba więc wywołała to, lecz chęć przystrojenia ciała. dzicy stroją się w pióra, w skórę zwierząt a gdy żyją w klimacie, gdzie ubranie byłoby nietylko zbyteczne lecz nawet niemożliwe do noszenia wskutek gorąca, tam w inny sposób zadawalniają ten instynkt, skórę pokrywają nacięciami i malowidłami; co spotykamy już u najpierwotniejszych ludów i w jak najszerszém zastosowaniu.

Drugą cechą człowieka, tym razem wspólną z najbliższym jego czwororękim kuzynem, jest chęć naśladowania i odtwarzania wszystkiego, co pod zakres zmysłów podpada; dzieci od wczesnych lat zaczynają z zapałem łamać ołówki i mazać niemożliwe figury na papierze, dzicy posiadają również w wysokim stopniu tę cechę, upiększają niedołężnemi rysunkami swoję broń, sprzęty i własne ciało. Te to właśnie dwie charakterystyczne cechy człowieka, chęć upiększenia swego ciała i otaczających przedmiotów oraz instynkt naśladowczy były źródłem, z którego powstało malarstwo, z tego zaś rozwinęła się stopniowo sztuka pisania.

Może kto zarzucić, iż opierając się tylko na obserwacyi dzieci i dzikich współczesnych, nie mamy jeszcze prawa wnioskować

o tém, że takimiż byli nasi najstarożytniejsi przodkowie, może im nie wystarczy i to przypomnienie, że psychologia jest tylko jedna; na szczęście jednak posiadamy silniéj przekonywające dowody historyczne: w jaskiniach Francyi i Anglii znaleziono rysunki ostrym krzemieniem wydrapane na rogach jelenich lub kłach mamuta, przedstawiające rozmaite przedpotopowe zwierzęta, co może służyć za dowód, że utworzone zostały w czasie, w którym zwierzęta te żyły. Ciekawym jest rysunek znaleziony w jaskini Madeleine w Belgii, przedstawiający mamuta i drugi—idącego człowieka z kijem na ramieniu, i te jednak należą już do późniejszego okresu, wartość ich maleje w porównaniu z tém, co nie dawno (1879 r.) znaleziono w Pireneach: w jednéj jaskini z okresu paleolitycznego natrafiono na zbiór zębów niedźwiedzia jaskiniowego z rysunkami przedstawiającemi współczesne zwierzęta, a co najważniejsza, obrazy kilku ludzi, obrośniętych jak mamut długim włosem.

Oto pierwszy punkt wyjścia we właściwéj historyi pisma; niestety fakty historyczne, jakie posiadamy nie stanowią jednolitego łańcucha, wiążącego te pierwsze próby rysunkowe z naszym udoskonalonym choć niedoskonałym alfabetem; brakuje nam bardzo wielu ogniw, które musimy dopełnić, czerpiąc fakty z życia współczesnych dzikich, lub téż zapełniając luki rozumowaniem. Najstarożytniejsze pismo na świecie, jakie spotykamy w Chinach już bardzo oddaliło się od swego źródła, znajdujemy tam wiele pierwiastków, wskazujących nam długi szereg lat rozwoju. Znamy jednak pierwotniejsze choć późniejsze pismo Indyan Ameryki północnéj, ale i tutaj jeszcze odstęp pomiędzy pierwszym rysunkiem i malowaném pismem jest zbyt wielki, abyśmy mieli te dwa zjawiska bezpośrednio z sobą łączyć. Rysunki, o których mówiliśmy, nie są bynajmniéj pismem, są tylko obrazami, a najważniejsza w naszéj historyi chwila była ta, w któréj człowiek po raz pierwszy rysunkowi nadał charakter pisma. Czém właściwie jedno różni się od drugiego? na to pytanie nie jest tak łatwo odpowiedziéć, jak się może na pierwszy rzut oka wydaje: z jednego źródła wypłynęło jedno i drugie. Przedewszystkiém musimy przyznać, że cel jednego różni się wielce od celu drugiego, rysunek jest wyrazem estetycznych dążności, gdy pismo służy do porozumiewania się; rysunek może przedstawiać jednę lub kilka figur, i nie wyraża wcale następczego ich wzajemnego stosunku, pismo zaś pierwotne składało się zawsze z szeregu figur lub grup całych, ułożonych w ten sposób, że oko musiało przechodzić stopniowo od jednéj do drugiéj a zadaniem myśli było odgadywać ich wzajemy stosunek. Zdaje się, że pierwszym krokiem na téj dzodze było użycie godeł, z któremi spotykamy się jeszcze teraz na

każdym kroku: na szyldach malują przedmioty znajdujące się w sklepie; człowiek pierwotny choć wprawdzie szyldów nie używał, ale prawdopodobnie zaczął od tego rodzaju godeł; następnie przyszły inne: każdy stosownie do swéj powierzchowności lub wewnętrznych przymiotów przyjmował imię zwierzęcia, lub przedmiotu, z którym uważał się pod jakimkolwiek bądź względem spokrewnionym duchowo: ztąd takie imiona jak Wilk, Ryś, Odyniec, Lew, Łoś, Karaś itp. pierwotnie służące tylko jednéj osobie a potém dziedziczne; dziki pragnie zaraz ilustrować swoje imię, rysuje więc ten znak na przedmiotach należących do niego, czasem na własném ciele i znaku tego używa jako podpisu; ztąd może wzięło początek wiele naszych herbów. Za godło takie mógł służyć obraz jednéj części ciała ludzkiego lub zwierzęcego, jeżeli różnica indywidualna wyrażała się w tym jednym organie: więc ręka, głowa, oko, skrzydło ptaka, pazur lwa itp. Taki rysunek przestaje już być sztuką piękną a staje się pismem, tém bardziéj, że nie chodzi w nim o estetyczne i dokładne przedstawienie przedmiotu i wystarcza zakreślenie jego konturów. Z rysunków i godeł składa się znany list indyjski, pomieszczony przez Lubbock'a w jego „Początkach cywilizacyi": liczbę osób oznacza tam ilość figur powtórzonych, mamy więc tam siedem razy narysowanego żołnierza i karabin, europejczyk nosi kapelusz, indyanie wyobrażeni z gołemi głowami, każdy ma przy sobie jakiś przedmiot mniéj lub więcéj charakterystyczny, więc żołnierz karabin, oficer szablę, geolog młotek, sekretarz książkę itp. Takie pismo nie ma nic wspólnego z językiem, maluje bowiem nie wyrazy lecz pojęcia, łatwo więc może być czytane przez wszystkich ludzi, których umysł już nieco jest przysposobiony do rozwiązywania podobnego rodzaju zagadek.

Cała historya pisma zdaje się dostarczać dostatecznych dowodów, popierających mniemanie, że nie było narodu któryby wynalazł pismo i zarazem rozwinął je do najwyższego stopnia doskonałości; każdy zapożycza pismo od innego ale zarazem wprowadza w nie ogromne zmiany, które stanowią prawdziwą epokę w historyi; przytém należy zwrócić uwagę, że zapożyczenie to może być dwojakiego rodzaju: samych znaków, które zostały uproszczone i udogodnione, jak np. zostało przejęte pismo egipskie przez Fenicyan, lub też bywa zapożyczoną sama idea pisma, dla której tworzą się nowe zupełnie znaki, jak to spotykamy u Persów. W każdym razie, zdaje się rzeczą pewną, że każda nowa epoka pisma zaczyna się z chwilą przejęcia go przez naród, który do owéj chwili pisma nie posiadał, lub posiadał inne daleko mniéj wykształcone.

Wuttke twierdzi, że Chińczycy, czy też naród przed nimi żyjący w Chinach posiadał pismo podobne do peruwiańskiego quipu, a jednak potém rozwinął się tam wcale inny system, który jednak z powodów wyżéj przytoczonych wydaje się zapożyczonym niewiadomo zkąd i znacznie rozwiniętym. Prawdopodobnie pierwowzór pisma chińskiego starożytnego był takim zupełnie, jaki widzimy w rysunkowém piśmie Indyan, u Chińczyków już znajdujemy ogromny postęp. Spotykamy tam przedewszystkiém obrazy przedmiotów i ich godła, te jednak z czasem stają się znakami, w których trudno znaleźć pierwotny okres dokładny i wyraźny; mamy więc już symbole, w każdym jednak razie te jeszcze nie tracą podobieństwa wewnętrznego do wyobrażanego przedmiotu. Pismo tu rozszerza się, obejmuje więcéj pojęć i przedmiotów, idzie w tym kierunku ręka w rękę z mową, która także abstrahuje konkretne pojęcia. Następuje przedewszystkiém różniczkowanie: więc figura stojąca oznacza człowieka żywego, leżąca — zmarłego; do przedstawienia pojęć oderwanych służą albo pojedyńcze obrazy, albo ich grupy, więc: serce oznacza ducha, nogi—czynność chodzenia; dwaj ludzie idący ku sobie znaczą pozdrowienie, idący za sobą—następstwo, dwie kobiéty—gawędę lub kłótnię, oko i woda oznacza łzę. Każde pojęcie posiada odpowiedni wyraz w mowie, odpowiedni znak lub grupę znaków w piśmie, ale pomiędzy mową a pismem bezpośredniego związku nie ma wcale; jedyny związek między niemi zachodzi w tém tylko, że następstwo znaków pisma odpowiada ściśle skreślonemu przez gramatykę następstwu wyrazów w mowie. Chińczycy zadowolnili się uproszczeniem zewnętrznéj formy swych znaków, z biegiem czasu stały się one prawie zupełnie niepodobnemi do pierwotnych obrazów; ale główna zasada pozostała niezmienioną, i teraz jeszcze pismo chińskie posiada tyle rozmaitych znaków, ile pojęć mieści się w głowie Chińczyka, a może i więcéj, gdyż niektóre pojęcia mogą być wyrażane przez kilka znaków rozmaitych i w tém właśnie leży największa trudność nauczenia się czytania po chińsku, témbardziéj, że znaki utraciły zewnętrzne podobieństwo do przedmiotów, które mają wyrażać. A więc pismo, wyszedłszy z innego zupełnie źródła stało się znów podobne do tych systemów, które zbudowano na podstawie luźnej asocyacyi styczności. Zreformowane przez Japończyków chińskie pismo należy już do innego okresu historycznego, było to bowiem pismo sylabowe.

Hieroglify egipskie stanowią nowy okres i to bardzo od poprzedniego różny. Nie wiemy skąd Egipcyanie przejęli pismo, istnieją wprawdzie tradycye, że pismo wynalazł bóg Tot, który przyszedł z Nubii; wierzyć temu ściśle niepodobna, w każdym razie

można sądzić, że naród, od którego otrzymali Egipcyanie to dobrodziejstwo, musiał posiadać pismo przynajmniéj tak rozwinięte, jak u starożytnych Chińczyków. Charakterystyczną cechą Egipcyan było dzielenie wyrazu na sylaby i wyobrażanie sylab przez znaki obrazowe, co dało możność znakomitego zmniejszenia liczby tych znaków. Posiadamy w naszym języku pewne wyrazy, które oznaczają rozmaite przedmioty, np. królik oznacza małego władcę i zwierzę, wyrazu ksiądz używano dawniéj w znaczeniu duchownego i księcia, lak jest rośliną i sztucznie wytworzoném ciałem; tak téż i znaki hieroglificzne oznaczają często grupy podobnych nie pojęć lecz wyrazów, np. obraz sowy (mulak) może oznaczać króla (melech); palec (tep) znaczy również skład (taibe) i tysiąc (tba); palma (pet) oznacza także rok, miesiąc (abot) i t. p. Tu znaki oznaczają nie samą rzecz lecz jéj nazwę, dlatego téż o ile możnaby czytać chińskie książki starożytne bez znajomości języka, o tyle tutaj byłoby to niemożliwém. Na tych przykładach widzimy, że pierwotnie Egipcyanom chodziło tylko o to, aby wspólnego znaku używać dla kilku wyrazów podobnie brzmiących, przyczém nie zwracano uwagi na samogłoski; z początku więc była wielka dowolność w wyborze tych znaków, tak np. wyraz król mógł być wyrażony przez dwa znaki, skład przez trzy i t. p. Z czasem jednak zaczęły się ograniczenia, więc jednego znaku używano dla paru wyrazów podobnych do siebie nie tylko pod względem spółgłosek ale i samogłosek, następnie zaczęto dla dłuższych wyrazów używać znaków podwójnych i potrójnych, tak np. jak w naszych rebusach, gdzie rysunek przedstawiający niebo i raka, czyta się: „nieborak.“ Nie zawsze jednak można było wybrać dogodne wyrazy, tak np. krokodyl znaczy „sukhi“, aby napisać ten wyraz, używano dwóch figur, z których jedna przedstawiała międlony len—seppe, a druga pierś kibe; ze względu jednak na to, że połączenie tych dwóch wyrazów nie jest dokładnie podobne do wyrazu sukhi, więc w rodzaju objaśnienia dodawano jeszcze trzeci obraz przedstawiający krokodyla.

Często bardzo obraz przedmiotu nie znaczył całéj jego nazwy, lecz tylko pierwszą jego sylabę, rzadziéj dźwięk pojedyńczy, tak np. jakby u nas obraz worka znaczył *wo* a domu *d*, to znacznie ułatwiało możność składania wyrazów, tym więc sposobem pismo stało się sylabowém i mogło z łatwością oddawać nawet cudzoziemskie wyrazy, o ile te naturalnie nie zawierały w sobie dźwięków obcych dla języka egipskiego.

Wyraźne z początku rysunki zaczęły tracić swoję jasność, czy to wskutek prędkiego pisania, czy téż przez chęć kapłanów zmie-

nienia pisma, aby utrudnić czytanie ksiąg świętych ludziom świeckim. W ten więc sposób powstało pismo hieratyczne i demotyczne. To są najcharakterystyczniejsze cechy pisma egipskiego, nie będziemy się dłużéj nad niém rozwodzić, nie chcąc nużyć uwagi czytelnika szczegółami podrzędnemi; przejdziemy zaś teraz do alfabetu, który wziął początek z hieroglifów, t. j. do pisma fenickiego.

Przedtém jednak pozwolimy sobie powiedzieć słów parę o systemie pisma, który pod względem zewnętrznym nie ma nic wspólnego z żadnym innym alfabetem, — jest to klinowe pismo perskie. O ile się zdaje, starożytni Persowie w połowie VI w. przed nar. Ch. przejęli samę zasadę pisma od Babilończyków lub Assyryjczyków, którzy znów pisali w podobny mniéj więcéj sposób, jak Egipcyanie i od nich zapewne swoje pismo zapożyczyli; Persowie przyjęli zasadę, ale nie formę znaków, tę sami wymyślili i to trzeba przyznać bardzo oryginalną ale i trudną do spamiętania. W najstarszych perskich napisach spotykamy dwa rodzaje klinów: pionowy i poziomy, rozmaite zestawienia tych dwóch klinów, oraz kąta również z dwóch klinów utworzonego dają nam znaki rozmaitych sylab, przyczém trzy samogłoski *a*, *i*, *u* mają znaki osobne: tych jest 37, liczba niezupełnie wystarczająca potrzebom języka i dlatego napisy klinowe są trudniejsze do odczytania niż inne.

Nie będziemy tu mówić wcale o wielu systemach pisma, jak np. o sanskryckim, *devanagari* zwanym, o tym, którym napisana Avesta i t. d., ponieważ dotychczas ich początek pozostaje nieznany, a zasada ich wcale lub w niewielkich szczegółach różni się od alfabetów sylabowych i dźwiękowych, o których już mówiliśmy lub mówić będziemy, zwrócić tylko należy uwagę na to, że pisma te wszystkie mają charakter już nie hieroglifów, obrazów, lecz alfabetów, t. j. znaków.

Dochodzimy nareszcie do ostatniéj głównéj epoki pisma, do czysto dźwiękowego alfabetu; około r. 2700 przed nar. Chr. na delcie nilowéj zaszedł wypadek, któremu zawdzięczamy nasz alfabet: z brzegów Palestyny i Fenicyi przybyła garstka ludzi, która zajęła deltę; wiemy jak przedsiębiorczym narodem byli Fenicyanie, dla nich nie istniała tradycya egipska, nakazująca przechowywać ze czcią wszystkie znaki pisma przekazane przez przodków, poznawszy więc pismo hieratyczne wzięli z niego tylko 22 znaki, które stały się tém, czém są teraźniejsze litery, oznaczające pojedyncze dźwięki. Znaki te naturalnie zostały nieco zmienione według gustu Fenicyan, ale początek ich tkwi w starych obrazach hieroglificznych, tak np. litera *a* oznaczała początkowo głowę wołu i nazywała się *aleph*, *b* pierwotnie było rysunkiem domu, którego nazwa

brzmiała *beth*; z czasem jednak już w piśmie hieratycznėm pierwotny rysunek został uproszczony, stał się znakiem, stracił podobieństwo do oznaczanego pierwotnie przedmiotu. Widzimy więc, że znowu pismo, które powstało na zasadzie asocyacyi podobieństwa, przeszło w zakres działania asocyacyi styczności, ale nic prawie na tėm nie straciło, gdyż wprawdzie znaki utraciły wszelką wyrazistość, ale też i liczba ich znakomicie się zmniejszyła, tak, że teraz nie przychodzi nam z wielką trudnością nauczyć się na pamięć, który znak odpowiada danemu dźwiękowi.

Od czasów Fenicyan pismo nie przeżyło już żadnėj epoki, którąby wielką zmianę wywołała, różne narody wzajemnie pożyczały od siebie alfabety, zastosowywały je do swoich potrzeb, zmieniały znaki lub wymyślały nowe, zasada jednak pozostała niezmienioną: tak Grecy zapożyczyli pismo od Fenicyan, Rzymianie przejęli je od Greków i z tych dwóch źródeł pismo rozszerzyło się w całėj Europie; od greckiego alfabetu pochodzą dwa: g ł a g o l i c a i k i r y l i c a, którą Piotr W. zreformował na tak zwaną g r a ż d a n k ę. Wszystkie inne teraźniejsze alfabety europejskie, oprócz tureckiego, są zreformowanym alfabetem łacińskim.

W tym krótkim przeglądzie historycznym doszliśmy do następujących wniosków:

systemy pisma, oparte pierwotnie na asocyacyi styczności, od samego początku nosiły w sobie zaród śmierci;

właściwėm źródłem pisma był rysunek;

każdy system pisma, wskutek stopniowego zacierania się wyrazistości znaków, przechodzi z zakresu jednėj asocyacyi do drugiėj.

głównemi epokami w historyi pisma są te, w których pismo przechodzi od jednego narodu do drugiego;

znaki, malujące pierwotnie obrazy przedmiotów (chińskie), wyrażały potėm wyrazy i sylaby (egipskie) i nareszcie dźwięki (fenickie);

pierwotne systemy pisma miały bezpośredni związek z myślą bez względu na mowę; więc istniały dwa stosunki: myśli do mowy i myśli do pisma; potėm był stosunek mieszany w piśmie egipskiėm i nareszcie w nowszych alfabetach, zaczynając od fenickiego, pismo i myśl bezpośredniego związku nie mają, lecz tylko pośredni przez mowę.

Okresy historyczne w rozwoju pisma:

Okres I.
1) rysunki (najpierwotniejsze);
2) godła (Indyanie północnėj Ameryki);
3) pismo obrazowe, gdzie każdemu pojęciu odpowiada obraz (chińskie).

Okres II. 4) obraz przedmiotu wyraża część jego nazwy (egipskie).
Okres III. 5) alfabet: znaki odpowiadają dźwiękom mowy.

Pierwsze trzy epoki mogą stanowić jeden peryod, gdyż właściwie zasadę mają wspólną.

Z dołączonéj tablicy widzimy, że cyfry używane w średnich wiekach i nasze teraźniejsze, ogółem nie wiele się różnią od najdawniejszych arabskich, a więc z biegiem czasu mniéj się zmieniły niż litery oznaczające dźwięki językowe. Przyczyna téj różnicy prawdopodobnie leży w tém, że w zmianach kształtów pisanych działa to samo prawo, co w zmianach fonetycznych, mianowicie dążymy do uproszczenia procesu wymawiania i pisania; uproszczenie to zaś ma obszerniejsze pole w alfabecie niż w cyfrach; litera nawet bardzo uproszczona w całym wyrazie nie jest trudną do odgadnięcia, w ostatecznym razie można jéj znaczenie z łatwością odgadnąć, tak np. w zwykłém naszém piśmie litery *u* i *n* piszą się jednakowo, a nikt nie bierze jednéj za drugą. Zupełnie co innego zachodzi w cyfrach: tu jedna cyfra nie zależy od sąsiedztwa innéj, i w razie niewyraźnego lub niedbałego pisma z łatwością można błędnie liczbę odczytać, dlatego każdy się stara najdokładniéj oddać kształt każdéj cyfry, a gdzie jest takie staranie, tam o zmianę bardzo trudno. Pomimo tego i tutaj znajdujemy zmiany, ale tylko po największéj części w kierunku estetycznym i to stosunkowo bardzo niewielkie, gdyż, jak widzimy, między cyframi Dürera z XVI w. i naszemi nie ma żadnéj prawie różnicy.

Jan Łoś.



WZORY LICZB z ROZMAITYCH EPOK.

	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	0.
Indyjski devanagari	१	२	३	४	५	६	७	८	९	., ०
Arabski rok 772	١	٢	٣	٤, ٤	٥, ٥	٤	٧	٨	٩	., ٠
Arabski z północnej Afryki i Hiszpanii magrebskim albo gobarskim zwany	ı	ح	ξ	~	ч	6	7	X	9	o
	ı	C	ξ	~	ч	б	7	୭	9	O
Europ. w. XI wprow. przez Gerberta naucz. Ottona III. *abacus* potem *apices* zwane.	ſ	Շ	ζ	∞	ɢ	ȴ	^	8	9	o
Początek XII wieku	ɿ	ፘ	ɰ	ɧ	ɋ	Ⴊ	✓	8	ȡ	o
wiek XII	ı	„	Ʒ	~, ∞	q	P	⁄	„	cc	„
wiek XIII	ɿ	7	3	ℓ	ɋ	6	1	8	9	O
koniec w. XIV	ɩ	Z	3	ℓ	ɋ	6	^	8	9	„
wiek XV	ı	2	3	ℓ	ɋ	6	^	8	9	o
A. Dürer 1525.	1	z	3	4	5	6	7	8	9	

WZORY WYJĘTE z TH. WALTERA „ZAHLEN UND ZIEFFERN".



SAMOBÓJSTWO.

„Kartki te piszę w ostatniéj godzinie mojego życia. Czynię to zaś dlatego, aby raz jeszcze przekonać się, że śmierć stała się dla mnie koniecznością a życie niepodobieństwem.

Niedawno wybiła dziesiąta godzina. Służącéj pozwoliłem pójść na miasto, mój syn poszedł do teatru. Jestem sam w mieszkaniu. Uczuwam pragnienie, ponieważ jednak zapomniałem powiedzieć służącéj, aby postawiła karafkę z wodą na moim stole, muszę czekać aż powróci.

Mój syn przyjdzie około północy; wtedy pożegnam się z nim a skoro uśnie, wypiję tę flaszkę kwasu karbolowego, którą dziś przyniesiono mi z apteki dla przemywania mojéj rany w nodze. Władek śpi twardo. Nie przebudzi się, choćbym się szamotał na łóżku. Gdy zaś jutro rano otworzy oczy, wszystko będzie już skończone.

I pomyśléć tu, że przyczyną mojéj śmierci, śmierci samobójczéj, stała się ranka na nodze, mała, czerwonawa, niewinna na pozór; trzygroszniakiem można by ją zakryć zupełnie. A jednak ona to mnie zabija.

Przez całe życie byłem czynnym człowiekiem. Pracowałem wiele i z przyjemnością, za to prawie wcale nie oddawałem się rozmyślaniom. Dopiero od czasu utworzenia się téj rany, tryb mojego życia odmienił się na odwrót. Zostałem przykuty do łóżka i przeleżałem na niém dziewiętnaście miesięcy. Oczywiście, że przez cały ten czas nie mogłem pracować i być w ruchu jak dawniéj. Wszystkiemi sprawami zajmował się Władek, a ja czułem się nieszczęśliwym, widząc ciągle jego niezaradność i swoję niemożność. Przytém bezczynne moje położenie zmuszało mnie do rozmyślania, a to nie przynosi szczęścia takim prostym jak ja ludziom. Żadna z tych my-

śli, które, niby czarne ptaki, nawiédzały mnie w czasie choroby, nie sprawiła mi radości. Przeciwnie karmiłem się samemi smutkami, gdym porównywał swoję dolę z dolą innych ludzi albo téż z własną dolą niedawną.

Aż wreszcie nawiédziła mnie jedna myśl, która opętała zupełnie mój umysł i stała się niby raną na duszy, która nie chciała się nigdy zagoić, podobnie jak rana na nodze. Była to myśl o samobójstwie.

...... Wszystko to zaś zaczęło się od bagateli i nikt by wówczas przewidziéć nie mógł skutków, tak wielkich.

Oto odziębiłem sobie wielki palec u prawéj nogi. Sprawiało mi to nieco bólu i nie mogłem nakładać buta. Pewny, że to wkrótce przejdzie samo z siebie, nie leczyłem się wcale a nawet nie przestawałem chodzić, dobrawszy sobie na odziębioną nogę grubą, wełnianą pończochę i wygodny kalosz.

Spotkawszy pewnego razu znajomego mi felczera, poradziłem się go. Odrzekł, że to głupstwo; dał mi przytém trochę jodyny we flaszeczce, radząc abym nasmarował chory palec przed pójściem spać.

Zrobiłem to, ale podobno zawiele na raz użyłem jodyny i ból w palcu powiększył się. Nie zwracałbym na to uwagi, bo byłem na ból wytrzymałym, ale przeszkadzało mi to, że coraz trudniéj było mi chodzić. A właśnie w tym czasie potrzebowałem być ciągle w ruchu, ponieważ rozpocząłem stawianie oficyny w mojéj kolonii.

Zacząłem się więc leczyć u doktorów, mieszkających w pobliskiém dużém mieście Ł. ci przedewszystkiém położyli mnie do łóżka. Zdecydowałem się przez kilka dni nie wstawać wcale, bylem tylko jak najprędzéj odzyskał możność zajmowania się interesami, rozpoczętą budowlą, ogrodem i pszczołami.

Upłynęło jednak parę tygodni a z moim palcem było coraz gorzéj. Ból nie ustawał, siność nie zchodziła, a nawet utworzyła się mała rana.

Znudzony tém, zresztą nie mając zaufania do prowincyonalnych doktorów, przyjechałem do Warszawy, aby poradzić się sławnego specyalisty. Zapisałem się do szpitala, na oddział chirurgiczny i poddałem się obserwacyi.

Chirurg przez cały miesiąc oglądał moję ranę codziennie, nie dając nic poznać po sobie co o niéj myśli. Wreszcie, gdym stawał się coraz niecierpliwszy, zaproponował mi, abym pozwolił sobie odjąć palec.

Zgodziłem się na to po krótkim namyśle.

Gdy posługacze nieśli mnie na skórzanym materacu na salę operacyjną, byłem pewny, że nóż chirurga przetnie odrazu tę obecną moję, nudną i bezczynną dolę.

Operacyą wytrzymałem bez uśpienia. Tego dnia miałem trochę gorączki, nazajutrz wszakże wstałem w jaknajlepszém usposobieniu. Bez żalu spoglądałem na bandaże, owijające już tylko o czterech palcach nogę, projektując, że z końcem tygodnia wypiszę się ze szpitala i powrócę do swojéj kolonii, za którą coraz silniéj tęskniłem.

Tymczasem upłynął tydzień, potém drugi, za nimi trzeci, wreszcie zaczęły płynąć dni do nieskończoności a ja nie mogłem podnosić się z łóżka. Dwa brzegi skóry, założone na miejscu uciętego palca nie zrastały się; rana się nie goiła.

Powoli ogarniała mnie rozpacz.

Jakże szczęśliwym czułbym się, gdybym mógł wstać, wyjść z téj sali i powrócić do ulubionych zajęć moich, chodzić po rusztowaniach, umawiać się z cieślami, mularzami, doglądać ich, widziéć jak oficyna podnosi się do góry... Gdybym zapomniéć mógł o szpitalu, o tych wiecznie jednostajnych wizytach doktora, o téj czarnéj tablicy zawieszonéj nad moją głową na któréj wypisany był nie zrozumiały dla mnie napis, określający moją chorobę:

g. senilis.

Po dwóch miesiącach tych męczarni zbielały mi włosy na głowie i brodzie i wyglądałem jak zgrzybiały starzec, a tak czerstwym i silnym przecież tu przybyłem.

Musiałem się jednak pogodzić z moją dolą. Napady rozpaczy zaczęły ustępować powoli zostawiwszy mnie o dziesięć lat starszym. Wróciła i nadzieja oparta na téj myśli, że kiedyś przecież musi się to skończyć.

Niejednokrotnie zapytywałem doktora „kiedyż nareszcie będę zdrów". Odpowiadał mi: „Nie długo już, nie długo", ale mówił to tym zwykłym, trochę szorstkim, trochę niedbałym tonem, którym doktorzy często zdają się mówić choremu: „ty niepotrzebujesz znać choroby swojéj, bo od tego ja jestem", i którym jeszcze częściéj maskują swoje nieuctwo lub niedołęstwo.

Dzięki energii, która wtedy jeszcze nie zupełnie była mnie opuściła, umiałem ukryć przed ludzkiemi oczami moje cierpienia.

Dosyć często odwiédzali mnie znajomi i krewni. Spędzali po godzinie przy mojém łóżku, za co byłem im serdecznie wdzięczny. Dziwili się moim siwym włosom ale więcéj jeszcze mojemu humorowi, który, jak twierdzili, nie opuścił mnie wcale pomimo tak długiéj choroby. Nie poznawali, że śmiéchy i dowcipy moje były sztuczne, że mnie to kosztuje.

Od smutku ludzie uciekają, a mnie tak było potrzeba towarzystwa ludzi, zwłaszcza ludzi zdrowych, którzy żyją na świecie i trochę tego życia wnoszą ze sobą aż tu, do mojego szpitalnego łóżka. Na tę sztuczną zatém wesołość zużywałem reszty moich sił, tych sił drogocennych, które z takim pożytkiem umiałbym zużytkować na świecie.

Nikt téż nie słyszał mnie narzekającego.

Wszakże, gdy zostawałem sam, upadałem na poduszki i oddawałem się na pastwę męczarniom, które gnębiły mnie od czasu operacyi. Niepokój, niepewność, gwałtowna chęć ruchu i życia, tęsknota za pracą i domem szarpały moję duszę.

Wtedy miewałem chwile, żem żałował mojego udanego humoru. Myślałem, że może lepiéj byłoby ukazać odwiédzającym mnie prawdziwą twarz swoję, wątpiącą i znękaną. Tak robili towarzysze jednéj ze mną szpitalnéj sali. Zazdrościłem im nieraz tego, że umieli wynurzyć obcym swoje żale; męczyło to innych, ale im samym przynosiło ulgę. Podczas bowiem gdy ja po wizytach znajomych moich popadałem w rozpacz, oni przeciwnie czuli się spokojniejszymi niż zwykle.

Jednak nie umiałem ich naśladować. Miałem widocznie inną niż oni naturę, która nakazywała mi w obec obcych kpić i śmiać się z mojéj rany i wszystkich wogóle dolegliwości.

Syn przyjeżdżał do mnie od czasu do czasu. Zwykle mówił mi, że zabawi jeden tylko dzień w Warszawie. Dowiedziałem się jednak przypadkiem, że przebywa tu po tygodniu i więcéj w tajemnicy przedemną.

Z tego czasu poświęcał mi trzy lub cztéry godziny. Przychodził z rana, zaraz po opatrunku doktora, ubrany jak książe, z ufryzowanemi włosami i z twarzą uprudowaną jak kobiéta. Siadał na krawędzi mojego łóżka, ściągał powoli rękawiczki i przez cały czas bytności przy mnie czyścił i szlifował swoje paznogcie.

Że nie wiele myślał o mnie, nawet mu tego za złe nie brałem. Bardziéj bolało mnie to, że nie myślał wcale o sobie. Jedyne jego starania tyczyły się jego powierzchowności. Jedyną jego troską było to, aby miał zawsze na modne i eleganckie ubranie i aby dobrze się przedstawiał.

Ponieważ od roku mieszkał ze mną na wsi, dokąd sprowadziłem go, gdyż pobyt jego w Warszawie zadrogo mnie kosztował, nabrał rumianéj cery. Było to największe zmartwienie w jego życiu. Pragnął być bladym. Twierdził, że blady mężczyzna jest interesującym dla kobiét.

....Z goryczą myślę o nim.

A jednak od czasu jak umarła jego matka, zostawiwszy go niemowlęciem, jego jednego tylko kocham na świecie, Władysia, który jako mały chłopczyk zarzucał mi ręce na szyję i wiązał supełki na moich wąsach, a który oto wyrósł na ładnego durnia, nie mającego pojęcia o żadnéj pracy.

Gdyby ona żyła jeszcze, zapewnie byłby innym. Ona umiałaby go wychować dobrze, czego ja, prosty i niewykształcony człowiek, nie potrafiłem.

Pomimo jednak wszystkiego wolałbym, aby mnie spotkała przykrość, która jemu została przeznaczoną. Dla niego pracowałem nad powiększeniem majątku, a jego pod tym względem zupełne niedołęstwo było dla mnie jeszcze jednym bodźcem do przyjemnéj pracy.

....Tymczasem stan mojéj choréj nogi nie polepszał się wcale. Ranka się wprawdzie nie powiększała, ale i nie goiła się a to położenie uciążliwe, bez zmiany trwało ciągle, ciągle....

Nareszcie doktór zaproponował mi odjęcie drugiego palca i jakiéjś jeszcze kostki przyległéj. Zgodziłem się na to odrazu. Dałem nogę powtórnie pod nóż, podczas krajania paląc spokojnie papierosa.

I znowu powtórzyła się ze mną dawna historya. Znowu wstąpiła we mnie nadzieja, tak silna, że ręce mi niemal drżały do pochwycenia za klamkę u drzwi. I znowu zwątpienie, ciągnące za sobą rozpacz, zabijać powoli zaczęło wszystkie iskry nadziei.

W końcu wpadłem w stan obojętności na wszystko, co się ze mną i około mnie działo. Przestałem liczyć dni, obojętném mi było, czy przybył kto na salę, czy wyzdrowiał lub umarł. Nie rozróżniałem dnia powszedniego od święta.

Całe godziny leżałem na łóżku bez ruchu, bez myśli. Jeden sen tylko witałem chętnie, błogosławiąc go za zapomnienie, jakie mi dawał. Ale ta rozkosz przerywana bywała przebudzaniem się o rannéj godzinie, a przebudzenie sprowadzało mi na myśl moję chorą nogę, bezkształtną, skurczoną, ściśniętą białemi bandażami.

Jak długo trwał ten stan, nie pamiętam; ale musiało minąć wiele dni i wiele nocy, bo pomiędzy dwoma mojemi spojrzeniami przez okno na ogród szpitalny, upłynęła jesień i nadeszła zima.

W tym czasie doktór zrobił jeszcze jednę próbę wyleczenia mnie: odjął mi trzeci palec. Zgodziłem się na to z obojętnością, bezmyślnie, ani na chwilę już nie ułudziwszy się nadzieją.

Przed operacyą poprosiłem, aby mnie uśpili. Doktór chciał mnie odwieźć od tego; nazwał mnie zuchem nielada. Odpowiedziałem mu trochę cierpko, że dosyć się już nacierpiałem.

Gdy po raz trzeci przynieśli mnie posługacze z sali operacyjnéj, nieszczęśliwa moja noga miała tylko dwa palce i prawie podobną była do bydlęcego kopyta.

Leżałem jeszcze czas jakiś pogrążony w apatyi. Gdym zaś budzić się z niéj zaczynał, na ogrodzie szpitalnym zima ustępować już poczynała miejsca wiośnie.

Nastąpiły dni ciepłe, jasne, łagodne, przynoszące z sobą jakieś dziwne powiewy, które wdychałem pełną piersią, zwlokłszy się do okna, a które budzić we mnie zaczęły pragnienie życia i tęsknoty za domem.

Odżyłem zupełnie, zapomniałem prawie o mojéj nodze i zacząłem się dopominać o większe porcye jedzenia.

Wreszcie napisałem do syna, aby przyjechał zabrać mnie ze szpitala i aby obstalował u stolarza dwie kule do podpiérania się.

Wróciłem do swojéj kolonii.

Powitałem ją zaś z taką serdecznością, jakiéj doznawać musi wygnaniec długoletni po powrocie do kraju. Cieszyłem się ze swobody, witałem każdy kąt moich domków, każdy zagon ziemi, każde drzewko w ogrodzie. I wreszcie marzyć zacząłem o nowéj dla mnie przyszłości, o przystosowaniu się do nowych warunków, o życiu kaléki o kulach.

Nie zważałem na miny sąsiadów moich, którzy z zadziwieniem i politowaniem kiwali na mój widok głowami. Miałem nadzieję, że wrócę choć w części do dawnych moich zajęć, do dawnego trybu.

Ale nie długo cieszyłem się tą nadzieją.

Wkrótce przekonałem się, że to co minęło, minęło dla mnie już bezpowrotnie. Noga moja wymagała zupełnego spoczynku. Każdy krok, choćby najostrożniejszy, przypłacałem długim i silnym bólem.

Zostałem więc niewolnikiem łóżka nazawsze, do końca życia...

Wtedy zacząłem więcéj niż kiedykolwiek myśléć o moim synu. Uczuwałem jakiś nieokreślony niepokój o jego przyszłość; chciałem mu ją zapewnić. Mój majątek, aczkolwiek niewielki, wystarczy na dostatnie, chociaż bez zbytków utrzymanie. Ale nie mogę powierzyć go Władkowi w téj formie, w jakiéj obecnie posiadam. Nie umiałby zarządzać kolonią, o czém dowodnie przekonały mnie jego rządy podczas pobytu mojego w szpitalu. Ogród zastałem zapuszczony, gnój spalony na kupie i nie wywieziony w pole, oficyna, tak pięknie zaczęta, została dokończona po fuszersku.

Władek potrzebuje dochodu stałego, pewnego, któryby nie wymagał pracy i starań.

Po namyśle doszedłem do przekonania, że najodpowiedniejszym interesem będzie dom w dużém mieście.

Miewałem ciągłe interesy w Ł., które to miasto szybko się rozwijało. Liczyłem i na tę okoliczność, która w przyszłości wartość domu mogłaby podnieść.

Z żalem prawdziwym pozbywałem się kolonii. Było to kochane dzieło moich rąk, mojéj pracy. Przez lat tyle, najpiękniejszych lat mojego życia, wkładałem w ten zakątek wszystkie moje myśli, starania i marzenia. Każdy kąt powstał tu podług mojego planu, każde drzewko sam zaszczepiałem, nie było grudki ziemi, któraby nie była przedmiotem moich myśli i wyrachowań.

Sprzedałem jednak to wszystko jakiemuś obcemu człowiekowi, aby zapewnić spokojny byt mojemu synowi.

Na poszukiwaniach kupca i kupna zeszło parę tygodni.

Przez ten czas nogę moję leczyli owczarze i wiejskie znachorki. Rozsądni ludzie wzruszali na to ramionami. Ale ci ludzie byli zdrowymi i nie rozumieli co się dzieje w duszy znękanego długą chorobą kaléki.

Zanadto byłem rozsądny, abym miał wierzyć w skuteczność tych babskich leków. Jednak poddawałem się im. Ci prości ludzie mieli wiarę w swoje środki, która i na mnie oddziaływała. W zgnębioną atmosferę choroby wnosili nadzieję i pocieszenie.

Czyż mogłem oprzéć się człowiekowi, który przychodził do mojego łóżka, opuszczonego przez doktorów, mówiąc z silném przekonaniem: „za tydzień panocek będzie mazura tańcował“.

Czyż mogłem wypędzać kobiety, które mnie, marzącemu o zdrowiu, jako o niedościgłém szczęściu, opowiadały o licznych i pewnych, cudownych prawie wyzdrowieniach.

Przyjemność mi sprawiały te zapewnienia, pomimo rozsądku, który szeptał nieustannie : „to są brednie“. Kto inny może oparłby się tym dziecinnym złudzeniom; ja byłem na to już zbyt słaby, zbyt znękany i zbyt nieszczęśliwy.

Przykładałem więc różne dziwaczne maści, pozwalałem liczyć obrazki na ścianach, zatrzymywać zegar i pluć wokoło mojego łóżka.

....Sprzedałem wreszcie kolonią moję dosyć korzystnie i kupiłem w Ł. dom, który zdawał mi się odpowiednim. Była to murowana dwupiętrowa kamienica z obszernym placem, wychodzącym na drugą ulicę. Byłem pewny, że za lat parę, po spłaceniu niewielkiego długu, ciążącego na hipotece, i przy podniesieniu się jeszcze ruchu przemysłowego w mieście, Władek miéć będzie pewny dochód, wynoszący półtora tysiąca rubli rocznie.

Dom został zapisanym odrazu na imię mojego syna i wkrótce przeprowadziliśmy się obadwaj do Ł.

I oto po kilku miesiącach, w ciągu których rozpatrzyłem się w nowéj sytuacyi majątkowéj, przekonałem się, że los wymierzył mi jeszcze jeden cios.

Byłem zrujnowany.

Podczas choroby mojéj nastąpiło w Ł. przesilenie, spowodowane poprzednią gorączką budowlaną. Domy zaczęły spadać gwałtownie; licytacye były na porządku dziennym. Sprzedaże odbywały się za połowę, na trzecią część nawet wartości.

O tém wszystkiém, odłączony od świata murami szpitala, nie wiedziałem zupełnie. Oszust, który mi sprzedał dom, skorzystał z tego; zapłaciłem za drogo i na warunkach na tak ciężkie czasy zbyt uciążliwych.

Była to jedném słowem zupełna ruina. Za rok, najwyżéj za dwa lata będziemy obadwaj zupełnymi nędzarzami. Zbyt dobrze, niestety, znałem się na interesach, aby się łudzić.

I oto nadeszła chwila, gdy straciłem wszystko, co mnie przywiązywało do życia.

Pozostał tylko mój syn...

Gdybym był zupełnie samotnym, zdaje mi się, że nie pomyślałbym o samobójstwie. Znalazł bym dla siebie dach i kawałek chleba, choćby w jakim przytułku dobroczynnym; jestem wszak kaléką, niezdolnym do pracy. Miałbym spokój, w którym przeżyłbym jeszcze jakie dziesięć lat, pozostające mi prawdopodobnie do śmierci.

Ale mam syna, który cierpićć będzie nędzę i łamać się w walce z życiem a któremu nie będę mógł pomódz i usunąć przeszkód z drogi.

To by mnie zabijało powoli. Wolę zatém odrazu skończyć.

Nie przestałem kochać mojego syna. Ale mam względem niego złe przeczucia i nie chcę doczekać ich spełnienia.

Jednak, gdybym choć na jeden rok życia miał do rozporządzenia dwie zdrowe nogi...

.... Ale nie! rana moja nie zagoi się nigdy. Postanowienie moje jest niecofniętém.

.... Przed chwilą odłożyłem pióro, aby raz jeszcze obejrzéć moję ranę. Od pewnego czasu ciągnie mnie coś do przyglądania się téj czerwonéj plamie na tle żółtéj i wyschłéj skóry. Patrzę nieraz całe kwadranse na nią a gdy ocknę się z tego dziwnego zapatrzenia, uczuwam obawę o moje zdrowe zmysły.

Ale oto słyszę dzwonienie u bramy. Mój syn wraca. Oddam mu dziś ostatni uścisk a za godzinę już pozyskam zupełny spokój, którego na taki długi czas pozbawiła mnie mała ranka na nodze".

Człowiek ten rzeczywiście otruł się przez wypicie znacznéj ilości kwasu karbolowego. Śmierć jego spostrzeżono dopiero nazajutrz, tak jak był przewidział, i gdy pomyślano o pomocy lekarskiéj nieszczęśliwy samobójca był już zimnym i sztywnym.

Wincenty Kosiakiewicz.





PIĄTY ZJAZD LEKARZY I PRZYRODNIKÓW

WE LWOWIE.

Świéżo odbyty w miesiącu lipcu piąty zjazd lekarzy i przyrodników polskich różnił się korzystnie od poprzednich tém, iż był liczniejszy niż zwykle, iż obfitował w większą ilość odczytów i że połączony był z wystawą hygieniczną i dydaktyczno-przyrodniczą. Wogóle z zadowoleniem zaznaczyć możemy, iż każdy zjazd uczonych naszych przewyższa poprzednie tak co do liczby uczestników jak i ilości wykładów; widocznėm więc jest z tego, że zjazdy są dla nas instytucyą istotnie potrzebną. „Wobec szczupłéj liczby ognisk— czytamy we wstępnym artykule dziennika zjazdu—w których nauki lekarskie i przyrodnicze mogą być uprawiane w języku narodowym, zjazdy nasze mają przeważnie cechę naukową, ale nierównie ważniejsze jest ich znaczenie, jako zebrań towarzyskich, na których ludziom tego samego lub pokrewnych zawodów daną jest sposobność zapoznania się, zawiązania osobistych stosunków i wymiany zdań“.

Na zjeździe tegorocznym odczytano około stu pięćdziesięciu większych i mniejszych rozpraw treści przyrodniczéj i lekarskiéj, a jeśli zważymy jeszcze, że liczne z poruszonych kwestyi wywołały żywą dyskusyą, ocenimy z łatwością całą wielkość materyału naukowego, jaki nagromadził się na posiedzeniach ogólnych i sekcyjnych. Zbytecznėm byłoby tu wyliczanie tytułów wszystkich odczytanych prac, za dużo zaś miejsca zabrałoby streszczenie tych wszystkich rozpraw, które stanowią nie małéj wagi przyczynki do postępu wiedzy lekarskiéj i przyrodniczéj. Dlatego poprzestaniemy na streszczeniu kilku odczytów, mających bądź teoretyczne znaczenie ogólniejsze, bądź też wielką doniosłość praktyczną.

Z odczytów wygłoszonych na posiedzeniach ogólnych dwa na szczególną zasługują uwagę, a mianowicie dra A. Rollego (z Kamieńca Podols.) o dziedziczności obłąkania, oraz dra Z. Krówczyńskiego ze Lwowa: Profilaktyczne zabiegi nowoczesnéj medycyny. Nadzwyczaj zajmujący odczyt dra J. A. Rollego, znanego w literaturze naszéj pisarza na polu historyczném, stanowi wyjątek z obszerniejszéj pracy, opartéj na trzydziestoletnich badaniach klinicznych i statystycznych. Prelegent starał się wykazać na wstępie, jak niedokładną jest dotychczas statystyka dziedziczności chorób umysłowych. Statystyka szpitalna nie wiele nam w tym względzie daje. Nie w tych samych szpitalach umieszczani bywają chorzy z jednéj rodziny, a tém mniéj chorzy różnych pokoleń téj saméj rodziny, prócz tego nie wszyscy chorzy dostają się do szpitali, zależy to bowiem od stopnia i charakteru, w jakim pewne zboczenia umysłowe i nerwowe objawiają się. Autor obrał więc za przedmiot studyów swoich—stan uprzywilejowanych; ten bowiem, zdaniem autora, posiada genealogią najdokładniejszą. Dr. Rolle uprzedza jednak, „że nie podnosi kwestyi z celem upokorzenia reprezentantów rycerskiego niegdyś narodu, ani téż udowodnienia, że nie posiadają oni warunków bytu ze względu fizycznych wadliwości". Autor nie wymienia nazwisk rodów, byłoby to bowiem zbyt drażliwém, a dla wyświetlenia prawdy zbytecznem. Genealogie jego, w których zauważono zboczenia nerwowo-umysłowe, obejmują sto rodów; liczba pokoleń w poszczególnych rodach waha się od jednego do siedmiu; na te sto rodów składa się 1564 osób (843 mężczyzn i 721 kobiet). W téj grupie osób autor naliczył następujące zboczenia: nerwic umysłowych 142 wypadki (92 m., 50 k.), zwyrodnień umysłowych 89 (46 m. 43 k.), upośledzenia umysłowego (tj. zatrzymania rozwoju intelektualnego na pewnym stopniu) 45 (31 m., 14 k.), czyli w sumie ogólnéj 276 osób (169 m. i 107 k.) a więc 18%. Prócz tego chorobom powyższym towarzyszyły rozmaite cierpienia nerwowe, które w badanych przez autora dwóch pokoleniach wynosiły 20%.

Jako główną przyczynę wszystkich powyższych zboczeń tak umysłowych, jak i nerwowych, uważa autor dziedziczność, ową niepojętą siłę, z jaką rodzice przelewają na potomstwo cechy i zboczenia swego ustroju, tak fizyczne, jako téż moralne. Nadzwyczajne spotęgowanie tego fatalnego spadkobierstwa spostrzega autor w klasach uprzywilejowanych dopiero pod koniec XVIII wieku. Na to wzmożenie się cierpień nerwowo-umysłowych w tym czasie wpłynęły, zdaniem autora, cztery główne czynniki, a mianowicie: 1) opilstwo, które bardzo było rozpowszechnione w tak zwanych czasach saskich; 2) zbyt bliskie związki pomiędzy krewnymi tych samych

rodów; 2) rozpusta; 4) wstrząśnienia polityczne, których skutkiem był ubyt silniejszych organizmów (przymusowe albo dobrowolne wygnanie). Powyższe czynniki, dopomagające w wysokim stopniu dziedziczności, przyczyniły się do nadzwyczajnego rozpowszechnienia się zboczeń nerwowo-umysłowych (75%).

Autor odróżnia następujące cztery główne formy dziedziczności zboczeń umysłowych: 1) dziedziczność pojedyńczą albo bezpośrednią (tj. przechodzenie zboczenia jednego z rodziców na dzieci) 2) zwrotną albo pośrednią (atawizm), w któréj ma miejsce omijanie jednego lub kilku pokoleń 3) przeléwanie uboczne chorób umysłowych, tj. ze stryja lub ciotki, i wreszcie 4) dziedziczność podwójną, tj. odziedziczanie zboczeń umysłowych i po ojcu i po matce, dotkniętych cierpieniami temi. Taka dziedziczność podwójna jest najgroźniejsza w skutkach; sprawia potęgowanie zboczeń umysłowych i kończy się często zupełném wygasaniem rodu; albowiem do cierpień nerwowo-umysłowych przyłączają się jeszcze w tym wypadku liczne inne, jak suchoty, rak itp., prowadzące do zupelnéj zagłady rodu.

Autor dochodzi daléj do wniosku, że związki pomiędzy krewnymi i opilstwo, powtarzające się przez kilka pokoleń, powodują następstwa, podobne do tych, jakie wywołuje dziedziczność podwójna, z tą wszakże różnicą, że w ostatnim wypadku u osobników wolnych od choroby umysłowéj daje się spostrzegać spotęgowanie zdolności umysłowych, podczas gdy w pierwszym wypadku następuje stępienie takowych, a i formy obłąkania należą tu do rzędu nerwic umysłowych i przytém postaci wtórnych, jak obłąkanie częściowe jednoprzedmiotowe, otępienie umysłu, idyotyzm itd.

Pomimo tak oczywistego wpływu dziedziczności w zboczeniach umysłowych, daje się téż niekiedy zauważyć zmiany pomyślne. Przez wprowadzanie do małżeństw pierwiastków, wolnych od tego smutnego spadkobierstwa, siła wrodzonego usposobienia do chorób umysłowych i cierpień nerwowych traci swe natężenie i może być wreszcie zupełnie usunięta w danym rodzie, a Ribot dodaje, że siła ta może być téż zmniejszoną lub usuniętą pod wpływem należytego wychowania, „które jest najpotężniejszym współzawodnikiem dziedziczności psychiatrycznéj“.

Oto treść zajmującego odczytu dra Rollego. Pragnęlibyśmy bardzo ujrzéć wkrótce ogłoszoném obszerne sprawozdanie z poszukiwań zasłużonego lekarza i badacza.

Nie mniéj ciekawym, lubo nie opartym na samodzielnych spostrzeżeniach, był odczyt dra Krówczyńskiego o profilaktycznych zabiegach nowoczesnéj medycyny.

W starożytności i wiekach średnich miano tak dziwne pojęcia o przyczynach chorób, że nie myślano prawie wcale o zapobieganiu chorobom, o profilaktyce lekarskiéj. Obecnie zaś zapobieganie jest równie ważném zadaniem medycyny, jak samo leczenie rozwiniętych już chorób.

Zobaczymy, o ile skuteczną być może profilaktyka w medycynie wobec naszych teraźniejszych zapatrywań na przyczynę chorób. Otóż, odróżniamy trzy główne postaci chorób, ze względu na przyczynę ich powstania: 1) choroby dziedziczne, 2) choroby wrodzone i 3) nabyte. Otóż, do pierwszéj grupy cierpień należy bardzo wiele niebezpiecznych dla ustroju chorób, jak np. gruźlica, choroby umysłowe i t. p. Jeśli zatém suchoty np. są cierpieniem dziedzicznéni, jeśli dziecię rodzi się już z zarodkami téj choroby, to czyż środki zapobiegawcze mogą się tu na co przydać? Otóż, dziecię nie odziedzicza nigdy saméj choroby, lecz tylko predyspozycyą do niéj. Suchoty, jak wiele innych chorób, rozwijają się wskutek infekcyi; najbliższą ich przyczyną są grzybki chorobotwórcze, dostające się do organizmu. Na infekcyą tę narażony jest każdy organizm, ale ustrój predysponowany przez spadkobierstwo do gruźlicy, daleko łatwiéj infekcyi gruźliczéj ulegnie niż wszelki inny i tak właśnie pojmować należy dziedziczność chorób infekcyjnych. Według spostrzeżeń Miecznikowa i innych badaczy, grzybki chorobotwórcze staczają walkę z białemi ciałkami krwi organizmu, z t. zw. fagocytami, a od rezultatu téj walki zależy, czy organizm zostaje zwycięzcą, czy téż choroba pokonywa ustrój. Ale z drugiéj strony większa odporność fagocytów może być osiągnięta przez lepsze, odpowiednie warunki życia i na tém właśnie polega w tym razie doniosłość profilaktyki lekarskiéj, zastosowanie środków zapobiegawczych.

Druga grupa chorób, a mianowicie wrodzone, są takie, które nabywane zostają podczas płodowego życia dziecka, tak, iż przynosi ono z sobą na świat ich zawiązki. W tym wypadku sama przyroda przychodzi nam z pomocą; przekonano się bowiem, że działanie pewnych złośliwych zarazków zostaje osłabione w łożysku przy przejściu ich ze krwi matki do płodu. Odpowiednie traktowanie matki, uwzględnianie przepisów hygienicznych podczas całego okresu ciąży—są to środki zapobiegawcze przeciw wrodzonym cierpieniom. I tu więc profilaktyka ma pole działania.

Trzecią wreszcie grupę chorób stanowią cierpienia nabywane. Tutaj profilaktyka rozwinąć może najszersze już działanie; nabywa się chorób wskutek nie przestrzegania prawideł hygieny. Szkoła np. jest jedném z najfatalniejszych źródeł nabywania cierpień fizycz-

nych; pod tym jednym choćby względem, jak wiele ma do zrobienia hygiena publiczna w celu usunięcia dotychczasowego złego!

Widzimy zatém, że zabiegi profilaktyki nowoczesnéj medycyny są ze wszech miar uzasadnione, pole bowiem jéj działania jest pod każdym względem wdzięczne i rozległe, a cierpiącą ludzkość uchronić może od wielu nieszczęść. — Oto w krótkości treść zajmującego odczytu d-ra Krówczyńskiego.

Posiedzenia sekcyjne na zjeździe tegorocznym odbywane były przez liczne grupy, a bogata treść odczytów i dyskusyi obszarem swym przewyższa znacznie łamy, jakie możnaby im w miesięczniku ogólno-naukowym poświęcić. Wspomnimy więc tylko o najciekawszych dla szerszego ogółu kwestyach, które na posiedzeniach tych poruszono.

W sekcyi przyrodniczo - dydaktycznéj najciekawsze pytania podnieśli prof. Godlewski w sprawie ujemnego hydrotropizmu roślin, prof. B. Dybowski w kwestyi pochodzenia zębów zwierząt ssących, oraz prof. Wierzejski (w przysłanéj i w nieobecności autora przeczytanéj pracy) w sprawie stacyi biologicznych śródlądowych.

Wiadomo, że rośliny wykonywują pewne ruchy pod wpływem rozmaitych, działających na nie sił. I tak, łodyga czyli pęd zwraca się zawsze w stronę światła, korzeń zaś dąży do ciemności (jest to t. z. heliotropizm dodatni i ujemny); daléj pęd dąży zawsze w kierunku przeciwnym sile ciążenia, korzeń zaś idzie w kierunku działania téj siły, t. j. zwraca się ku ziemi, bez względu na położenie rośliny w przestrzeni (jest to t. z. geotropizm dod. i uj.). Otóż, do ostatnich czasów była jeszcze nierozstrzygniętą kwestya, czy pęd i korzeń zachowują się także przeciwnie ze względu na działanie wilgoci. Niektórzy botanicy przypuszczali, że pędy ulegają ujemnemu hydrotropizmowi, t. j. unikają wilgoci, korzenie zaś dążą do wilgoci, czyli ulegają hydrot. dodatniemu. Inni atoli uczeni twierdzili stanowczo, że hydrotropizm ujemny nie istnieje, że łodygi nie są wrażliwe na wilgoć i że nie mają właściwości unikania téj ostatniéj. Prof. Godlewski rozstrzygnął tę kwestyą. Zasadził nasiona różnych roślin obok pionowéj, wilgocią przesiąkniętéj ścianki torfowéj. Gdy młode roślinki wyrosły, badacz nasz dostrzegł, iż pędy zwracały się w stronę przeciwną wilgotnéj ściance torfowéj, czyli ulegały ujemnemu hydrotropizmowi. Nie u wszystkich atoli roślin zjawisko to daje się dostrzedz, siła bowiem hydrotropizmu wstępuje tu w kolizyą z ujemnym geotropizmem, pod którego wpływem pęd dąży do strzelania w górę. Otóż jeźli rośliny, rosnące obok wilgotnéj ścianki torfowéj, umieścić na przyrządzie odśrodkowym i szybko je obracać wkoło w płaszczyźnie pionowéj oś główna ro-

śliny łącząca korzeń i pęd, przyjmować będzie coraz to inne położenie w przestrzeni, a tym sposobem działanie geotropizmu zostaje usunięte. W tym zaś wypadku wszystkie już badane rośliny ujemnemu hydrotropizmowi ulegają. Prof. Godlewski dowiódł zatém działania téj mało dotąd znanéj siły na pędy roślin.

Ciekawym był też odczyt prof Dybowskiego o historyi powstawania zębów złożonych u zwierząt ssących. Nie wchodząc w szczegóły, interesujące specyalistę tylko, zaznaczymy ogólny wynik poszukiwań. Otóż porównywając z sobą budowę zębów u różnych ssących, autor doszedł do wniosku, że każdy ząb człowieka i innych ssaków przedstawia utwór złożony, powstający ze zrośnięcia się kilku elementów pierwotnych; jako dowody teoryi swéj przytacza autor następujące fakta: w zębach mlecznych istnieją liczne korzonki szczątkowe, u wielu zwierząt (np. u słonia) zęby składają się z oddzielnych filarów, na koronach zębów znajdują się pojedyńcze sęczki t. z. jarzma, których autor widzi u większości zwierząt cztery. Poszukiwania prof. Dybowskiego doprowadziły go daléj do rozmaitych wyników, dotyczących pochodzenia człowieka; okazuje się, że na zasadzie uzębienia człowiek zbliżony jest najbardziéj do zwierząt drapieżnych. Praca prof. Dybowskiego pięknie się odbija na tle do przesady rozwielmożnionéj faunistyki, jaka charakteryzuje poszukiwania wszystkich prawie galicyjskich zoologów.

Prof. Wierzejski z Krakowa poruszył kwestyę nie małéj wagi dla nauki krajowéj. Zoolog niemiecki d-r Zacharias podniósł w kilku specyalnych czasopismach zagranicznych sprawę zakładania stacyi biologicznych, a szczególniéj zoologicznych nad jeziorami lub większemi stawami. Otóż prof. Wierzejski zwraca uwagę na konieczność założenia takiéj stacyi śródlądowéj w Galicyi. Pozornie pracownia taka zdaje się być zbyteczną, możnaby bowiem sądzić, że ekskursye biologiczne nad brzegi jezior i stawów mogłyby w zupełności wystarczyć do faunistycznych i biologicznych poszukiwań nad mieszkańcami wód słodkich. W rzeczywistości jednak jest inaczéj. Liczne zwierzęta słodko-wodne są tak delikatne, że nie mogą znieść dłuższéj nieco podróży w zamkniętych blaszankach. Zwierzęta takie mogą być więc badane tylko w laboratoryach, znajdujących się tuż nad brzegiem jeziora lub stawu. Oprócz tego fauna wód słodkich nastręcza pewne pytania, które mogą być rozwiązane jedynie przez ustawiczną jéj obserwacyę w różnych porach roku i przy rozmaitych warunkach zewnętrznych; do takich pytań należy np. kwestya składania przez niektóre zwierzęta dwojakiego rodzaju jaj: letnich i zimowych. Wszystkie te okoliczności przemawiają bardzo za zakładaniem stacyi zoologicznych śródlądowych.

Wskutek poruszenia w Galicyi téj sprawy, znalazł się już ofiarny mąż, baron Brunicki, który własnym kosztem zobowiązał się wybudować taką stacyę nad brzegiem jeziora w Lubieniu (miejsce kąpielowe niedaleko Lwowa).

W sekcyach lekarskich podniesiono kilka ważnych kwestyi, wśród których pierwsze miejsce zajmowało doniosłe pytanie o wyleczalności i leczeniu suchot krtaniowych. Zabierali tu głos znani specyaliści: dr. A. Sokołowski, dr. T. Heryng, prof. Baranowski i inni. Zdania co do wyleczalności i leczenia suchot krtaniowych—mówi dr. Sokołowski—są podzielone, z jednéj strony panuje sceptycyzm, z drugiéj entuzyazm, oba kierunki szkodliwe. Do ostatnich prawie czasów zapatrywano się jednak powszechnie bardzo pesymistycznie na wyleczalność suchot krtaniowych. Dopiéro prace Schmidtha i T. Herynga pogląd ten zmieniły. Liczne doświadczenia w praktyce prywatnéj i szpitalnéj utwierdziły dra Sokołowskiego w przekonaniu, że wyleczalność istnieje, chociaż należy do stosunkowo rzadkich wypadków. Dalsze wnioski ogólne, do jakich dochodzi dr. S., są następujące: Zabliźnienie pojedyńczych owrzodzeń krtaniowych występuje albo samodzielnie lub téż dopiéro na skutek leczenia miejscowego, co pozostaje w ścisłym związku z ogólnym stanem i charakterem zmian w płucach. Najpewniejszém zaś leczeniem miejscowém suchot krtaniowych okazała się skombinowana metoda: tj. działanie kwasu mlecznego, leczenie chirurgiczne (wyskrobywanie, wprowadzone przez dra Herynga, wyrywanie granulacyi za pomocą pincety) oraz użycie galwanokaustyki.

Dr. T. Heryng mówił o dowodach anatomicznych uleczalności suchot krtaniowych, na podstawie własnych swoich poszukiwań. Zdaniem jego, przez chirurgiczne, miejscowe leczenie można wrzód natury gruźliczéj zmienić na wrzód zwykły, czyli „usunąć wszystko chorobowe“. Prelegent zaznacza jednak wyraźnie, że wyleczywszy lokalnie gruźlicę krtani, nie wylecza się jeszcze suchot płucnych, towarzyszących najczęściéj gruźlicy krtaniowéj. Sama wszakże ulga i ochrona chorego od ewentualnéj śmierci głodowéj, dostatecznie już przemawiają za leczeniem miejscowém. Prof. Baranowski zaznacza, że byłoby za wiele żądać uleczenia radykalnego. Czy lekarz, usuwający jedno ognisko gruźlicze, może dać rękojmię, że nie wystąpi inne, ukryte lub niedostępne? Okoliczność ta nie zmniejsza więc bynajmniéj zasług lekarzy, którzy na zjeździe głos zabierali, w sprawie miejscowéj wyleczalności krtaniowych suchot.

Nie streszczając innych odczytów, wygłoszonych na zjeździe tegorocznym, zaznaczymy tylko, że z ciekawszych tematów; dyskutowano daléj o faunie studni lwowskich, o szczepieniu ochronném

przeciw zarazie księgoszuszowéj, o leczeniu niedrożności jelit, o chirurgii mózgowéj, o leczeniu gorączki wobec nowszych pojęć o gorączce, o epidemiczném zapaleniu płuc, o metodzie Pasteura leczenia wodowstrętu, o drugiém prawie mechanicznéj teoryi ciepła, o słownictwie naukowém polskiém, o traktowaniu wykładów nauk przyrodniczych w szkołach ludowych i średnich itd.

Z krótkiego tego przeglądu widzimy, iż zjazd tegoroczny obfitował w materyał naukowy. Poruszono na nim wiele żywotnych i doniosłych pytań naukowych, które traktowano bardzo poważnie i wyczerpująco, o ile wogóle na zjazdach można wyczerpująco traktować przedmiot. Jeśli zaś prócz tego uwzględnimy nadzwyczajną korzyść społeczną, wynikającą dla nas z podobnych zjazdów, zupełnie bezstronnie będziemy musieli przyznać doniosłe znaczenie tegorocznego zjazdu dla wiedzy krajowéj.

Dr. S. S.





STANOWISKO FILOZOFII DOŚWIADCZALNÉJ WOBEC INTUICYJNÉJ.

Walka między filozofią intuicyjną, a doświadczalną o pojęcia wrodzone, poprzedzające wszelkie doświadczenie, nie jest nową. Ciągnie się ona całe wieki, raz uciszając się, to znowu wzmagając, ale nie przynosząc stanowczego zwycięstwa żadnéj ze stron walczących. Z tak ujemnego wypadku owéj walki możnaby wnosić, że jest ona sporem o wiatr, nie przynoszącym żadnéj zgoła korzyści, że jest marnowaniem sił i czasu, które z większym pożytkiem dałyby się użyć na inne cele. Wniknąwszy atoli w rzecz głębiéj, łatwo się przekonać, że owa walka, na pozór bezowocna, oddaje sprawie postępu niezmierne przysługi. Zmusza ona myśl ludzką do coraz pilniejszéj baczności na siebie i na to, co się wkoło niéj dzieje, do coraz głębszego wnikania w prawa i warunki swéj czynności, do coraz dokładniejszego sformułowania podstaw poznania. Pod jéj naciskiem systematy filozoficzne, oparte na słownych rozróżnieniach, wychodzące z założeń niesprawdzonych i niedowiedzionych, lecz przyjętych na wiarę jakiéjś powagi—zmuszone były albo ustąpić miejsca innym, bardziéj oględnym w swych wywodach, albo się przeobrazić i na nowych oprzéć podstawach. Tym sposobem pod ciosami kantyzmu upadł dogmatyzm filozoficzny, przed natarciem zaś materyalizmu spekulacya metafizyczna ustąpiła miejsca realnemu idealizmowi, który z kolei, nie umiejąc usprawiedliwić swych założeń, zeszedł z pola i utrwalił panowanie neo-kantyzmu. Z drugiéj strony sensualizm, materyalizm i pozytywizm, zmuszone do ciągłéj obrony swych zasad, rozszerzały stopniowo swe podstawy i przeobrażając się zgodnie z postępem wiedzy, przybrały charakter filozofii doświadczalnéj.

Obecnie dwa są głównie panujące kierunki — takie przynajmniéj, z któremi musi rachować się każdy, co wstępuje na pole badań filozoficznych. Są niemi: filozofia doświadczalna, która całą wiedzę wyprowadza z doświadczenia, i filozofia krytyczna, czyli neo-kantyzm, który uznaje wprawdzie, że doświadczenie jest jedynem źródłem wiedzy, ale zarazem utrzymuje, że koniecznemi warunkami doświadczenia są pewne pojęcia *a priori*.

Filozofia krytyczna licznych ma wyznawców nie tylko w Niemczech, ale także w Anglii i we Francyi. Jeden z wybitniejszych przedstawicieli krytycyzmu francuskiego, Ludwik Liard, w dziele swém: *La science positive et la metaphisique* tak usprawiedliwia stanowisko filozofii krytycznéj: „Jakkolwiek początek naszego poznania leży w doświadczeniu, nie wypełnia go ono przecież całkowicie. Doświadczenie daje nam poznać to tylko, co jest, nie zaś to, co być powinno, co nie może nie być; pokazuje ono nam pewien porządek rzeczy, ale nie daje nam pewności, że ten porządek jest stały, że niemasz od niego jakichś wyjątków, że nie zajdą w nim kiedyś jakieś odmiany. Słowem uczy nas ono tylko o tém, co jest szczegółowém, przypadkowém, ale nie może dać nam poznać tego, co jest powszechném i koniecznem. Skoro zaś w poznaniu naszém wykrywamy pojęcia i sądy, które mają charakter powszechności i konieczności,— rzecz więc prosta, że te pojęcia i sądy nie pochodzą z doświadczenia, ale z czystego rozumu.“ Daléj zaś powiada: „Zarzucą zapewne, że zasadnicze twierdzenie kantyzmu jest bez dowodu. Otóż dowody, jakich można w téj rzeczy wymagać, nie mogą być demonstracyjne w geometryczném znaczeniu tego słowa. Gdy chodzi o przekonanie się, czy rzeczywiście istnieją zasady *a priori*, demonstracya może być tylko dyalektyczną, nie zaś logiczną“... „Zagadnienia, dotyczące zasad poznania, mogą być rozwiązane tylko za pomocą hipotez“... „Najlepszą, a właściwie jedynie prawdziwą hipotezą, tłómaczącą zasady poznania, jest ta, która nie gwałcąc w niczém faktów, ugruntowuje się zwycięsko na ruinach innych hipotez. Taką właśnie jest hipoteza Kanta. Najsilniejszym dowodem jéj prawdziwości jest, że filozofia doświadczalna nie zdoła z danych empirycznych wyprowadzić zasad powszechności i konieczności.

W tém określeniu filozofii krytycznéj zawiera się zarazem i krytyka filozofii doświadczalnéj. Poznajmyż, jakie są podstawy tejże, ażebyśmy mogli ocenić, o ile wymierzone przeciwko niéj zarzuty są słuszne.

Filozofia doświadczalna w ostatniéj swéj postaci, jaką jéj nadała teorya rozwojowa, również przyjmuje, że umysł nie jest, jak to

utrzymywał Locke, czystą tablicą, na którój doświadczenie indywidualne wypisuje wszystko, co stanowi treść naszego poznania. Przeciwnie, utrzymuje, że w podstawie wszelkiéj czynności umysłowéj leżą pewne formy działania, które są koniecznym warunkiem osobniczego doświadczenia, wytycznemi punktami poznania. Różnica zachodzi w tém, że owych form nie wyprowadza ona z po za świata, nie uznaje w nich nic transcendentalnego. Zapatruje się na nie, jako na wynik przystosowania się organizmu do warunków świata zewnętrznego, jako na wypadek doświadczenia rasy, które stawszy się uorganizowaném, dzięki dziedziczności przechodzi z pokolenia na pokolenia; jako na utrwalone dziedzicznością usposobienie układu nerwowego, który wskutek niego w ten tylko a nie w inny sposób może oddziaływać na czynniki zewnętrzne. Umysł ludzki już w pierwszéj dobie swego istnienia uposażony był w pewne formy działania, które oddziedziczył po swych przodkach zwierzęcych; w pierwszém swém doświadczeniu ulegał on już warunkom, które stanowiły jego istotę. Umysł bowiem nie jest jakimś bytem metafizycznym, istniejącym oddzielnie od tego, co jego wątek stanowi. Pojęty abstrakcyjnie, jest on po prostu oddziaływaniem układu nerwowego na siły zewnętrzne; w konkretném zaś znaczeniu jest zbiorem pewnych pojęć, uczuć i chęci, skojarzonych w pewne grupy, nie zawsze łączące się w jednolitą całość i dlatego przedstawiające różny stopień siły i trwałości. Doświadczenie, które się powtarza niezmiennie i nieprzerwanie całym szeregiem następujących po sobie pokoleń i pod którego wpływem system nerwowy przystosował się do pewnego oddziaływania tak, że wszelkie inne oddziaływanie jest dla niego wprost niemożliwém—stanowi podstawę tego, co w doświadczeniu indywidualném i wogóle w poznaniu uznajemy za powszechne i konieczne. Słowem powszechność i konieczność pierwiastków poznania, będąc następstwem jednostajnego oddziaływania umysłu na czynniki zewnętrzne, stałe i powszechne, mają za jedyne swe źródło doświadczenie, nie doświadczenie indywidualne, ale doświadczenie rasy, utrwalone dziedzicznością, jako pewne usposobienie układu nerwowego.

Taki jest w najogólniejszych zarysach charakter filozofii doświadczalnéj. Zapatrywanie jéj na naturę umysłu i na genezę pierwiastków poznania, powszechnych i koniecznych, jest bezwątpienia hipotezą; lecz również hipotezą, jak to sam Liard powiada, są twierdzenia kantyzmu, dotyczące tych samych zagadnień.

Tym sposobem mamy przed sobą dwie hipotezy, stojące na przeciw siebie i walczące z sobą o prawo panowania nad myśleniem filozoficzném. Jedna z nich opiera się na czynniku natural-

nym, dającym się do pewnego stopnia sprawdzić; druga—na pierwiastku nadprzyrodzonym, którego nie tylko sprawdzić, ale nawet, ściśle rzecz biorąc, pojąć nie podobna. Pomimo bowiem najzręczniejszéj dyalektyki, pozostanie nazawsze zagadką nierozwiązalną, czém jest ów rozum czysty, oderwany od organizmu cielesnego i pozbawiony wszelkiéj treści doświadczalnéj, ale zarazem uposażony w pewne pojęcia *à priori*,—jak również, czém są owe pojęcia, które, nie pochodząc z doświadczenia i nie mając z niém nic wspólnego, kierują niém jednakże i są dła niego warunkiem koniecznym? W jaki nareszcie sposob owe pojęcia, z natury swéj obce danym doświadczenia, łączą się z niemi w jednę całość i temu, co jest przypadkowém i szczególném, nadają charakter powszechności i konieczności?

Wybór między temi dwiema hipotezami, tak bardzo różniącemi się pod względem swych założeń, zdaje się nie trudnym. Filozofia doświadczalna bardziéj odpowiada wymaganiom naukowym, aniżeli krytyczna, która, tłómacząc nieznane za pomocą mniéj jeszcze znanego, wykracza przeciwko zasadniczym prawom logiki.

Wybór ten atoli, lubo usprawiedliwiony dostatecznie, sporu jeszcze nie rozstrzyga. Przyznać słuszność filozofii doświadczalnéj pod jednym względem, nie znaczy to dowieść jéj słuszności pod innemi. Do tak dodatniego wyniku możemy dojść wtedy tylko, gdy wykażemy, że wszystkie zarzuty, z jakiemi występuje filozofia krytyczna przeciwko doświadczalnéj, nie mają żadnéj podstawy; że do wytłómaczenia sprawy poznania doświadczenie wystarcza jaknajzupełniéj; że uciekanie się w tym wypadku do czynnika nadprzyrodzonego zgoła jest niepotrzebném.

Liard w powołaném powyżéj dziele poddaje szczegółowéj krytyce zapatrywania filozofii doświadczalnéj na zagadnienia, które stanowią sporne punkty, a do których zalicza on zasadę przyczynowości, pojęcia czasu i przestrzeni i całą wogóle matematykę. Krytyka jego, mająca za główny punkt wyjścia twierdzenie, że z danych empirycznych niepodobna wyprowadzić zasad powszechności i konieczności, nie zawiera nic nowego. Posługuje się ona rozumowaniami powszechnie znanemi, których zasadniczy błąd leży w tém, że wywody, oparte na danych doświadczalnych, podciąga pod reguły logiki formalnéj i każe w nich widzieć *petitio principii*, pomimo że sam uroczyście oświadcza, że o tego rodzaju zagadnieniach rozstrzyga nie logika, ale dyalektyka oparta na faktach. Jedyną zaletą jego krytyki jest to, że podając swe zarzuty w systematycznéj całości, ułatwia tém samém rozprawienie się z niemi.

Zanim będziemy mogli przystąpić do rozpatrzenia się w szczegółowych zarzutach, musimy wprzód zastanowić się nad głównym, który się zawiera w twierdzeniu, że z danych empirycznych niepodobna wyprowadzić zasad powszechności i konieczności. Zdajmy sobie naprzód sprawę ze znaczenia, jakie przywiązujemy do wyrazów: powszechność i konieczność.

Jak wiadomo, są to wyrazy oderwane a właściwe ich znaczenie może się wyjaśnić, gdy je sprowadzimy do konkretnych, z których zostały urobione. Takiemi konkretnemi wyrazami są przymiotniki: powszechny i konieczny. Otóż, powszechny oznacza to, co istnieje wszędzie i zawsze; konieczny—co istnieć musi, co nie może nie istnieć.

Jakież są znamienne cechy rzeczy, pozwalające nam wyróżnić pośród nich te, które są szczególne i przypadkowe, od tych, które są powszechne i konieczne?

Że świat zjawisk zewnętrznych znamy tylko z doświadczenia, zgadza się na to i kantyzm. Cóż to jest doświadczenie? Jest ono oddziaływaniem umysłu na wrażenia zewnętrznego świata, albo, ściśléj wyrażając się, jest wypadkową działania zewnętrznych czynników na umysł i oddziaływania umysłu na owe czynniki. Taką wypadkową są stany naszéj świadomości żywe i słabe, rozmaicie z sobą skojarzone i występujące w mniéj lub więcéj stałém ugrupowaniu. Ponieważ te stany są jedynym materyałem, z którego powstaje nasze poznanie o świecie zewnętrznym, wynika stąd bezpośredni wniosek, że świata zewnętrznego, jakim on jest w sobie, nie znamy, że znamy go tylko ze stosunku, w jakim zostaje do naszego umysłu, ze skutku, jaki wywiera na naszym umyśle za pośrednictwem wrażeń zmysłowych. Poznanie więc świata zewnętrznego jest względne. Właściwie rzeczy biorąc, znamy bezpośrednio tylko stany naszéj świadomości, świat zaś zewnętrzny poznajemy pośrednio, jako przypuszczalną przyczynę owych stanów. Stąd jedynym punktem wyjścia dla naszych pojęć i sądów o tém, co się dzieje zewnątrz nas, są stany naszéj świadomości, czyli wogóle doświadczenie. Dla tego téż, chcąc odpowiedzieć na pytanie, jakie to są cechy znamienne, pozwalające odróżnić między zjawiskami świata przedmiotowego to, co jest powszechném i koniecznem, od tego, co jest szczególném i przypadkowém, — musimy z tém zapytaniem zwrócić się do doświadczenia i w jego warunkach szukać na nie odpowiedzi.

Pomiędzy danemi doświadczenia indywidualnego łatwo dają się odkryć dwie ich grupy, stanowczo od siebie różniące się tém, że jedną z nich stanowią dane stałe i niezmienne wobec wszelkich

zmian czasu, miejsca i okoliczności, gdy tymczasem druga składa się z danych, które za każdą zmianą czasu, miejsca i okoliczności, albo zmieniają się częściowo, albo ustępują miejsca innym. Ponieważ dane stałe i niezmienne są jedynemi w swoim rodzaju i nie mają przeciwko siebie nic, coby je zaprzeczało, ponieważ umysł nasz, nie znając nic im przeciwnego, nic téż przeciwnego im i pomyśléć nie może; muszą one przeto być dla nas koniecznemi. Koniecznemi są one dla nas jeszcze i dla tego, że doświadczenie indywidualne, zgadzając się w swych danych stałych i niezmiennych z doświadczeniem rasy, przekazaném nam przez dziedziczność, znajduje w naszym umyśle grunt dla siebie przygotowany, utrwalony w pewnym kierunku sposób oddziaływania umysłu na zewnętrzne czynniki. Kojarząc się z odziedziczonemi przez umysł usposobieniami, stają się one pierwiastkami jego ustroju, jedynym punktem oparcia dla wszystkich jego czynności, naturalném tłem jego myśli, uczuć i dążności.

Lecz to, co jest koniecznéni, musi zarazem być i powszechném. Gdzież jest rękojmia, że to, co się dziać musiało w przeszłości i w znanych nam przestrzeniach, dziać się téż musi w przyszłości i w przestrzeniach nam nieznanych? Skąd ta pewność, że dane stałe i niezmienne dotychczasowego doświadczenia nie zostaną zaprzeczone przez doświadczenie przyszłe?

Ponieważ doświadczenie tak indywidualne, jak i powszechne drogą tradycyi naukowéj nam udzielone, daje nam poznać to tylko, co się działo w przeszłości i to w pewnych tylko granicach przestrzeni, ale nie daje nam poznać tego, co się dzieje wszędzie w przestrzeni nieskończonéj, a mniéj jeszcze, co się dziać musi w przyszłości—zdaje się więc, iż nieuniknionym dla nas jest wniosek, że powszechność jest pojęciem, pochodzącém z czystego rozumu, pierwiastkiém bezwzględnym naszego umysłu, który wnosi go w dane doświadczenia i zapomocą niego uogólnią je, przerabiając to, co z natury swéj jest szczególném na powszechne.

Jak widzieliśmy, wniosek ten uważa Liard, a z nim wszyscy nowi zwolennicy Kanta, za jedynie prawdziwy. Czy jest on takim rzeczywiście?

Ma on przeciwko sobie fakty, które go zwalczają w sposób stanowczy.

Pomijam tu tę okoliczność, że trzymając się ściśle powyższego wniosku, należałoby przyjąć, że uogólnienie nie jest przyczyną pojęć oderwanych, ale ich skutkiem—co byłoby dopuszczać się grzechu metafizyki scholastycznéj, która pod wszelkie czynności umysłowe podkładała jakieś b y t y, mające być ich przyczyną. Zwrócę

więc tylko uwagę na fakty, jakich nam dostarcza codzienne doświadczenie.

Wiadomo, że ludzie nierozwinięci, umysły ubogie w doswiadczenie, odznaczają się zazwyczaj zbyt wielką pochopnością do uogólniania. Wszystko niemal, co spostrzegają w koło siebie, czego w sobie doznają, przenoszą oni na wszystkie czasy i miejsca, wierząc naiwnie, że co raz się stało, to musi i na przyszłość powtórzyć się. Pochopność ta atoli powoli słabnie, w miarę jak umysł się kształci, jak rozszerza się zakres doświadczenia. Skądże pochodzi ta naiwna wiara i co jest przyczyną następnego jéj słabnięcia? Pochodzi ona z bezwładności umysłowéj.

Umysł z natury swéj jest bezwładnym. Nie może on sam przez się, mocą wewnętrznéj energii, któraby była niezależną od podniet zewnętrznych, wyjść ze stanu, w jakim się znajduje, stanu, którym jest jego doświadczenie. Musi on w nim pozostawać dopóty, dopóki nowe doświadczenie nie nada mu nowego kierunku, nie wytworzy w nim stanu odmiennego.

Dla umysłu ubogiego w doświadczenia naturalnym stanem jest wiara, że cały świat i przyszłość są wierną kopią znanéj mu przestrzeni i przeszłości, gdyż nad to, co mu dało poznać doświadczenie, nic innego nie zna i pomyśléć nie jest zdolny. Powoli jednak, gdy przybywa mu doświadczenia, gdy poznaje coraz szersze zakresy czasu i przestrzeni, przekonywa się, że to, co się dzieje tu i owdzie, nie koniecznie dziać się musi wszędzie, że to, co raz się stało, może się już nie powtórzyć. Nabyte doświadczenie, kosztem nierzadko dotkliwych zawodów, hamuje naturalną jego skłonność do uogólniania i czyni go pod tym względem ostrożniejszym. Otóż tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku umysł działa na podstawie doświadczenia, którego przekroczyć nie może z powodu swéj bezwładności.

Jakkolwiek doświadczenie powściąga zbyteczną pochopność do uogólniania, samego uogólniania nie tylko nie obala, ale przeciwnie uświęca je swą powagą, dostarczając rękojmi, że to, co raz się stało, nie tylko może, ale nawet pod pewnemi warunkami musi się powtórzyć. Taką rękojmią jest ziszczenie przewidywań, opartych na dokładnéj znajomości tego, co było. Przewidywanie tak zwykłe, jak i umiejętne nie jest niczem więcéj, jak uogólnieniem. Czy to przewidując następstwa naszego postępowania, czy przepowiadając skutki działania pewnych czynników fizycznych, wnioskujemy z tego, coraz się zdarzyło, o tém, co zdarzyć się może i musi pod wiadomemi warunkami. To znaczy, że fakty, zaszłe w przeszłości, przenosimy myślą w przyszłość. Przenosimy je zaś

wskutek bezwładności umysłu, dla którego doświadczenie jest jedynym punktem wyjścia w jego sądach i wnioskach o nieznanych mu czasach i przestrzeniach.

Dwa te fakty wykazują jasno, że przyczyną uogólnienia nie jest jakiś pierwiastek bezwzględny, tkwiący w umyśle i uporządkowujący doświadczenie, ale przeciwnie jest nią bierność umysłu wobec doświadczenia, jest nią bezwładność jego, wskutek któréj musi działać w tym kierunku i w takim zakresie, jakie mu doświadczenie wyznacza. Dowodzą one nareszcie, że pojęcia powszechności i konieczności niczém się nie różnią od innych pojęć oderwanych i zamiast zawdzięczać swój początek siłom nadprzyrodzonym, są one zwykłym wyrobem myśli i pochodzą z doświadczenia, które myśl nasza uogólnia.

O prawdziwości powyższego zapatrywania, gdyby nastręczały się pod tym względem jakie wątpliwości, przekona nas ostatecznie sam mechanizm uogólnienia. Nim atoli przystąpię do rozpatrzenia się w nim, uważam za potrzebne zastanowić się nieco bliżéj nad bezwładnością umysłu, która, jak wiemy, główną odgrywa rolę w czynności uogólniania, ale o któréj panują dotąd sprzeczne mniemania.

Psychologia dzisiejsza ma charakter czysto deterministyczny. W założeniu więc przyjmuje ona bezwładność umysłu. Z tém wszystkiém, ulegając pewnym skrupułom, albo po prostu nieporozumieniu, unika wyraźnego jéj przyznania. Co więcéj, nie rzadko występuje nawet przeciwko niéj. Przykład tego mamy na Bain'ie, który, wychodząc z założenia, że pojęcia bezwładności i ciężkości są współzależnemi, utrzymuje, że kto przyznaje umysłowi bezwładność, ten przez to samo przyznaje mu także i ciężkość. Założenie to opiera się na dawniejszém zapatrywaniu na ciężkość, którą uważał za nieoddzielną własność materyi. Że nie jest ona nieoddzielną własnością materyi, dowodzi tego nasze pojęcie o eterze, który jest materyą nie-ważką; że nie jest ona zgoła własnością materyi taką, jak bezwładność, wykazuje się stąd, że ciężkość stanowi pewne działanie, które daje się wymierzyć, spowadzić do ściśle określonego prawa, że jest ona przyczyną pewnego skutku—słowem, siłą, podobną do innych sił przyrody. Wprawdzie nie znamy dotąd jéj natury, ale znając dokładnie jéj skutek, nie możemy jéj oddzielać od téj grupy zjawisk, do jakiéj właściwie ona należy. Ciężkość działa na ciała wskutek ich bezwładności, tak samo jak i każda inna siła. Pod tym względem nie stanowi ona żadnego wyjątku—i dla tego nie możemy pojęcia bezwładności uważać za zależne od pojęcia ciężkości. To, co jest bezwładném, nie koniecznie ma być ciężkiém. Bezwła-

dność nic innego nie oznacza, jak niezdolność ciał wyjścia ze stanu spoczynku lub ruchu, pokąd nie podziała na nie siła zewnętrzna. W tém znaczeniu daje się ona zastosować najzupełniéj do umysłu, który, pokąd nie podziałają nań wrażenia zewnętrzne, musi pozostawać w tym stanie, jaki w nim wytworzyło uprzednie doświadczenie.

Umysł nie jest niczém więcéj, jak uorganizowaném i organizującém się doświadczeniem, jak sumą stanów świadomości żywych i słabych, rozmaicie z sobą skojarzonych w mniéj lub więcéj stałe grupy, jak pewném oddziaływaniem organizmu na zewnętrzne czynniki, oddziaływaniem, którego forma zależy od doświadczenia przodków, którego ostateczném zadaniem jest przystosowanie organizmu do zewnętrznych warunków. Ponieważ doświadczenie, w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, stanowi organizacyą umysłu, rzecz więc prosta, że przekroczyć go nie może, jak nie może księżyc przekroczyć siły ciążenia powszechnego, która go utrzymuje w jego obiegu około ziemi. Wszelkie czynności jego—myślenie, uczucie i dążenia—są szczególnemi sposobami oddziaływania jego na świat zewnętrzny i objawiają się z powodu wrażeń, jakie ów świat wywiera na niego za pośrednictwem zmysłów. Sam przez się, nie zależnie od doświadczenia, nie może on ani wytworzyć w sobie jakiegoś stanu, któryby w nim uprzednio nie istniał, jako dane doświadczenie. Nie ma on bezpośredniéj władzy nad swemi myślami, uczuciami i chęciami, nie może ich dowolnie ani wywołać w sobie, ani téż ich usunąć z pola świadomości, gdy raz w niém wystąpiły. Pozostają one w nim dopóty, dopóki nowe doświadczenie nie zastąpi ich nowemi, a przynajmniéj nie zaprowadzi w nich jakiéj zmiany. Nawet wtedy, gdy umysł występuje przeciwko myślom, uczuciom i chęciom, które w nim rozbudziło obecne doświadczenie, gdy je zwalcza i pokonywa; działa on na podstawie doświadczenia, opiéra się na innych myślach, uczuciach i chęciach, które tamtym są przeciwne, a które w nim wytworzyło doświadczenie przeszłe. Słowem, w każdéj ze swych czynności, jakąkolwiek przybiera ona postać, musi on działać na podstawie doświadczenia, tak własnego, jak i całego szeregu swych przodków. Doświadczenia swego przekroczyć nie może, gdyż stanowi ono wewnętrzny jego ustrój—i w oderwaniu od doświadczenia jest on czczą abstrakcyą, lub, co gorsza, marą wyobraźni.

Tak się przedstawia zagadnienie bezwładności umysłu we właściwy sposób zrozumiane. Zbyteczném byłoby dodawać, że bezwładność umysłu wobec doświadczenia nie znaczy to samo, co bierność jego względem czynników zewnętrznych. W odniesieniu do

tych ostatnich nie jest on biernym, ale czynnym. Jako uorganizowane doświadczenie, oddziaływa on na nie, przerabia je na wewnętrzną swą treść i tak przerobione, przyswaja.

Jak widzieliśmy, wskutek swéj bezwładności, umysł uważa za konieczne to, co w jego doświadczeniu jest stałém i niezmienném wśród zmian czasu, miejsca i okoliczności. Wskutek téj bezwładności musi on uważać to, co jest dla niego koniecznem, za powszechne. Słowem to, co jest koniecznem dla niego w odniesieniu do przeszłości i do przestrzeni znanych, koniecznem jest również w odniesieniu do przyszłości i do przestrzeni nieznanych.

Czas i przestrzeń w najwyższém swém uogólnieniu przedstawiają się nam jako następstwo i współistnienie położeń. Jaką drogą dochodzimy do tego uogólnienia, dowiemy się o tém w dalszym ciągu; na teraz wystarczy nam wiedzićć, że w podstawie jego leżą pewne, ściśle określone dane doświadczenia, które możemy sprowadzić do wrażeń zmysłowych.

Pojęte w znaczeniu konkretném, czas i przestrzeń nie są niczém więcéj, jak stosunkami następstwa i współistnienia rzeczy,— stosunkami, w których każde zjawisko, każdy fakt, czy to fizyczny, czy umysłowy, zajmuje ściśle oznaczone położenie. Mówiąc, że coś dzieje się w pewném miejscu i czasie, rozumiemy przez to, że dany fakt w odniesieniu do innych zajmuje pewne położenie tak pod względem współistnienia, jak i następstwa, czyli że istnienie jego łączy się z istnieniem innych faktów, między któremi jedne towarzyszą mu, drugie go poprzedzają. Wskutek właściwego sobie położenia pod obu powyższemi względami wszystkie zjawiska pozostają w pewnéj od siebie zależności, oddziaływają na siebie, dzięki czemu są tém, czém są; przeniesione w inne położenie, zmieniają się, stają się czém inném. Doświadczenie atoli uczy nas, że wśród nieskończonéj rozmaitości zjawisk, pochodzącéj od względnego ich położenia w czasie i przestrzeni, istnieją takie, które pozostają stałemi i niezmiennemi wobec zmian czasu i przestrzeni, czyli że pozostają tém, czém są w każdém położeniu tak pod względem następstwa, jak i współistnienia. Jak wiemy, dane tego rodzaju są dla umysłu koniecznemi, gdyż stanowią pierwiastki jego organizacyi.

Otóż pomiędzy temi koniecznemi faktami doświadczenia pierwsze miejsce zajmuje czas i przestrzeń. Oznaczając stosunek rzeczy i potrzebując do swego określenia przynajmniéj dwóch terminów, nie dają się one pojąć w oderwaniu od rzeczy. Myśląc o czasie i przestrzeni, musimy je wypełnić jakąś treścią, gdyż nie są one niczém więcéj, jak następstwem i współistnieniem zjawisk. Doświadczenie bowiem nie dało nam poznać ani czasu, ani przestrzeni,

któreby istniały same przez się po za obrębem rzeczy konkretnych, jak nie dało nam poznać rzeczy, któreby istniały po za czasem i przestrzenią. Podobnież musimy pojmować czas i przestrzeń, jako nieskończone, albowiem doświadczenie nie dało nam poznać ani początku, ani końca tak następstwa, jak i współistnienia zjawisk. Po za danėm zjawiskiem musimy domyślać się innych, które z niém współistnieją, a po za temi znowu innych i t. d. aż do nieskończoności; jednocześnie musimy myśléć i o tych, które je poprzedziły i po nich następują, w obu przeciwnych sobie kierunkach idąc do nieskończoności.

Wskutek tego, kto myśli o przestrzeniach znanych, musi zarazem myśléć i o nieznanych, jako o dopełnieniu tamtych; kto myśli o przeszłości, musi także myśléć i o przyszłości. Lecz myśléć o przestrzeniach nieznanych i o przyszłości, jest to przedstawiać sobie w myśli współistnienie i następstwo pewnych faktów. Jakich faktów? Przedewszystkiém takich, któreby odpowiadały warunkom zmysłowego postrzegania, któreby w razie, gdybyśmy się wśród nich znależli, czyniły wrażenie na naszych zmysłach. Ażeby zaś temu warunkowi mogły zadość uczynić, muszą być podobne do tych faktów, jakie znamy z doświadczenia. Lecz doświadczenie uczy nas, że w każdém zjawisku są dwojakiego rodzaju pierwiastki, jedne zmieniające się za każdą zmianą miejsca i czasu, inne zaś, które wobec tych zmian pozostają stałemi i niezmiennemi. Rzecz więc prosta, że do nieznanych czasów i przestrzeni przenosić możemy nie cechy zjawisk zmienne, stanowiące ich indywidualność, ale te, które są w nich stałemi, cechy ich ogólne, rodzajowe, a przedewszystkiém prawa, jakiemi się te zjawiska rządzą.

Lecz cóż nas upoważnia do takiego przenoszenia faktów doświadczalnych do nieznanych czasów i przestrzeni? Upoważnia nas do tego również doświadczenie. W miarę, jak się rozszerza nasza znajomość przestrzeni ziemskich i niebieskich, przekonywamy się, że to, co jest stałém i niezmiennėm w znanych nam przestrzeniach, również jest takiém i w przestrzeniach nieznanych. Podobnież cała przeszłość ludzkości i życie indywidualne przekonywają nas, że każda chwila następująca podobną jest do upłynionéj w tém, co stanowi niezmienną cechę zjawisk i wydarzeń. Wiemy z doświadczenia, nie rzadko drogo okupionego, że nasze postępowanie musi miéć pewne, z nieprzepartą koniecznością wynikające z niego skutki. W ten sposób uczymy się przewidywać najprzód wypadki naszego własnego życia, a następnie życia powszechnego. Przewidywanie zaś nie jest niczém innėm, jak przenoszeniem naszego doświadczenia do czasów i przestrzeni nieznanych. Doświadczenie

umiejętne, jakiém jest nauka, wykazujące, że przewidywania ludzkie, oparte na dokładnéj znajomości tego, co się działo w przeszłości, sprawdzają się najzupełniéj— i w ten sposób dowodzą, że cały świat pojęły, jako współistnienie i następstwo zjawisk, jest stałym i niezmiennym w tém, co doświadczenie nam podaje, jako konieczne, czyli że to, co jest dla naszego umysłu konieczném, musi być zarazem i powszechném.

Tak więc przekonywamy się, że dla wytłómaczenia pojęć powszechności i konieczności bynajmniéj nie potrzebujemy uciekać się do przypuszczeń nadprzyrodzonych, nie dających się sprawdzić, do czynników czysto dowolnych, fantazyjnych, jakiemi są pojęcia *a priori*, rozum czysty, wrodzone idee, pierwiastek absolutny i t. d.; że dla ich wyjaśnienia wystarczają najzupełniéj czynniki naturalne, dane doświadczenia. Umysł, będąc bezwładnym, nie może przekroczyć swego doświadczenia i musi trzymać się go wiernie w każdéj ze swych czynności, gdyż jest ono jedynym dla nich punktem wyjścia i oparcia.

Rozprawiwszy się z zarzutem, dotykającym podstawy filozofii doświadczalnéj, przechodzę po kolei do szczegółowych.

Zaznaczyłem już wyżéj, że do głównych punktów filozofii doświadczalnéj, przeciw którym neo-kantyzm wymierza swe ciosy, należą jéj zapatrywania na początek naszych pojęć przyczynowości czasu, przestrzeni i prawd matematycznych.

Stanowisko, jakie pod tym względem zajmuje Liard w swéj krytyce, da się określić jak następuje: Ponieważ dotychczasowe usiłowania wyprowadzenia powyższych zasad z danych empirycznych okazują się płonnemi,— przeto twierdzenie Kanta, że zasady te pochodzą nie zdoświadczenia, ale z czystego rozumu, musi być uznane za jedynie prawdziwe. Że rozumowanie tego rodzaju jest jawném gwałceniem ścisłości logicznéj, każdy to przyzna. Przypuszczając nawet, że dotychczasowe usiłowania filozofii doświadczalnéj potrzeba uznać za chybione, czyliż stąd mamy prawo wnosić, że takiemi będą również i jéj usiłowania przyszłe?! Czy mamy prawo na podstawie tego jednego faktu wyprowadzać rozpaczliwy wniosek, że niema dla nas innéj rady, jak zaniechawszy dalszych prac i poszukiwań, szukać ratunku w dogmatyzmie Kantowskim, którego ani dowieść, ani zaprzeczyć nie można? Dzieje nauk i umiejętności dostarczają nam licznych dowodów, że to, co niegdyś było zagadnieniem, o którego rozwiązanie próżno kusił się rozum ludzki, co powszechnie uznawane było za tajemnicę, niedostępną poznaniu, — następnie, dzięki nowym badaniom i niespodziewanym odkryciom, zostało wyjaśnionem i sprowadzonem do czynników naturalnych.

Krytykując zapatrywanie filozofii doświadczalnéj na zasadę przyczynowości, usiłuje Liard wykazać, że wywody jéj, któremi swe zapatrywanie popiéra, nie są czém innem, jak najzwyklejszém *petitio principii*, czyli poprostu kręceniem się w kółko. Dowód tego upatruje on w tém, że filozofia doświadczalna, przyznając prawu przyczynowości charakter konieczności i powszechności, odwołuje się, jako do ostatecznéj instancyi pod tym względem, do zasady stałości praw przyrody; tymczasem ta zasada potrzebuje sama dowodu swéj konieczności i powszechności. W tém przedstawieniu rzeczy jest pewna niedokładność. Zasada przyczynowości, tak samo jak i stałości praw przyrody, są uogólnieniami indukcyjnemi; różnica między niemi jest ta, że zasada stałości praw przyrody, jako uogólnienie szersze, obejmujące wszystkie wogóle prawa tak następstwa, jak i współbytności zjawisk, zawiera już w sobie i prawo przyczynowości—tak iż kto przyjmuje zasadę stałości praw przyrody, ten już z konieczności musi przyjąć i prawo przyczynowości. Właściwym atoli dowodem słuszności tak jednéj, jak i drugiéj jest powszechne doświadczenie.

Badania naukowe, przeprowadzone we wszystkich zakresach zjawisk przyrody, w rozmaitych punktach ziemskiéj, a nawet niebieskiéj przestrzeni, wykazują, że cały świat podlega pewnym prawom, które od najdawniejszych czasów pozostają stałemi i niezmiennemi; a zarazem świadczą, że w żadnym okresie dziejów przyrody, nawet w tych, o których tylko domyślać się możemy, nie zaszło nic takiego, coby można było uważać za wyjątek od praw powszechnych, coby nie dało się wytłómaczyć za pomocą czynników czysto naturalnych. Pomiędzy temi prawami stałemi i niezmiennemi główne miejsce zajmuje prawo przyczynowości, oznaczające niezmienne i bezwarunkowe następstwo zjawisk.

Życie codzienne zarówno jak i dociekania naukowe przekonywają nas na każdym kroku, że wszelkiego rodzaju zjawiska bywają poporzedzane przez inne, z któremi są tak związane, że gdy te się pojawią, i tamte muszą nastąpić, gdy zaś nie pojawią się i owe nie wystąpią, że podobna przyczyna w podobnych warunkach podobne pociąga za sobą skutki. Jak dotąd nauka w żadnéj gałęzi swych badań nie wykryła nic takiego, coby temu prawu było przeciwne a codzienne nasze postępowanie, opierające się wyłącznie na przewidywaniu następstw zjawisk przyrody i własnych naszych czynów, dostarcza ciągle nowych dowodów, które stwierdzają stałość i niezmienność prawa przyczynowości.

Ponieważ stałość praw przyrody i przyczynowość są danemi doświadczenia niezmiennemi i trwałemi wobec zmian czasu, miej-

sca i okoliczności, ponieważ odpowiednie im stany naszéj świadomości są również trwałemi i niezmiennemi—muszą one przeto być dla naszego umysłu prawdami koniecznemi i powszechnemi. Umysł po za nie żadnym wysiłkiem wewnętrznym wyjść nie może, gdyż nie zna takiego stanu, którySby im wprost był przeciwnym, któryby je wykluczał zupełnie. Konieczność i powszechność tych praw tém bardziéj przymusową jest dla nas, że będąc danemi doświadczenia naszych przodków, leżą one niejako w ustroju naszego umysłu, jako usposobienie wrodzone do odpowiadających im stanów świadomości. Jakoż milczące, instynktowe ich uznanie towarzyszy najpierwszym objawom życia umysłowego. We wszystkich swych sądach i wnioskach o tém, co się zdarza i zdarzać musi w nieznanych nam czasach i przestrzeniach, myśl ludzka może się opierać tylko na tém, co w jéj doświadczeniu jest trwałém, co stanowi jéj stan niezmienny wśród zmiennych wrażeń zewnętrznego świata—stan, który towarzyszy wszystkim innym, ale który z żadnym z nich nie jest tak skojarzony, ażeby nie mógł być od niego oderwanym.

Ostatniemi czasy prawo przyczynowości przybrało nową postać. Uważają je mianowicie za jedno z zasadą trwałości energii. Rozważane z tego nowego stanowiska, znaczy ono, że każdy objaw energii musi być poprzedzonym przez inny, który tamtemu równym jest pod względem ilości. Stąd bezpośredni wniosek, że każdy skutek musi być równym ilościowo swéj przyczynie. Za przyczynę uważa się tu nie sam tylko główny czynnik, ale i okoliczności, wśród których czynnik ten działa i które wywierają wpływ na skutki jego działania.

Zasada trwalości energii powiada, że suma energii tak czynnéj, jak i ukrytéj jest stała we wszechświecie, że zatém ani nowéj energii stworzyć, ani istniejącéj już zniszczyć nie można. Wszystko, co się dzieje w świecie, jest tylko skntkiem przeobrażania się energii, przemiany jednych jéj form na inne, a przedewszystkiém przemiany energii potencyalnéj na energią czynną. W tych przemianach nic nie ginie i nic nie przybywa. Suma danéj energii pozostaje zawsze ta sama pomimo ciągłéj zmiany w jéj objawach. Ponieważ przyczyna i skutek nie są czém innćm, jak tylko odmiennemi formami téjże energii, która w nich obu pozostaje równą sobie, przeto i między niemi nie może zachodzlć najmniejsza różnica pod względem ilości.

Prawo przyczynowości, pojęte jako zasada trwałości energii, staje się ściślejszém, jaśniejszém i tém koniecznicjszém dla naszego umysłu, że kto raz pojął je w całéj jego rozciągłości, ten nie jest w stanie nawet pomyśléć o czémś, coby nie było skutkiem pewnéj

przyczyny i odwrotnie przyczyną pewnego skutku. Pojmować bowiem jakiś fakt bez przyczyny i bez skutku, jest to pojmować rzecz bezwzględną, jest to doznawać stanu świadomości, którego by nie poprzedzał i po nim nie następował inny stan umysłu.

Zasada trwałości energii, zarówno jak i jéj współrzędne—niezniszczalności materyi i ciągłości ruchu — jest świeżym nabytkiem nauki. Znane są dokładnie okoliczności, wśród których powstała, i drogi, któremi myśl ludzka doszła do jéj wykrycia. Wobec tych faktów trudno zaprzeczyć jéj początku czysto doświadczalnego. Nie jest ona niczém więcéj, jak indukcyjném uogólnieniem. Pomimo to wszakże posiada charakter powszechności i konieczności w równym stopniu, jak i te zasady, które uczniowie Kanta wyprowadzają z czystego rozumu. Pozostaje więc jedno z dwojga: albo zasadę trwałości energii zaliczyć do prawd *a priori*, uważając ją za pochodzącą z czystego rozumu, albo w prawdach *a priori* uznać zwykłe uogólnienia doświadczenia powszechnego, dokonane za pomocą indukcyi.

Uczniowie Kanta wybierają pierwszą alternatywę, usprawiedliwiając swój wybór rozumowaniem następném. Wszystkie prawdy konieczne i powszechne mają swe źródło w czystym rozumie, są objawem tkwiącego w umyśle ludzkim pierwiastku bezwzględnego. Dlatego atoli, żeby mogły się objawić w czynności myślenia, jako sądy, muszą one wprzód być uświadomione; otóż do takiego uświadomienia ich niezbędne są fakty doświadczalne, jako konieczny materyał myślenia.

Że to rozumowanie nie wytrzymuje krytyki, dowodzi tego to, co powiedziałem wyżéj o pochodzeniu pojęć powszechności i konieczności. Co więcéj, zawiera się w niém mimowolne przyznanie faktu, który zachwiewa potężnie całą doktrynę kantowską, a mianowicie, że prawdy *a priori* zamiast poprzedzać doświadczenie i niém kierować, z niego bezpośrednio wynikają. Napróżno tu bowiem utrzymywać, że fakty doświadczalne odgrywają wobec czystego rozumu rolę prostych bodźców, popychających go do działania, że dostarczają mu koniecznego materyału, na którym by mógł swą czynność wywierać. Dzieje bowiem nauk, a przedewszystkiém najświeższe zdobycze, jakiemi są zasady niezniszczalności materyi i trwałości energii, wykazują dokładnie, że wszystkie te prawdy *a priori* dla swego uświadomienia wymagają faktów takiéj natury, że trudno je uważać już za proste tylko bodźce; muszą one być nieraz tak drobiazgowemi i licznemi, że na ich zgromadzenie potrzeba bardzo wiele czasu, i tak wymownemi, że potrzeba bardzo ograniczonego umysłu, ażeby ich znaczenia nie zrozumiéć. Dość tu przy-

toczyć prace Lavoisier'a i Joule'a, którym zawdzięczamy ustalenie zasad niezniszczalności materyi i trwałości energii. Gdyby fakty doświadczalne miały służyć tylko za podnietę dla czystego rozumu i za prosty materyał dla jego działania, to jak wytłómaczyć to tak spóźnione jego objawienie się w sprawie zasad trwałości energii? Czy dotąd zbywało mu na odpowiednich faktach? Alež prawo przyczynowości znaném było od najdawniejszych czasów; fakty zaś, dotyczące prawa przyczynowości, są te same, na których i trwałość energii opiera się. Na tém nie koniec. Logicznie myśląc, należałoby przypuszczać, że prawdy, pochodzące z czystego rozumu, stanowiące właściwie jego istotę, skoro raz zostaną uświadomione, wystąpią w całéj potędze swego charakteru, jako wewnętrzna konieczność myślenia, jako niezmienna podwalina sądów i wniosków ludzkich. Tymczasem wystarczy zastanowić się nad dziejami zasady przyczynowości, ażeby się przekonać, że rzecz się ma zgoła przeciwnie. Zasada przyczynowości uznawaną była w najdawniejszych czasach. Nie przeszkadzało to przecież, że wierzono jednocześnie w powstawanie świata z niczego, w cuda, w wolną wolę, co wszystko wychodzi z przypuszczenia, że coś może powstać bez przyczyny. A i dziś jeszcze, pomimo, że zasada przyczynowości dokładniéj i ściśléj bywa pojmowaną,—nie brak ludzi, którzy w swych sądach i wnioskach ustawicznie ją gwałcą, trzymając się ślepo tradycyjnych przesądów i uprzedzeń.

Powié kto może, że ten sam zarzut możnaby zrobić i naszemu zapatrywaniu na naturę konieczności i powszechności tego, co w doświadczeniu jest stałém i niezmienném. Wejrzawszy atoli głębiéj w zagadnienie, nie trudno się przekonać, że zarzut ów opiéra się na nieporozumieniu. Doświadczenie jest wypadkową dwóch czynników: działania na umysł sił zewnętrznych i oddziaływania na nie umysłu. Działanie sił przyrody musi dokonywać się podług stałego i niezmiennego porządku przyrody; co się tyczy oddziaływania umysłu, to może ono być mniéj lub więcéj odpowiedniém, stosownie do przystosowania się umysłu do warunków zewnętrznego świata. Wskutek tego to, co w doświadczeniu umysłu należycie przystosowanego i oddziaływającego na czynniki zewnętrzne w sposób odpowiedni, jest stałém i niezmienném i uświadomione występuje, jako prawda konieczna i powszechna; w doświadczeniu umysłu mniéj przystosowanego, czyli, co na jedno wychodzi, nierozwiniętego, niewykształconego, albo uprzedzonego, może być zmienném i niestałém, może znajdować obok siebie dane wręcz sobie przeciwne. Uprzedzenie bowiem, błędne zapatrywanie się na fakty, stanowią tak samo pewne stany świadomości, jak i prawdy, i są da-

nemi doświadczenia, powstającemi w skutek nieodpowiedniego oddziaływania umysłu na siły zewnętrzne. Działanie sił zewnętrznych proste, bardziéj jednorodne i bezpośrednie, zdolném jest w umyśle najmniéj rozwiniętym wytworzyć stan ściśle sobie odpowiadający,—ale działanie ich złożone, różnorodne i pośrednie, wywołując oddziaływanie umysłu, do niego nieprzystosowane — musi pociągnąć za sobą w następstwie stan świadomości, który nie odpowiada ściśle porządkowi świata, jakkolwiek odpowiada danym doświadczenia. Jakoż widzimy, że kiedy zasada przyczynowości, będąca skutkiem pośredniego działania sił zewnętrznych, działania nadzwyczaj złożonego i różnorodnego, bywa uznawaną i stosowaną w całéj swéj rozciągłości tylko przez niewielu; to takie pojęcia, jak czas i przestrzeń, opierające się na prostém postrzeżeniu, będące zatem skutkiem bezpośredniego, mniéj złożonego i bardziéj jednorodnego działania sił zewnętrznych, są uważane za konieczne i powszechne przez wszystkich wogóle, bez względu na stopień rozwoju umysłowego i wykształcenia.

Pojęcia czasu i przestrzeni zalicza filozofia doświadczalna, jak to zaznaczyłem już poprzednio, do nabytków doświadczenia. Sprowadza je ona drogą analizy psychologicznéj do pewnych wrażeń zmysłowych, które są pierwiastkami doświadczenia — i wykazuje, że powstały one przez skojarzenie się tych wrażeń w pewne całości psychiczne, które następnie uświadomione i pojęte w oderwaniu, dały początek pojęciom czasu i przestrzeni.

Liard, który w swéj krytyce uwzględnia tylko psychologią angielską, załącza następujące uwagi z powodu powyższego zapatrywania na początek pojęć czasu i przestrzeni:

„Jest-to prawo umysłu, że wszystkie nasze intuicye następują po sobie kolejno, i że te z nich, które wydają się nam zewnętrznemi względem nas, rozmieszczają się jedne zewnątrz drugich. Konieczność tego prawa uznaje filozofia doświadczalna, utrzymuje bowiem, że prawa, podług których łączymy zjawiska w celu ich wyrozumienia, dają się ostatecznie sprowadzić do dwóch — do prawa następstwa i współbytności. Zachodzi więc pytanie, jakie jest pochodzenie dwóch tych praw? Czy są one przyrodzone umysłowi, dane mu *a priori*, czy nabyte przez doświadczenie?

„Zgadza się Spencer na to, że czas jest warunkiem naszego myślenia, nie podobna nam bowiem pojąć jakiegoś stanu naszéj świadomości, któregoby nie poprzedzał i po którymby nie następował stan inny. Z tém wszystkiém utrzymuje, że uświadomienie tego warunku myślenia nie towarzyszy pierwszym naszym postrzeżeniom. W początkach naszego myślenia ujmuje tylko taki a taki

stosunek położenia pewnych stanów naszéj świadomości, a dopiéro późniéj, gdy te stany stały się dla nas zwykłemi, wyłania się z nich drogą porównania pojęcie względności ich położenia wogóle, czyli pojęcie czasu. Bardzo dobrze. Lecz czy te początkowe wrażenia i postrzeżenia, te pierwociny myślenia, poprzedzające pojęcie czasu i niezbędne do jego wytworzenia, dane są naszéj świadomości po za obrębem nie już pojęcia abstrakcyjnego, ale instynktowego zastosowania prawa następstwa? Powié kto może, że następstwo danéni tu jest jako fakt, i że dopiéro z nagromadzenia tych faktów wywiązuje się prawo? Lecz czy prawo dla tego, że nie zostało wyrażone za pomocą formuły abstrakcyjnéj, przestaje być prawem? Czy stany naszéj świadomości nie rozwijałyby się drogą następstwa, gdybyśmy niezdolni byli wyprowadzić téj formuły z doświadczenia? Jedno z dwojga: albo prawo następstwa zawiera się w najpierwszych naszych wrażeniach, albo się w nich nie zawiera. Jeżeli się w nich zawiera, natenczas pojęcie czasu musi być uznaném za wrodzone, gdyż poprzedza wszelkie doświadczenie; jeżeli się nie zawiera, w takim razie nie może być zrozumianém i za pomocą prawa kojarzenia nie podobna wytworzyć czasu z wrażeń, które go nie posiadają. Widzimy więc, że Spencer wytwarza empiryczne pojęcie czasu z samegoż czasu i dopuszcza się w ten sposób błędu logicznego, zwanego *petitio principii*."

Najsłabsza strona powyższéj krytyki zawiera się w tém, że oceniając wywody Spencera pod względem logicznéj konsekwencyi, wychodzi ona z założeń, które tym wywodom nie tylko są obce, ale wręcz im przeciwne. Za pomocą takiéj metody w każdém rozumowaniu można wykazać *petitio principii*, szczególniéj, gdy się je podciąga pod zasady, których słuszność na tém głównie polega, że im przeciwne nie wytrzymują krytyki.

Co się tyczy jéj strony materyalnéj, to błąd jéj tkwi w tém, że faktyczne następstwo wrażeń, czyli — jak powiada Spencer — czas konkretny uważa za prawo umysłu pierwotne i przyrodzone.

Najprzód stany naszéj świadomości nie występują samorzutnie, ale są zwykle spowodowywane przez wrażenia zewnętrzne. Są one prostém następstwem oddziaływania umysłu na czynniki świata zewnętrznego i zgodnie z teoryą rozwoju porządek, w jakim stany naszéj świadomości objawiają się, musi być uważany jako ostateczny wypadek przystosowania się organizmu ludzkiego do warunków otoczenia, a zatém jako fakt następczy nie zaś pierwotny. Czas konkretny jest pewnym porządkiem rzeczy i ma znaczenie czysto przedmiotowe. Jest on porządkiem nie tylko zjawisk umysłowych, ale i fizycznych. Obieg soków w roślinie odbywa się tak-

że drogą kolejnego następowania po sobie ich fal oddzielnych. Pojęcie zaś czasu jest wytworem myślenia, wyrobkiem ludzkim—i dla tego uważać je za przyrodzone umysłowi jest to samo, co zaliczać do *à priori* wszystko, co tylko człowiek nabył drogą myślenia abstrakcyjnego, słowem, całą wiedzę, która w swém usystematyzowaniu jest czysto abstrakcyjną.

Powtóre, nie jest to prawdą, ażeby absolutném prawem życia umysłowego było kolejne następowanie po sobie stanów świadomości. Postrzeganie i wyobrażanie dowodzą jasno, że umysł nasz w tym samym akcie może uświadomić sobie kilka naraz wrażeń, występujących jednocześnie. Wrażenia bowiem zmysłowe i, co zatém idzie, stany naszéj świadomości, kojarzą się z sobą nietylko w kierunku następstwa, ale i współbytności. Jeżeli w wyższych czynnościach rozumowych główną rolę odgrywa kojarzenie wyobrażeń następcze, to w każdym razie w podstawie ich leży już kojarzenie wyobrażeń współczesne, którego wyrobkiem są same wyobrażenia. Nie dość tego. Podczas, kiedy bieg myślenia rozwija się pasmem następujących po sobie wyobrażeń, wyraźnie uświadomionych, występują obok nich wyobrażenia nawpółświadome, pozostające na drugim planie, a nierzadko się zdarza, że z głębin umysłu wyłaniają się nagle wyobrażenia, które w żadnym nie zostają stosunku z biegiem naszego myślenia i przerywają całe jego pasma.

Zresztą wyrażenie: stany świadomości, nie zupełnie jest właściwe. Daje ono do myślenia, że przez świadomość, rozumié się coś samoistnego, jakiś byt metafizyczny. Kiedy tymczasem nie jest ona niczém innéın, jak zjawiskiem, podobném do wszelkich innych. Nie znamy jéj istoty, ale wiemy, że towarzyszy ona zawsze czynnościom układu nerwowego, skoro te dosięgają pewnego natężenia i mają pewną trwałość. Zamiast więc mówić: stany świadomości, ściśléj byłoby używać wyrażenia: stany świadome, tak jak się mówi: stany nieświadome, bezwiedne. Mając to na uwadze, nie trudno wytłómaczyć, dla czego stany wyraźnie świadome następują po sobie kolejnie. Sprawy życiowe organizmu dokonywają się współcześnie, przedstawiając układy czynności prawie samodzielne. Usystematyzowanie swe zawdzięczają one układowi nerwowemu, który je koordynuje i sprowadza do mniéj lub więcéj doskonałéj jedności. Ostatecznym celem tego usystematyzowania jest zachowanie organizmu, środkiem zaś—oddziaływanie na zewnętrzne czynniki. Takie oddziaływanie nie może być czém innéın, jak wypadkową wszelkich czynności organicznych. Otóż taka wypadkowa, na którą w każdéj chwili składają się liczne siły, współcześnie działające, może objawiać się tylko w kolejném następstwie czasu. Dzieje się

w tym wypadku to samo, co w każdéj maszynie, któréj szczegółowe ruchy obrachowane są na wytworzenie ruchu wypadkowego, mającego za zadanie wykonywanie pewnéj czynności. W niéj obok współcześnie odbywających się ruchów różnych kół i drągów—dokonywa się ruch główny, będący wypadkową szczegółowych, ruch, który, panując niejako nad innemi, przykuwa do siebie naszą uwagę i w ten sposób inne towarzyszące mu ruchy spycha na drugi plan, czyniąc je na wpół świadomemi. Stany świadome, będąc wypadkową spraw życiowych, muszą się objawiać porządkiem następstwa nie dla tego, że ten porządek został im nadany z góry, ale dla tego, że wskutek przystosowania się organizmu do warunków zewnętrznych skierowane są ku jednemu celowi, jakim jest oddziaływanie na zewnętrzne czynniki.

Przechodząc do pojęcia przestrzeni, powiada Liard: „Filozofia doświadczalna sprowadza współbytność do następstwa. Podług niéj, szereg stanów świadomości następujących po sobie, tém się różni od szeregu współistniejących, że ten ostatni daje się odwrócić z zachowaniem swéj wyrazistości, kiedy tymczasem tamten odwrócić się nie daje w ten sam sposób. Otóż, ponieważ następstwo jest podstawą współbytności, a następstwo daném nam jest *à priori*, przeto i współbytność nie może być uważana za coś innego, jak za prawo umysłu przyrodzone“.

Powyżéj starałem się wykazać, że następstwo, jako zasadnicze prawo naszego umysłu, jest bezpośrednim skutkiem oddziaływania organizmu na zewnętrzne czynniki, nie zaś przyczyną tego oddziaływania, czémś narzuconém umysłowi z góry. Zresztą, gdybyśmy nawet przyjęli zapatrywanie Liarda na początek pojęcia czasu, to stąd jeszcze nie wynika konieczność logiczna, ażebyśmy ten sam początek przyznali także i pojęciu przestrzeni. Różnica bowiem, jaka zachodzi między szeregiem stanów świadomości następujących po sobie a szeregiem stanów współistniejących pochodzi stąd, że te mogą być odwrócone, tamte zaś nie mogą. Otóż takie odwracanie szeregu stanów jest faktem doświadczalnym—a zatém tylko drogą doświadczenia przychodzimy do pojęcia przestrzeni.

W dalszym ciągu swego rozumowania dowodzi Liard, że ani zmysł dotykowy sam przez się, ani w połączeniu ze zmysłem mięśniowym, nie dają nam poznać współbytności ciągłéj, jaką jest przestrzeń, tylko współbytność rozdzielną. Dla zjednoczenia współbytności rozdzielnéj w całość ciągłą potrzebny jest nowy czynnik— i takim właśnie jest przestrzeń *à priori*, która logicznie poprzedza tak umiejscowianie wrażeń dotykowych, jak i ocenianie szérokości ruchow mięśniowych.

Że zmysł dotykowy i mięśniowy ani same przez się, ani w połączeniu nie dają nam pojęcia przestrzeni takiego, jakie mamy w stanie normalnym, nie ulega wątpliwości. Trzeba atoli pamiętać, że pojęcie przestrzeni nie składa się z samych tylko wrażeń dotykowych i mięśniowych, że z niemi kojarzą się jeszcze wrażenia wzrokowe, które w pojęciu przestrzeni główną odgrywają rolę i nadają wrażeniom dotykowym i mięśniowym pożądaną ciągłość. Za pomocą tylko wzroku poznajemy współbytność ciągłą, dzięki lokalnemu charakterowi jego wrażeń, które zléwają się z sobą w jednę całość nierozdzielną. Jaką jest przestrzeń czysto dotykowo-mięśniowa, właściwa ślepym od urodzenia, o tém jasnego pojęcia mićć nie możemy, gdyż w tym kierunku badania nie posiadają jeszcze pewnych danych. W każdym razie musi ona znacznie różnić się od przestrzeni wzrokowéj, jak o tém świadczy zachowywanie się ślepych od urodzenia w chwili, gdy zostanie im przywrócony wzrok za pomocą operacyi.

Nie podobna zaprzeczyć, że wytłómaczenie pojęcia przestrzeni na podstawie danych doświadczenia, napotyka trudności, których dotąd niezdołano całkowicie usunąć. Lecz to jeszcze nie dowodzi, że ich usunąć nigdy nie zdołamy. Kraków, jak powiada nasze przysłowie, nie od razu został zbudowany. To zaś, co dotąd pod tym względem zrobiono, daje nam niepłonną nadzieję, że dalsze usiłowania osiągną pożądany skutek.

Metafizyka spekulacyjna posiada szczególniejszą zdolność przemieniania zagadnień z natury prostych i łatwych do zrozumienia w najtrudniejsze i najbardziéj zawiłe. Umié ona zawinąć je w tak gęstą tkankę sztucznych subtelności, że więcéj kosztuje pracy wydobycie ich z tych powijaków, aniżeli samo ich rozwiązanie. Tak własnie ma się rzecz z zagadnieniem, dotyczącém początku i charakteru matematyki.

Podług filozofii doświadczainéj, matematyka jest wprawdzie nauką czysto dedukcyjną, opiera się przecież na zasadach, które mają początek w doświadczeniu i są uogólnieniami indukcyjnemi. Wszystkie jéj pierwiastki są prostemi abstrakcyami myślenia. Charakter konieczności i powszechności, jaki mają pojęcia i wywody matematyczne, pochodzą stąd, że są natury hipotetycznéj.

Liard zbija to zapatrywanie, dowodząc, że doświadczenie nie dostarcza umysłowi wszystkich pierwiastków, jakie wykrywamy w matematyce, że dane doświadczenia nie czynią zadość wszystkim warunkom rozumowania matematycznego. Dowodzenie swe sprowadza on do trzech głównych punktów:

a) W przyrodzie nie masz ani linii absolutnie prostych, ani téż doskonałych kątów, kwadratów, kół itd. Jeżeli więc całe rozumowanie geometryczne opiéramy na przypuszczeniu, że figury geometryczne posiadają doskonałość, jakiéj nie ma w rzeczywistości; to sama możliwość takiego przypuszczenia dowodzi, że nasze pojęcie o doskonałości figur geometrycznych jest pojęciem *à priori*, poprzedzającém doświadczenie, że pochodzi z czystego rozumu. Rozum przerabia dane doświadczenia podług wzoru, jaki w samym sobie znajduje—i wytwarza z nich figury idealne. Dokonać tego nie może ani abstrakcya, ani uogólnienie. Abstrakcya oddziela tylko jedne własności od drugich, uogólnienie zaś polega na zastosowywaniu odkrytych doświadczeniem własności i stosunków w jednym wypadku do wszystkich jemu podobnych. Tak więc, jak jedna, tak i drugie nie tworzą nic nowego, nic nie wnoszą do danych doświadczenia, czego w nich już nie ma.

b) Wszystkie działania matematyczne, dające się ostatecznie sprowadzić do liczenia i mierzenia, opierają się na pojęciu równości bezwzględnéj. Lecz w świecie zewnętrznym nie ma dwóch rzeczy, któreby były absolutnie równemi, między któremi nie zachodziłaby jakaś, chociażby najmniejsza różnica. Dla tego téż mocą logicznéj konieczności jesteśmy zmuszeni przyznać, że pojęcie bezwzględnéj równości pochodzi nie z doświadczenia, ale z czystego rozumu, że jest pojęciem *à priori*.

c) Tworzenie liczb i figur geometrycznych, czyli poprostu dodawanie i dzielenie ilości, oraz kombinowanie pierwiastków geometrycznych nie mają granic i mogą być przedłużane do nieskończoności; tymczasem w rzeczywistości stosunki ilościowe i przestrzenne są skończone. Dowodzi to więc wyraźnie, że rozum w działaniach matematycznych wychodzi po za granice doświadczenia, prześciga je o całą nieskończoność.

W założeniu powyższych rozumowań leży przypuszczenie, że umysł ludzki we wszystkich fazach swego rozwoju odbiera od świata zewnętrznego jednakie wrażenia i jednakowe o nim wyrabia sobie pojęcia, że to, co w poznaniu człowieka wieku naszego jest rezultatem umiejętnych dociekań, zawierać się musiało i musi w poznaniu naszych najdalszych przodków i współczesnego nam człowieka bez wykształcenia. Tymczasem codzienne doświadczenie przekonywa nas na każdym kroku, że indywidualne różnice między ludźmi zarówno pod względem wrażeń i spostrzeżeń, jakotéż pojęć i sądów są tak wielkie, że nie rzadko, patrząc, słuchając i dotykając się téj saméj rzeczy, co innego w niéj widzą i odmienne o niéj wyobrażenia sobie tworzą. Jakoż, gdy zważymy, że umysł ludzki

nie jest niczém więcéj, jak uorganizowaném doświadczeniem, musimy się zgodzić, że każdy człowiek, odpowiednio stopniowi swego rozwoju i wykształcenia, inaczéj zapatruje się na rzeczy i inaczéj je pojmuje. Co więcéj, sama budowa organów zmysłowych, będąc w różnym stopniu zróżnicznikowaną, wpływa na odmienny sposób pojmowania rzeczy.

Rzeczy konkretne nie są dla nas niczém więcéj, jak skupieniem pewnych własności. O tych własnościach dowiadujemy się za pośrednictwem zmysłów, które odbierają od nich właściwe sobie wrażenia. Jakkolwiek każda własność rzeczy, do których nasze zmysły przystosowały się, wywiera na nich pewne wrażenie, nie każda przecież wywiera je w równym stopniu. Zależy to od tego, do których własności nasze zmysły najbardziéj przystosowały się. Zresztą nie trzeba zapominać, że wrażenie nie jest prostém odbiciem na umyśle zewnętrznych czynników, lecz ich przeróbką, wypadkiem oddziaływania na nie umysłu. Nie dość na tém, nie wszystkie własności rzeczy, pomimo swego działania na nasze zmysły, dostają się do ogniska naszéj świadomości, bywają przez nas postrzegane. Głównym warunkiem postrzeżenia jest uwaga, skierowanie się naszéj świadomości w jednym wyłącznie kierunku. Uwaga w początkach życia umysłowego bywa czysto automatyczną, działającą w kierunku największego ciągnienia. Zwraca się ona ku wrażeniom najsilniéj działającym na zmysły. To też umysły nierozwinięte uważają własności rzeczy najsilniéj działające na ich zmysły za istotne—i na inne nie zwracają uwagi. Dopiéro w późniejszéj dobie rozwoju umysłu i dokładniejszego przystosowania się zmysłów do warunków otoczenia, uwaga z mimowolnéj staje się dowolną w tém znaczeniu, że skierowuje się zamiarowo na te rzeczy i ich własności, które najbardziéj odpowiadają wymaganiom poznania i przedsięwziętemu zadaniu. Od wyrobienia uwagi czynnéj zależne są obserwacya i doświadczenie, które nie są czém innem, jak zwykłém postrzeganiem, ale postrzeganiem uregulowaném w celu osiągnięcia wyraźnie określonego zadania.

To więc, co w poznaniu dzisiejszego człowieka, wzbogaconego tradycyą naukową kilkudziesięciu wieków, jest pierwiastkiem koniecznym, może takim nie być, a nawet zgoła nie znajdować się w poznaniu człowieka, pozbawionego dobrodziejstw wykształcenia. Z tém większą słusznością można to powiedzieć o oddalonych naszych przodkach, którzy pierwsi wytworzyli pojęcia o ilościowych i przestrzennych stosunkach. Stosować więc do wyobrażeń ludzi pierwotnych, którym zawdzięczamy zasadnicze wyobrażenia o zewnętrznym świecie, wymagania, jakie po tylu wiekach trudów i po-

święceń stały się koniecznemi warunkami poznania — jestto zapominać, że czynność umysłowa, jak wszelka inna, będąca objawem życia, wyrabia się i wyształca powoli, przechodzi liczne fazy, z których każda ma właściwe sobie warunki.

Dla nas, bogatych w doświadczenie wieków, zaopatrzonych we wszelkie przyrządy miernicze i mikroskopy, spotęgowujące i bez tego spotęgowaną w nas pracą przodków zdolność postrzegawczą— nie masz w przyrodzie ani linii absolutnie prostych, ani absolutnie doskonałych kątów, trójkątów, kół i t. d. Dość atoli zwrócić się do ludzi niewykształconych, ażeby się przekonać, że dla nich każda linia prosta, nie przedstawiająca ich oku wyraźnych nierówności, jest bezwzględnie prostą, że każda figura geometryczna, nie przedstawiająca widocznych nieregularności, jest bezwzględnie doskonałą. O tém, że w rzeczywistości nie ma ani absolutnie prostych linii, ani absolutnie doskonałych trójkątów, kół i t. d. nie wiedzą oni zgoła jak nie wiedziała o tém ludzkość przed wynalazkiem przyrządów mierniczych. W odróżnianiu bowiem tego, co jest doskonale prostém, od tego, co nie jest prostém, kierujemy się nie naukowo wyrobionemi pojęciami, ale bezpośredniém postrzeganiem. Nasi protoplaści, którzy pierwsi odróżnili linię prostą od krzywéj, różnicę tą przeprowadzili na podstawie wrażeń wzrokowo-mięśniowych i dotykowych — i ich pojęcie o prostéj linii odpowiadało jak najściśléj stopniowi przystosowania się ich zmysłów do odznaczania mimowolnych różnic w zakresie powyższych wrażeń.

Pojęcia linii prostéj i krzywéj są współrzędne. W miarę, jak zakres jednego z nich rozszerza się, zakres drugiego zacieśniać się musi. Im dokładniéj oceniamy nierówności linii konkretnych, dzięki przyrządom mierniczym i powiększającym szkłom, tém pojęcie o linii prostéj staje się bardziéj hipotetyczném. Pomimo tego charakteru, jaki ma linia prosta w naszém rozumowaniu matematyczném, nie jest ona bynajmniéj wytworem czystego rozumu. Obecne jéj pojęcie urabiało się powoli pod wpływem wzrastającego doświadczenia drogą abstrakcyi, przez usuwanie i wykluczanie z danych doświadczenia wszystkiego, co sobie wzajemnie przeczyło. Jeżeli bowiem w rzeczywistości niemasz linii doskonale prostych to są przecież linie, które mniéj lub więcéj są prostemi doskonale. Powtarzające się wrażenia tych linii zostawiają po sobie ślad w umyśle, w którym częściowe różnice zacierają się, a pozostaje tylko główny jéj kierunek. Większym byłoby cudem odtworzyć w wyobraźni linią ze wszystkiemi jéj konkretnemi nierównościami, niż linią doskonale prostą, czyli idealną.

Co się powiedziało o linii doskonale prostéj, to samo należy rozumiéć i o bezwzględnie doskonałych trójkątach, kołach i innych figurach geometrycznych, które mają również charakter hipotetyczny. Dla ludzi, nie mających książkowego wykształcenia, każdy trójkąt, kwadrat i koło są albo doskonałe, albo niedoskonałe. O bezwzględnéj doskonałości w tém znaczeniu, jakiéj jéj nadają filozofowie, nie mają oni najmniejszego pojęcia — i ktoby im chciał dowodzić o kole, którego punkty obwodowe znajdują się podług zwykłego wymiaru na jednakiéj odległości od środka, że nie jest bezwzględnie doskonałém, tenby wprawił ich w zdumienie tylko i mógłby być posądzonym o chęć zażartowania z nich. Pojęcia o bezwzględnéj równości, doskonałości i t. d. są wynalazkiem spekulacyi — i w gruncie rzeczy mają znaczenie ujemne. Oznaczają one równość, doskonałość i t. d. pozbawione wszelkich przypuszczalnych nierówności i niedoskonałości. Są to więc wyrazy, którym nie odpowiada nic rzeczywistego, żadne zgoła wyobrażenie.

Co się tyczy téj właściwości działań matematycznych, że tworzenie liczb i kombinowanie pierwiastków geometrycznych mogą być przedłużane do nieskończoności — to na to można odpowiedziéć: najprzód, że jeżeli dodawanie i dzielenie ilości rzeczywiście może być przedłużane do nieskończoności, to wątpię, czy można to samo utrzymywać o kombinowaniu pierwiastków geometrycznych. Jednostki liczebne są głuchemi abstrakcyami, różniącemi się od siebie tém tylko, że różne zajmują położenie w czasie i przestrzeni; kiedy tymczasem pierwiastki geometryczne, przedstawiając określone stosunki przestrzeni, różnią się od siebie nie samém tylko położeniem, ale i kierunkiem w przestrzeni. Kombinacya pierwiastków geometrycznych, chociażby praktycznie nie dała się wyczerpać, nie mniéj musi być skończoną. Powtóre, dodawanie i dzielenie, jeżeli i mogą być przedłużane do nieskończoności, to dla tego, że są one niczém więcéj, jak dodawaniem i dzieleniem pewnych cząstek czasu i przestrzeni. Ilość bowiem nic innego nie oznacza, jak czas i przestrzeń, pojmowane nie w ciągłości, ale w krotności. Ponieważ czas i przestrzeń są nie skończone, gdyż doświadczenie nie dało nam poznać ich granic, ich początku i końca, przeto tak zsumowywanie, jak i dzielenie ich cząstek, ich momentów muszą być nieskończonemi. Nieskończoność ich pochodzi jeszcze i stąd, że samo myślenie, nie znając ani początku, ani końca swego, nie jest zdolném zatrzymać się na jakimś stanie świadomości, któryby nie był poprzedzonym przez inny i po którym by inny nie następował.

Do pierwiastków transcendentalnych zalicza Liard także zasady myślenia, których główném źródłem ma być odróżnianie zjawiska od rzeczy w sobie. W doświadczeniu — powiada on — dane są tylko zjawiska, prawa zaś odnoszą się do rzeczy w sobie, do istoty. Praw tych ze zjawisk wyprowadzić nie można, gdyż w nich nie znajdują się, wyprowadza je rozum z pierwiastków, które w nim samym tkwią. Całe to rozumowanie polega na tém, że rozróżnieniu czysto logicznemu nadaje się znaczenie rzeczywiste.

Odróżnianie istoty rzeczy od jéj zjawisk ma swe źródło, jak powiada Spencer, we względności naszego poznania, które wymaga dwóch terminów. Zjawisko, jako zjawisko, może być pojętém w odniesieniu do czegoś, co się różni od zjawiska, co niém nie jest. Tém czémś różném od zjawiska jest właśnie istota, będąca pojęciem nieokreśloném. Bliższe wyjaśnienie pochodzenia pojęcia o istocie rzeczy znajdujemy u Lewesa. Rzecz konkretna jest zbiorem pewnych własności znanych i nieznanych. Otóż doświadczenie nas uczy, że ilość własności nieznanych jest nieskończenie większą od znanych. W miarę, jak udoskonalają się metody badania, wykrywamy coraz to nowe własności rzeczy — i nie możemy nawet pomyśléć o tém, ażeby ich ilość mogła być skończoną. Ta nieskończona ilość własności nieznanych, ale możliwych, zestawiona z ograniczoną ilością własności znanych, przybiera pozór czegoś, co z natury swéj zdaje się być różném od zjawiska. Do podtrzymywania tego złudzenia przyczynia się także sama forma myślenia. W sądach naszych przeciwstawiamy podmiot, jako rzecz, orzeczeniu, jako jéj własnościom. W tém przeciwstawieniu rzeczy jéj własnościom, pojmujemy rzecz, jako coś, co jest przyczyną własności, ich istotą. To więc, co jest czysto logiczném odróżnieniem, staje się dla nas rzeczywistém.

Te są główne zarzuty, z jakiemi Liard w imię filozofii intuicyjnéj zwraca się do doświadczalnéj. Jakkolwiek załączone tu uwagi nie wyczerpują kwestyi i pod wielu względami mogą się okazać niezupełnie przekonywającemi; w każdym razie dowodzą tego jednego, że założenia filozofii doświadczalnéj mają podstawę, któréj tak łatwo zburzyć nie można za pomocą dyalektyki czysto spekulacyjnéj. Opierając się na faktach, może ona tylko przez fakty być obaloną. Daleka od tego, by miała sobie przyznawać nieomylność, podaje ona swe wyjaśnienia i hipotezy z tém zastrzeżeniem, że uważa je za prawdopodobne, jako najbardziéj odpowiadające obecnemu stanowi wiedzy. Czy wszystkie jéj zapatrywania utrzymają

się w przyszłości? Na to pytanie odpowiada ona: utrzymają się potąd, póką fakty, na których jéj zapatrywania opierają się, nie zostaną zaprzeczone przez dalsze doświadczenie, przez głębsze wniknięcie w naturę rzeczy i odkrycie stron jéj dotąd nieznanych. Muszą one uledz częściowym zmianom, uzupełnieniom i sprostowaniom, gdyż zakres poznania coraz się rozszerza. Mogą nawet zupełnie ustąpić miejsca innym, z tém wszystkiém pozostanie to, co stanowi jéj charakterystyczną cechę — metoda, która wszelkie swe rozumowania opiéra na faktach doświadczalnych.

Władysław Kozłowski.





DZIEJE RODÓW LITEWSKICH,

jako materyał do archeologii historycznéj.

Poczet rodów w Wielkiém Księstwie Litewskiem w XV i XVI wieku. Ułożył i wydał Adam Boniecki. Warszawa 1887. 4⁰, str. XV, 425, XLIX.

Badania naukowe dziejów oddzielnych rodzin możnowładczych i szlacheckich powinny stanowić część nieodłączną archeologii historycznéj. Przeprowadzone wszechstronnie rozjaśnią one niewątpliwie wiele stron ciemnych jeszcze w dziejach wewnętrznych całego społeczeństwa. Dotąd jednak część ta archeologii historycznéj, z niewielkiemi zresztą wyjątkami, stanowiła specyalność wyłączną takiéj literatury, która mając na widoku mitry i klejnoty herbowne, rzadko kiedy uwzględniała prawdziwy cel naukowy. Większa część wydawnictw tego rodzaju oparta była na podstawach fantastycznych i dążyła do celu z góry uplanowanego, nie mającego nic wspólnego z nauką historyczną. Nieraz jednak i tam spotykamy dowody oparte na źródłach „najnowszych.“ Lecz tu powstawał zamęt największy w pojęciach o źródłach, o ważności tego lub owego źródła i o ich stosunkach wzajemnych. Zamęt ten panuje nie tylko w kole czytelników literatury tak zwanéj heraldycznéj, ale nawet u autorów piszących dzieje rodów lub osób historycznych. Przykład dosadny podał nam p. Ad. Krechowiecki w obronie swego „Starosty Zygwulskiego“ przeciwko zarzutom p. Zielińskiego (1). P. Kr. z pewnością dowodzi, że oparł swą powieść nie na Niesieckim lub Siarczyńskim, lecz na „nowszych źródłach“, a tém nowszém źródłem jest praca ś. p. K. Stadnickiego w „Złotéj księdze szlachty“ p. Żychlińskiego. Nie dość, że autor

(1) Biblioteka Warszawska, 1887, październik, str. 146 nst.

w swéj obronie myśli, że im nowsze źródło, tém lepsze, i opracowanie Stadnickiego uważa za źródło historyczne, ale stawia daléj na jednéj stopie i do jednéj kategoryi źródeł obok Żychlińskiego zalicza Akta kapituły przemyskiéj z wieku XVI (które zna tylko z „*Praemislia Sacra*“ Pawłowskiego), Orzechowskiego „*Annales*“ i „Dzieje Polski“ Szujskiego. Zamiast Szujskiego lepiejby się p. Kr. powołał na ks. Bukowskiego, który ma dobrą monografią w Stadnickim. Nie zwracalibyśmy uwagi na podobny chaos w pojęciu o źródłach u powieściopisarza, gdyby ten zamęt nie był zbyt ogólnym w obszernéj literaturze i gdyby sam autor powieści historyczno-genealogicznéj nie podjął kwestyi o źródłach do dziejów rodów.

Taka nieumiejętność wybierania i oceniania źródeł, częściéj jednak chęć schlebiania pewnego rodzaju dumie rodowéj, zdyskredytowała prace genealogiczne w oczach ogółu nawet wykształconego, który w badaniach nad dziejami rodów szlacheckich nie widzi celu innego, jak wychwalanie cnót rodowych i schlebianie dumie magnackiéj. Czas więc już wielki potemu, aby wyprowadzić badania genealogiczne z manowców na drogę utartą badań naukowych. Zdaje się, że już wstępujemy w nowy okres, który względy uboczne całkiem odrzuci. W ostatnich czasach, nie mówiąc o cennych pracach dawniejszych, zjawiły się wydawnictwa, jak „Archiwum Sławuckie“, jak dzieło p. Wolffa „Pacowie“, rzecz oparta wyłącznie na źródłach archiwalnych, przeważnie na Metryce Litew. i pamiętnikach współczesnych, jak nareszcie praca p. Bonieckiego, obejmująca poczet rodów litewskich aż do połowy wieku XVI. Wydawnictwa te wskazały drogę prawdziwą, jaką ma iść daléj historya rodów szlacheckich. Wydawnictwo aktów, odnoszących się do pewnéj rodziny i opracowania historyczne, oparte na materyale archiwalnym i na dokumentach współczesnych, oto jest zadanie przyszłych badaczy dziejów rodów. Wydawnictwo aktów jest ważne pod tym względem, że nieraz drobny szczegół, opuszczony w opracowaniu, w szeregu wielu innych tegoż rodzaju faktów otrzymuje wielki walor i ma znaczenie dla dziejów wewnętrznych.

Jeżeli dzieło p. Wolffa „Pacowie“ powinno zasłużyć na uznanie chlubne, to praca p. Bonieckiego „Poczet Rodów“ stanowi niewątpliwie epokę w naszéj historyografii genealogicznéj. Pracy o takim zakresie, opartéj na materyale pierwszorzędnéj wartości dotąd nie posiadaliśmy. Książka p. B. musi się znaleść w ręku każdego historyka Litwy. Boć to ci wszyscy Białozory, Czaple, Czyże, Hornostaje, Jeże, Komary, Cybulki, Harbuzy, Bobojedy, Kiszki, Kisiele, którzy po 300—400 latach po raz pierwszy spotkali się w księdze p. B., żyli, działali i tworzyli historyą. A znalazł p. B. tych

różnych kniaziów Babów, Kapustów, Kozeków w tych dokumentach, które oni sami zeznali i swą czynność niemi stwierdzili. P. Boniecki pierwszy w takim zakresie wskazał drogę, jaką powinni iść badacze, pierwszy na taką skalę otworzył metrykę litewską i zmusił szlachtę, która przez lat 400—300 była w spokoju, aby sama mówiła o swych czynach. Metryka Litewska jest to cała Litwa u siebie w domu z jéj przywarami i zaletami. Przed nią szlachta staje taką, jaką była — kłótnie i spory, bójki i napaści na równéj drodze, sprzedaż i kupno, zastaw i działy, wszystko się w niéj schodzi. Przez nią dostaje ona urzędy i dostojeństwa, jak również i chleb rzeczypospolitéj w formie dzierżaw i starostw. Tam się spotykali pan i bojarzyn, nie był w niéj chyba ten, co przez lenistwo lub abnegacyą zadowolnił się teraźniejszością i nie dbał całkiem o poprawę losu swego, albo o zabezpieczenie następców testamentarnie. Spotykamy w aktach Metryki i „ludzi", bo panowie przyzywali ich nieraz, aby świadczyli w sprawie granicznéj z sąsiadem, albo sprzedawali ich komu innemu. W ten więc sposób Metryka jest źródłem pierwszéj wagi dla dziejów wewnętrznych Litwy. Zbadanie jéj wszechstronne da nam pewny zarys życia społecznego, który może być rozszerzany i oświetlany na podstawie innych źródeł lub kombinacyi historycznych (1). Znaczenie Metryki doskonale zrozumiał p. B. i na niéj, jako na fundamencie pewnym, oparł budowę swego dzieła, do przeglądu którego przystępujemy obecnie.

Podstawą główną pracy p. Bonieckiego jest sumaryusz, obejmujący akta najdawniejsze aż do połowy XVI wieku. Wiadomości objęte sumaryuszem uzupełnił autor szczegółami zaczerpniętemi z innych źródeł, których spis obszerny podany jest w przedmowie. Z powodu, że wiadomości sumaryusza sięgają tylko do połowy wieku XVI, na téj więc epoce p. B. zamyka badania swoje i tylko w wypadkach wyjątkowych po za nią przekracza. O charakterze tego sumaryusza i sposobie sporządzenia jego p. B. zamilcza (2). Z dzieła jednak jego możemy się domyślać, że zawiera on w sobie regestra do tych ksiąg, które w końcu wieku XVIII zostały skopio-

---

(1) Szczegółowy opis Metryki Litewskiéj wydaliśmy w Petersburgu p. t. „Opisanie knig i aktow litowskoj Metryki." Przy powoływaniu się na akta Metryki używamy skróceń, jakie zostały przyjęte w Ateneum w artykule „Dostojnicy litewscy", 1886, styczeń. Numera ksiąg podajemy według systemu petersburskiego. Odpowiednie numera warszawskie są wskazane we wspomnianym wyżéj opisie.

(2) W cytatach z sumaryusza wskazuje autor tylko N-er księgi, i nie podaje stron, co bardzo utrudnia sprawdzanie. Numera ksiąg, podane według regestru warszawskiego, nie odpowiadają petersburskim.

wane, a które obecnie są w Warszawie, nie zaś do ksiąg oryginalnych, które świéżo z Petersburga przewieziono do Moskwy. Autor zaznacza, że w sumaryuszu znalazł liczne omyłki, które musiał sprostować. Nie wiemy, czemu mamy przypisać, czy pracy krytycznéj autora, czy akuratności sumaryusza, fakt, żeśmy nie znaleźli ważnych błędów w sumaryuszu. Pomyłki te mają charakter błędów drukarskich, łatwo mogą być poprawiane: Militynicz (str. 22) zam. Mikitynicz, Kholimont zam. Golimont (кг, kg = g), Czenadej zam. Henadej, Nowosielicki zam. Nowosielecki, Skirmin zam. Skirwin, Jan Bujanowicz (XXVI) zam. Jakub Janowicz i niewiele innych, których autor uniknąłby przy korzystaniu z oryginału. Tak samo np. w oryginale mamy: „Lewkowicz Sidor kłał pered nami list otca naszoho sławnoje pamieti K a z i m i e r a na to, szto J. M. dał otcu jeho nieboszczyku Lewku ludej i zemli na imia Wersoce i też zemli w Ejszyszskom i raduńskom i koniewskom powietie.“ 10-go lutego 1500 (Z. 8, 259). Sumaryusz w tém miejscu ma datę fałszywą i Aleksandra zam. Kazimierza. Korzystanie z sumaryusza miało i tę stronę niedogodną, że nie pozwalało autorowi korzystać ze szczegółów, nieraz ważnych, a o których sumaryusz zamilcza. Dla przykładu weźmy ustęp o Puhaczewiczach. Z aktu powołanego przez p. B. dowiadujemy się więcéj niż szanowny autor podaje. Wypływa z niego, że Ostafi Puhacz był bratankiem Iwana Zenowiewicza, który wydzielił część ojcowizny wdowie Puhaczowej Ahafii (Z. 12, 23). W Metryce Lit. 21 (=P. 1. 4) w popisie poborowym z roku 1528 wymienieni Puhaczewicze Hrehory i Wasil, ale stawią oni nie 28 koni, a 7. Omyłka musiała zajść przy transkrypcyi słowiańskiéj numeracyi. W oryginalnéj księdze przy Puhaczewiczach znajdujemy dopisek późniejszy „Zenowicze.“ Hrehory Ostafiewicz stawił się jako świadek przy sprzedaży w r. 1532 trzeciéj części Smorgoń przez Jana Jurjewicza Zenowicza (Z. 34, 178). Oczywiście, że szczegóły tu nie mogą być znane z sumaryusza. Oprócz sumaryusza p. B. posiada odpis całéj księgi 21 (=P. 1.), zawierającéj nader cenny regestr poborowy z r. 1528 spisany na mocy uchwały sejmowéj. Regestr ten zawiera popis kniaziów, panów, wdów wojewodzińskich, bojarów z poszczególnieniem wiele, kto ma stawić koni na potrzebę wojenną. Jest to bardzo materyał cenny dla określenia ludności kraju. P. Boniecki nie omawia tego regestru, ale ze stałych odsyłaczy wnosimy, że musi go posiadać. Szkoda tylko; że w odpisie w wielu miejscach źle odcyfrowano liczbowanie słowiańskie. Na takim więc sumaryuszu mógł p. B. śmiało oprzéć swe dzieło, i jeżeli znajdą się w nim błędy, to nie będą znów one bardzo rażące i z łatwością dadzą się usunąć.

Na podstawie sumaryusza p. B. ułożył spis alfabetyczny rodów poszczególnych i pod te rubryki zaciągnął wiadomości, jakie o nich znalazł w sumaryuszu lub w źródłach drukowanych. Przy rodach więcéj rozgałęzionych autor podał dokładne tablice genealogiczne. W ten więc sposób mamy tu zebrane faktyczne wiadomości, tyczące się poszczególnych rodzin, dóbr jakiemi one władały, jakie i kiedy kto z członków tych rodów piastował urzędy. Spotykamy nareszcie wyroki sądów marszałkowskich i w. książęcych w sprawach pomiędzy temi rodami. Ztąd więc poznajemy nietylko stosunki familijne prywatne, ale całe życie państwowe i przenikamy w tajniki dziejów wewnętrznych Litwy. Dzieło swe p. B. zamyka spisem dygnitarzy i urzędników duchownych świeckich, którzy zostali wspomnieni w poczcie rodów.

Spis dygnitarzy świeckich na Litwie przed laty dwoma wydał p. Wolff p. t. „Senatorowie i Dygnitarze". P. W. podał możliwie zupełny spis senatorów i dygnitarzy litewskich od pierwszego połączenia Litwy z Polską aż do r. 1792. Za zasadę swego wydawnictwa p. W. przyjął podanie terminu postąpienia na pewien urząd i ustąpienia z niego danéj osobistości i wynalezienie możliwie wszystkich dygnitarzy pewnych kategoryi. W razie zaś niemożebności ostatecznéj (według jego przekonania) odnalezienia daty pewnéj, podawał przypuszczalną, lub wykazywał lata, w jakich dana osoba z pewnością zajmowała ten lub ów urząd. Naturalnie z różnych powodów wcisnęło się trochę błędów i niedokładności, ale zasada była dobrą i spis ten czasem da się ostatecznie poprawić. „Ateneum" już umieściło szereg sprostowań, my obecnie rozporządzamy liczbą ich znaczniejszą, ale i przez to nie wszystko daje się sprostować (1).

---

(1) *Sprostowania do „Senatorów" Wolffa, które nie weszły w dopełnienie, zamieszczone w Ateneum. Liczby, wyrażone tłustym drukiem, oznaczają stronice „Senatorów."*

24. Kniaź Aleksander Proński mian. starostą łuckim 8 gr. 1580 r. (Z. B. 26, 262).— **26**. Strawiński B. wdą mińskim 25 lutego 1631 r. (Z. 99, 464). — **30**. Gedrojć wdą mścisławskim 19 lipca 1617 (Z. 92, 101). — **32**. Siesicki M. z wojew. mińskiego postąpił na mścisławskie 19 kw. 1698 r. (Z. 149, 660). — **36**. Gasztold St. wdą nowogrodzkim 8 grudnia 1522 r. po śmierci Zabrzezińskiego marsz. ziem. (Z. 2, 119). — **57**. Sakowicz B. A. wdą trockim we wrześniu 1484 (Z. 25, 32). — **61**. Pociej wdą trockim 21 maja 1742 r. (Z. 173, 39). — **63**. Radziwiłł J. M. kaszt. trockim 1 kw. 1522 (S. 3, 12). — **69**. Masalski M. J. kaszt. trockim 21 maja 1742 (Z. 173, 40). — **73**. Hornostaj J. sprawcą wdztwa wileńskiego przed 9 maja 1549 (S. 22, 1). — **73**. Radziwiłł M. J. wdą wil. 11 czerwca 1551 (S. 27, 43). — **73**. Wołowicz sprawcą wdztwa wil. 1 lipca 1565 r. (S. 48, 153). — **74**. Sapiecha L. wdą wil. 6 lutego 1623 (Z. 92, d. 106).—**80**. Radziwiłł Janusz kaszt. wil. 1 czerw. 1620 (Z. 93, 337). — **88**. Pociej L. wdą witeb. 24 paźd. 1686 (Z. 143). — **101**. Sadowski M. kaszt. brzeski 20 lutego 1698 (Z. 149, 30). — **110**. Strawiński mian. kaszt. witeb.

P. Boniecki zna wydawnictwo p. Wolffa, lecz nie trzyma się przyjętéj przezeń zasady. Daty piastowania urzędów zaznacza tylko jedynie, jakie znalazł sam w aktach i nie robi żadnych przypuszczeń co do chwili objęcia lub opuszczenia urzędu. Z „Senatorów“ Wolffa p. B. korzysta dla sprostowania dat i omyłek znalezionych w sumariuszu. Sprostowania te, jak zobaczymy niżéj nie zawsze są szczęśliwe, gdyż świadectwo Wolffa bywało błędném. Zdaniem naszém niekoniecznie należało trzymać się téj zasady. Mając tak obszerny materyał, p. B. mógł sprawdzić daty Wolffa i tam tylko podawać swoje, gdzie się one nie zgadzały z nim. P. B. obejmuje znacznie większy zakres dygnitarzy, niż Wolff, gdyż podaje spis dygnitarzy duchownych łacińskich i greckich, jak: Arcybiskupi, Biskupi, Archimandryci, Metropolici i Władycy. Oprócz tego p. B. podaje spis urzędnikków ziemskich i powiatowych, których pan Wolff wykluczył zupełnie ze swego wydawnictwa. W ten więc sposób mamy obecnie spis nader ciekawy, a skądinąd praktycznie bardzo potrzebny, takich urzędników, jak to: chorążowie powiatowi, ciwuowie, hajewnicy, horodniczowie, klucznicy, koniuszowie, leśniczowie, mostowniczowie, pisarze grodzcy i ziemscy, podkomorzowie, podsędkowie, podstarościowie, sędziowie grodcy i ziemscy, starostowie, namiestnicy, dzierżawcy, wojscy. W spisie tym nazwani tylko ci urzędnicy, którzy zostali objęci pocztem rodów i daty podane tylko te jakie autor sam znalazł. Spis niektórych urzędników autor przedłuża po za połowę wieku XVI. Do tego okresu ze-

---

22 maja 1592 (Z. 76, d. 293).—**110**. Sapiecha A. P. kaszt. mińskim 29 maja 1592 (Ibid.),— **154**. Radziwiłł J. M. hetmanem polnym 20 maja 1531 (Z. 17, 63). — **156**. Gosiewski hetmanem polnym 18 czerwca 1654 (Z. 128, 489). — **164**. Wołowicz Hier. złożył urząd podkanclerzego 22 lutego 1619 r. (Z. 94, 50). — **182**. Mniszek J. marsz. nadw. 7 lipca 1706 (Z. 154 p. 187).— **208**. Styrnel cześnik występuje pod rokiem 1490 (Lustr. B. 28, 16).— **218**. Wice-instygatorowie: Mikołaj Gołembiowski w r. 1618 (Z. 95, 71) i w r. 1623 grudnia 4 (Z. 120, 558); Fr. Bobiński mian. po postąpieniu Rukiewicza na instygatorstwo 26 kwietnia 1710 (Z. 154, 301). — **219**. Rukiewicz instygatorem w r. 1710 (z nom. Bobińskiego na wice-instyg). — **219**. Zembrzycki: Jan z Zembrzyc Zembrzycki wspomniany z tytułem instyg. 5 kw. 1672 r. (Z. 120, d. 88). — **219**. Witakowski Kaź. mianowany instygatorem post fata Kurowicza 17 stycznia 1693 roku (Z. 146, 605), chociaż w czerwcu 1692 r. po śmierci Kurowicza otrzymał nominacyą Romanowicz (Z. 146, 447).—**239**. Dönhoff St. mian. łowczym 25 wrz. 1697 r. (Z. 149, 6). — **252**. Petrus de Boleslauia Alexandri alias Wytowdi notarius występuje w r. 1399 (Perg. dok. Metryki N. 252).—**270**. Pielgrzymowski El. mian. pisarzem 26 paźdź. 1586 r. (Z. 74, d. 200). — **274**. Pac K. M. rezygnował z pisarstwa 7 marca 1710 r. (Z. 151, 63). — **286**. Sapieha M. J. mian. pisarzem polnym 25 lipca 1698 (Z. 146, 419). — **291**. Dorohostajski K. M. podczaszym 29 maja 1592 roku (Z. 76, 299). — **298**. Czetwertyński mian. podkoniuszym 30 stycznia 1699 roku (Z. 149, 705).—**299**. Wiażewicz podkoniuszym 28 czerw. 1760 (Z. 181, 756).—**310**. Kołłątaj H. referendarzem 18 maja 1787 (Pub. 34, 65).

braliśmy luźnie nieco notat z akt Metryki i one zmieniają trochę lub uzupełniają daty p. Bonieckiego.

Biskup łucki Jerzy Falczewski: został nominatem w r. 1536, a w marcu tegoż roku był biskupem łuckim Paweł (patrz niżéj pod Chwalczewscy). Jan Andruszewicz biskup łucki, znany p. B. z Encyklopedyi, występuje w aktach Metryki 8 sierpnia 1556 roku (Z. 35, 274).

Archimandryci: pieczerscy: Antoni mianowany w roku 1524 (Z. 12, 153); Iłarion Piasoczyński w r. 1551 (Z. 35, 22); ławryszowscy: 20 marca 1524 roku arch. ławr. Oleksiéj otrzymał przywiléj na archimandryą św. Trójcy w Wilnie po śmierci arch. Tichna (Z. 12, 150), Aleksiej Michajłowicz jest u p. B. na swojém miejscu, pod dniem 1 grudnia 1546 r. występuje przed królem arch. ławr. Ofanasej Kurka (Z. 31, 12).

Ciwunowie: merecki: Ołechno Chodorowicz wspomniany w dokumencie z dnia 6 października 1530 (Z. 17, 38); pojurski: Mikołaj Pietkowicz wspomniany 14 sierpnia 1530 r. (Ib. 3).

Cześnik Styrnel, nieznany i p. Wolffowi występuje w dokumencie z 1490 (Lustr. B. 27, 16).

Kasztelanowie: miński: A. Sapieha mian. 29 maja 1592 r. (Z. 76, 292); witebski: Strawiński 22 maja 1592 r. (Ib. 293)—p. Wolff ma mylną datę.

Obruśnych p. B. zna dwóch Waśkę Zienowjewicza i Jermołę Andrejewicza. Obrusnych jednocześnie było wielu i jak inni służkowie, mieli swą ziemię obrusną we włości grodzieńskiéj. W tych że latach spotykaliśmy obrusnych: Stepana Waśkowicza 8 sierpnia 1559 r. (Z. 42, 21); tegoż roku pod dniem 1 kwietnia wymienieni Jan Waskowicz Gołek (Ib. 36), Waśko Zenkowicz i Mikołaj Karpowicz (Ib. 37), Łukasz Hostiłowicz (Ib. 38) i inni.

Pisarz Witołda Petrus de Boleslauia otrzymał 18 listopada 1399 r. od Władysława Jagiełły 300 grzywien na pewnych wsiach w Sandomierskiém (Metr. X 252) (1). Pielgrzymowski E. mian. pisarzem 26 października 1586 r. (Z. 74, 200), a nie lutego, jak ma Wolff.

Podkomorzym bielskim 16 sierpnia 1549 r. był starosta kowelski Aleksander Łaszcz (Z. 32, 88).

Jako *sędzia piński* występuje w r. 1548 Semen Domanowicz, (Z. 32, 39) nieznany p. B.

Starostowie: brzeski—zam. Jan Bujanowicz Niemirowicz powinno być Jakób Janowicz Niemirowicz;

---

(1) Por. Opisanje Lit. Metryki str. 244.

brański i surażski namiestnik Tomasz Owsiany spotyka się już w roku 1548 (Z. 32, 17).

drohicki—Iwan Bohowityn był już starostą 3 sierpnia 1541 r. (Z. 28, 80).

dziśnieński Jurij Zenowicz otrzymał stwo 5 września 1576 roku (Z. 58, 18).

haliczański i krasnosielski namiestnik królowéj Bony Wasilej Junkiewicz opuszczony zupełnie, spotyka się w r. 1549 (Z. 32, 45).

jurborgski nam. królowéj Bony Stanisław bez nazwiska występuje w roku 1530 (Z. 17, 31).

klecki, *piński i grodecki* starosta Piotr Mylski jest już na tych urzędach 16 lipca 1548 roku (Z. 32, 10).

kowelski starosta i podkomorzy bielski Aleksander Łaszcz znany jest 16 sierpnia 1549 roku (Z. 32, 88). Mylnie u p. B. w odsyłaczu nazwany kowieńskim.

knyszyńskim dzierżawcą Piotr Chwalczewski był już 13 marca 1553 r. (Z. 35, 116).

łuckim starostą kn. Aleksander Proński mian. 8 grudnia 1580 r. (Z. kor. 26, 262).

przełajski nam. Lewon występuje 4 października 1530 roku (Z. 17, 31), zapewne jest to znany p. B. Lew Dymitrjewicz z r. 1537.

Wojewodą trockim Andrzej Sakowicz mianowany we wrześniu 1484 (Z. 25, 32); p. B. daty nie podaje, a u p. Wolffa jest mylną.

Wojewodą wileńskim Mikołaj Radziwiłł mianowany 11 czerwca 1551 r. (S. 27, 43).

* * *

Podając w części głównéj dzieła swego spis rodów litewskich w porządku alfabetycznym, p. Boniecki przy każdém nazwisku poszczególném ułożył w porządku chronologicznym wszystkie wiadomości, tyczące się omawianéj rodziny, jakie znalazł w sumaryuszu. P. B. uznaje te fakta tylko, które stwierdzone zostały przez akt urzędowy. Nie ma więc tu miejsca przeróżnym tradycyjnym fantazyom, wyprowadzającym pochodzenie rodów, nie zawsze znakomitych, od znakomitych protoplastów. P. B. nie doposzcza w swém dziele nawet różnych kombinacyi historyczno-genealogicznych, które nieraz mają pewną zasadę. Jako przykład weźmiemy rodowody Czartoryskich i Sanguszków. Mówiąc o protoplaście Czartoryskich Wasilu, p. B. dodaje: czyim był synem nie wiadomo, jak również dotychczas nie wyjaśniono, czy od książąt ruskich, czy od litewskich wiodą swój ród, i powątpiewa o możebności wyprowadzenia tego rodu od Konstantego Olgierdowicza, co stara się dowieść p. Wolff (Ród Gedymina, str. 95). Faktem niezbitym jest tylko to, że

protoplastą rodu tego jest kniaź Wasil, żyjący na początku wieku XV; na to mamy dokument, a czy był on synem Konstantego Olgierdowicza na to dokumentu nie ma. Tak samo rzecz ma się z Sanguszkami. Znanym protoplastą rodziny tej jest kniaź Sanguszko, który trzymał w pierwszéj połowie wieku XV Ratno. Od niego p. B. rozpoczyna rodowód i przodków Sanguszki nie poszukuje. Jednocześnie prawie p. Wolff (*l. c.* 116) podaje szereg dowodów, które mają stwierdzić fakt, że Sanguszko był synem Fedora Ratneńskiego, a wnukiem Olgierda, i obala pochodzenie Sanguszków od Lubarta. Zaznaczamy tu fakty te, które świadczą o niezwykłéj ostrożności autora naszego i zaznajamiają z metodą jego. Obiecawszy, w tytule dzieła, dać poczet rodów na Litwie, p. B. w rzeczywistości daje więcéj, niż obiecał. W dziele jego znajdziemy najprzód nazwiska takich osób, których rodu p. B. nie zna, i powtóre wylicza takie osoby, które na Litwie nie osiadały, były tam chwilowo. Przykłady możemy znaleźć tuż na pierwszych kartach; np. 4—6: Babiński, Bachta, Marcinowicz, Bejnarowicz, Berdowski, Bernat, Berwenców Bezski, Biały—wszystko to są osoby pojedyncze o rodach ich autor nic nam nie mówi i my nawet nie wiemy, czy sformowali oni osobne rodziny. Z osób chwilowy mających pobyt na Litwie wskażemy więźniów moskiewskich, jak—Czeladin, Golicyn, Kisielew, Kitajew; albo nazwiska Gwagnin, Hosza v. Hozjusz i w. innych.

W dziele p. B. akta Metryki nie zostały wyczerpane zupełnie nawet do połowy wieku XVI. Najprzód dla tego, że zapewne, nie wszystkie księgi za ten czas są w Warszawie, a powtóre, może i dla tego, że sumaryusz nie objął wszystkich ksiąg warszawskich. Księgi objęte sumaryuszem o ile udało się nam sprawdzić wyczerpane są przez p. B. dostatecznie. Myśmy mieli pod ręką oryginalne akta metryki i, notując w chwilach wolnych ciekawsze fakta, zebraliśmy nieco ciekawych dat. Z oznajomienia się z samemi księgami możemy twierdzić śmiało, że dadzą one wiele jeszcze nowych rzeczy nawet dla pierwszéj połowy wieku XVI. Jako próbkę tego, co można jeszcze zrobić, podamy tu nasze notatki o trzech rodzinach — Chwalczewskich, Tryznach i Unichowskich, ograniczając je okresem założonym przez p. B. i tylko w razach wyjątkowych nieco wychodząc z niego.

Chwalczewscy. Losy rodziny téj obchodzą nas bliżéj ze względu na osobę autora kroniki. Dotąd mamy o niéj tylko urywkowe daty, i słusznie twierdzi autor ostatniéj pracy o Chwalczewskim, p. Schirmer, że nie mamy żadnéj rozprawy, którаby nam podała dokładne wiadomości o życiu S. Chwalczewskiego. Herbarze zawie-

rają bardzo mało szczegółów o życiu jego, a inne źródła bądź są nieprzystępne (jakie?), bądź nie mieszczą w sobie dostatecznych wzmianek, na podstawie których moglibyśmy skreślić dokładny jego życiorys" (1). Oczywiście do wynalezienia tych dat wypadało zrobić poszukiwania, a do tego poszukiwania umiejętnie pokierowane. P. Sch. nie miał na celu robienie nowych badań i zadowolnił się na zestawieniu, znanych szczegółów, nie zawsze poddając je krytyce naukowéj. Rodzina Chwalczewskich nie litewska, nie na Litwie więc mamy szukać jéj dziejów. Z woli, prawdopodobnie, Bony bracia Jerzy, Piotr, Franciszek i Stanisław przedostali się na Wołyń, Podlasie a przez to zostawili ślady pobytu tam swego w aktach Metryki. P. Boniecki ma daty pewniejsze niż p. Schirmer, że zaś nasze notaty powiększają nieco wiadomości o braciach, podajemy je tu w sposób sumaryjny.

Jerzy. P. Boniecki zgodnie z p. Sch. twierdzi, że był on od r. 1535 biskupem łuckim. W aktach metryki nominacyi nie spotkaliśmy, mamy jednak takie daty. W dokumencie z dnia 8 marca 1536 r. występuje służebnik Pawła biskupa łuckiego (Z. 19, 89). Pod dniem 1 czerwca 1536 roku Jerzy Chw. występuje z tytułem „olekt" (elekt-nominat) łucki (Ib. 153). Datę śmierci biskupa p. Sch. oznacza na rok 1544, a p. Boniecki na rok 1547. Na dniu 26 kwietnia 1548 roku biskup był osobiście w Wilnie (Z. 31, 183), a 15 lutego 1549 roku w Krakowie (Ib. 246). Dopiero 15 października 1549 bracia Stanisław, Piotr i Franciszek pozywają kapitułę łucką o zatrzymanie spadku po bracie (S. 22, 222 i 224). Więc przedłużmy biskupowi żywota do roku 1549, a osoby interesowane odeślijmy do akt kapituły łuckiéj.

Piotr. Pierwszy raz spotkaliśmy go na Litwie z tytułem dworzanina Bony 29 grudnia 1548 r. (Z. 32, 45), jeszcze w roku następnym nie piastował urzędu żadnego (S. 22, 222). Dnia 13 marca 1553 r. jemu jako dzierżawcy knyszyńskiemu i sprawcy zamków i dworów w. ks. Lit. Bona poleca oddać włókę ziemi w Kownie na cerkiew ruską (Z. 35, 116). Z temiż tytułami występuje 8 sierpnia 1559 r. (Z. 42, 21); 13 gr. 1560 (Ib. 67). Pod dniem 22 sierpnia 1562 r. jest on na Litwie i ma tytuł sprawcy pożytków w zamkach i dworach w. ks. Lit. dzierżawcy knyszyńskiego i zabielskiego (Ib. 35, 249).

Franciszek—trzeci brat a wspomniany tylko przez p. p. Bonieckiego i Schirmera, zażył także z łaski Bony chleba publicznego: 22 stycznia 1555 złożył on przysięgę na starostwo kowelskie (Z. 36, 35); spotkaliśmy go raz jeszcze 1 marca 1558 r. (Z. 43, 40).

---

(1) Przewodnik Naukowy 1886 zesz. 2 str. 152 ust.

Stanisław, autor kroniki, najwięcéj obchodzić nas może, nie mamy jednak o nim dokładnych szczegółów. Kilka uwag musimy wszakże zrobić z powodu p. Schirmera. „Stanisław, według p. Sch., około r. 1539 został starostą krzemienieckim, i był nim prawdopodobnie aż do r. 1550. W tym roku występuje Feliks Hercyk jako starosta krzemieniecki“. Otóż data ustąpienia ze starostwa jest stanowczo nieprawdopodobną. Szczęsny Hercyk pełnił urząd starosty krzemienieckiego już 16 lipca 1548 roku (Z. 32, 5), a w grudniu tegoż roku był nim Iwan Bohuszewicz Bohowityn (Z. 32, 34). Data ta zgadza się zupełnie z przywilejem Bony z d. 29 czerwca 1548 roku (Z. 32, 4), gdzie Stanisław nazwany tylko starostą kobryńskim. Zdaje się, że rok 1548 będzie najpodobniejszą datą postąpienia St. Chw. z Krzemieńca do Kobrynia. 17 grudnia 1549 r. Stanisław w liście Bony nazwany starostą kobryńskim i dzierżawcą sieleckim (Z. 33, 6). Dnia 15 lutego 1552 roku jako starosta kobryński złożył przysięgę do zamków w Pińsku, Klecku i Gródku (Z. 33, 99). Ostatnią wzmiankę o Stanisławie w Metryce spotkaliśmy pod d. 2 sierpnia 1554 roku, gdzie jest nazwany starostą kobryńskim, pińskim, kleckim i grodeckim (Z. 36, 7). P. Boniecki podaje i inne daty, tyczące się Stanisława. Niezawodnie gruntowniejsze badania dałyby więcéj dat ciekawych, nam chodziło głównie o wskazanie możebności poszukiwań dalszych. Na zakończenie dodamy, że nazwisko téj rodziny w aktach łacińsko-polskich występuje w formie Chwalczewski, forma Falczewski jest stałą w aktach ruskich.

Tryznowie bardzo rozrodzona rodzina i już w połowie wieku XVI senatorska. P. B. zna tylko Wasila Karpowicza (1523—1525) i syna jego Ofanasa (1525). Już z „Senatorów“ p. Wolffa wiemy, że pierwszym k-lanem podlaskim od r. był 1566 Hrehory Józefowicz Tryzna, który po utworzeniu kasztelanii smoleńskiéj w r. 1569 został k-lanem smol. i umarł aż 1571 roku. Ten Hrehory miał 3 córki: jedną Aleksandrę wydał za mąż Dymitra Sapiehę, zwanego „rewizorem“ od rewizyi na Podlasiu (S. 68, 288). Z czterech synów ciekawą jest osobistością Jan. Posiadał on we wrześniu 1567 roku pięknie oprawny egzemplarz „Wizerunku“ Reja wydania 1560 roku i pilnie go czytał, robiąc niekiedy swoje uwagi po polsku i po rusku. Natępnie w roku 1574 książka ta przeszła na własność Adama Chreptowicza, a przez Nieswież dostała się do Akademii Nauk w Petersburgu. Według tego egzemplarza prowadziliśmy nasze wydanie. Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu posiada ciekawą zapiskę genealogiczną o rodzinie Tryznów z w. XVII, umieszczoną w ruskim rękopisie z powieściami z wieku XVI, o którym „Ateneum“ dało sprawozdanie

w zesz. z Maja r. 1887. Według téj zapiski dziad k-lana podlaskiego miał trzech synów: Wasila, Jesifa i Zacharyę i córkę Oksanę (1). Bracia Karpowicze w Metryce spotykają się nieraz. Z jednego aktu dowiadujemy się, że jeden z braci, Wasil, umarł w r. 1536 i synowie jego pozywają bojarzyna hospodarskiego Zarankowicza w r. 1538 o spłacenie długu, zaciągniętego u ich ojca (S. 9, 30). Rodzina ta w końcu wieku XVI miała stosunki z kanclerzem Lwem Sapiehą, który w roku 1599 dał konsens na ustąpienie sioła Bula, do starostwa słonimskiego należącego, synowi k-lana podlaskiego Hrehoremu Tryznie, podkomorzemu słonimskiemu, żonatemu z Rainą Sapieżanką, córką Bohdana Sapiehy, woj. mińskiego (Z. 85, 17). W późniejszych czasach stosunki Tryznów z Sapiehami coraz się zwiększają. Trzeci syn starego Tryzny, Zacharya, miał córkę Katarzynę, którą 15 stycznia 1548 roku wydał za Pawła Jakubowicza Uniechowskiego.

Uniechowscy całkiém nieznana p. Bonieckiemu rodzina, gdyż w połowie pierwszéj wieku XVI-go w aktach Metryki nie zjawia

---

(1) W poznańskim rękopisie ruskim na karcie 333—6 ręką wieku XVII-go zapisano:

Urodzenie panów Tryznów. Stary Tryzna miał synów trzech: Wasila, Jesifa, Zacharję, a czwartą córkę Oksanę.

Z Wasila urodziło się synów cztyrech: Ofanas, Iwan, Wasilej, Andrzej, a dziewek dwie: Maryna i Nastazya. Z pierwszego syna *Ofanasa* urodziło się synów dwóch: Andrzej i Józef; dziewek cztyry: Hanna, Nastazya, Fedora, N. *Andrzej* Tryzna miał synów trzech, a dziewek trzy. Józef bezpotomnie zszedł, a starsza córka Hanna była za Iwanem Kołłontajem, spłodziła syna Adama małego; druga córka Nastazya za Filipem Szymkowiczem, spłodziła dziewek dwie: Bogdanę i Halszkę; Bogdana była za panem *Sapiehą*, Halszka za panem Naruszewiczem; a potym matka ich była za panem Janem Zawiszą, spłodziła córkę, była za kniaziem *Kowelskim*; czwarta (?) była za Fryderykiem Horainem, córkę miała Jewę, która była za Pauszą, miała syna jednego, a córek; *Iwan* i *Wasilej* bezpotomnie zeszli.

Andrzej Koroszczyc Tryzna miał synów trzech: Hrehory, Iwan, Fedor, a córek sześć.

Córek dwie Wasilowych — *Maryna* była *za Gniewoszem*, spłodziła syna Hrehora, był podsędkiem wołodymierskim, a córek miała trzy: Fedorę, Marynę i Hannę........ (opuszczamy dalszy rodowód), a druga córka Wasilowa *Nastazya* była za Pociejem Jelcem (?), spłodziła synów dwóch: Łukasza i Wasila, a córek cztery: Marynę, Hannę, Helenę, Rainę..... (dalszych pomijamy).

Z *Józefa* Tryzmy syn Hrehory, który był kasztelanem smoleńskim, a córka jedna była za Lewiaczem (?) Żyzemskim, potym była za panem Janem Olendskim. Ten Hrehory Tryzna miał synów cztyrech: Jana, Hryhora, Piotra i Fedora. Fedor bezpotomnie umarł; a córek cztyry: jedna była za *Dmitrem Sapiehą*, druga była za Onikiejem Korsakiem, trzecia była za Fedorem Wahanowskim, ta bezpotomnie zmarła.

Trzeci syn starego Tryzny *Zacharja* ten po sobie zostawił synów dwóch Andrzeja i Michała. Michał bezpotomnie zmarł; córek cztyry: Bohdanę, Marynę, Katarzynę i Hannę. Andrzej Tryzna zostawił po sobie syna Aleksandra, a córkę Jewę i Bohdanę. Bohdana była z Horajnem spłodziła dzieci nie mało, pomarli, tylko został syn Jan; córka Maryna była za Iwanem Bohuszewiczem, sędzim witebskim, ta bezpotomnie zmarła; *Katarzyna* była za *Pawłem Jakowowiczem Uniechowskim*, ta po sobie zostawiła synów siedmiu, córek sześć; Hanna była za Siemienem Hłuszaninem, spłodziła syna Andrzeja, a córek trzy.

się zgoła. Musiał to być bardzo ród cichy. 28-go kwietnia 1590 roku ziemianin nowogrodzki, Hrehory Uniechowski, uzyskał przywiléj zwalniający od ciężarów ziemskich dom jego w Nowogródku (Z. 76, d. 165). 11 marca 1595 roku temuż Hrehoremu tatarka nowogrodzka carewiczowa Ostryńska zapisała wieś Kohyłczewską (ib. 629). Oto i wszystko co spotkaliśmy w Metryce o Uniechowskich z w. XVI. Ten to Hrehory był synem Katarzyny Tryznianki i w końcu wieku XVI właścicielem poznańskiego rękopisu powieści ruskich i pozostawił własnoręczną zapiskę rodową od czasu ożenienia się ojca jego (1548) aż do roku 1599, pisaną prawie jednym ciągiem. Umarł w roku 1606. Sam Hrehory nie kopiował całego rękopisu, który pisany jest ręką, napotykającą się nieraz w księgach Metryki Litewskiéj, skopiowanych za kanclerstwa Lwa Sapiehy. Nam się zdaje, że rękopis ten skopiowany został w kancelaryi Sapiehy, potém dostał się do koligatów sapieżyńskich Tryznów (np. Jana, co to pisał i po rusku i po polsku) a przez nich do Uniechowskich (1).

* * *

---

(1) Na str. 341 ruskiego rękopismu biblioteki Raczyńskich znajdujemy następną notatkę, pisaną charakterem ruskim:

Roku 1548 meseca henwara 15 dnia oženilsie pan otiec moj, a w tot czas jemu bylo ot urožen|a jeho let 33, a pani matuchnie mojej było ot porožen|a let 16, była doczka pana Zacharja Tryzny, imieniem Kataryna. *Rožen|e dietiej ich.* Roku 1549 mca henwara 8 dnia wo wtorok pieriedo dniem rodiłsia *ja Hrehorej.* Roku 1550 henwara 30 dnia rodiłsia syn *Wasilej*, a osmoho roku ot urožen|a swojeho umier. Roku 1554 fewrala 13 dnia w poniedielok rodiłsia *Fedor*, umier roku 1571. Roku 1556 oktebra 19 dnia rodilisie bliźniata Aleksandra i Zofieja. Roku 1558 awhusta 3 dnia rodiłasia doczka Owdotja, umierła w druhom roku. Michał rodiłsia roku 1560 aprieła 3 dnia w poniedielok. Oženilsie roku 89. R. 1561 awhusta 8 dnia w subotu urodiłsie *Iwan*, umier roku 85 aprieła 30 dnia. Roku 1564 diekabra 10 dnia urodiłsie *Jarosz*, a oženilsie był roku 1598 na miesopusty wielikie s Hannoju Szemietownoju, umier tohož roku pieried wielikodniem. Roku 1566 fewrala 14 dnia urodiłsia *Bohdan*, inaczej nazwanyj *Janusz*; oženilsie roku 1599 mca henwara 7 dnia. Roku 1567 marca 26 dnia rodiłasia Hanna, roku niedoždawszy umierła. Roku 1568 nojabria 11 dnia urodiłasia Nastasja; była dana za muž za Jana Bykowskoho, nazywajemoho Mordasowicza; umierła. Roku 1570 henwara 5 dnia urodiłsie syn Iwan i umier. Roku 71 fewrala 1 dnia urodilisie bliźniata doczka Hanna, a druhaja miertwaja, i s toho rožen|a sama dołh smierti zapłatiła toho roku zwyszpisanoho 1571 mca fewrala 10 dnia. Pan otiec moj, pan Pawieł Jakowlewicz Uniechowskij zapłatił dołh smierti roku 1593 mca diekabra 26 dnia. Miał wieku swojeho ot urožen|a let siemdiesiat diewiet' biez kolku niedieł, bo sie sminit leto 79 let henwara 15 dnia. W 94 pohrieb tieła henwara 23 dnia. Roku 1595 miesieca diekabra 22 dnia pod Mohilewem pan Onikiej Uniechowskij zabit od wojska Naliwajkowoho. Pohriebieno tieło w Uniechowie roku 1596 henwara 23. Rožen|e moje Hrihorja Pawłowicza Uniechowskoho roku 1549 henwara 8 dnia, a oženiłem sie roku 1571, było wesele na dień siemoje suboty (dopis u góry: w poniedielok pierwyj semoj subotie) panieju Zofieju Michajłownoju Ulatowskoju, kotoraja była za panom Karpom Tiszkowiczom.

Na tém się kończą notatki Hrehorego Uniechowskiego, oczywiście pisał je po roku 1599, poczém inną ręką dopisano także po rusku: Z woli i prezren|a pana boha wsiemohuszczoho pan otiec dobrodiej moj pan Hrehoryj Pawłowicz Uniechowskij zapłatił dołh smierti roku 1606 mca aprieła 1 dnia ził na tom swietie mizernym ot urožen|a swojeh let 57 i niedieł osm. Daléj następuje notatka polska z wieku XVII.

Poznawszy bliżéj dzieło p. Bonieckiego i zaznaczywszy w niém braki niektóre, wynikłe przeważnie z powodu niemożności korzystania z ksiąg oryginalnych Metryki Litewskiéj (mianowicie niezupełny spis rodów nawet w okresie do połowy w. XVI, nieścisłość w wielu razach dat chronologicznych i niektóre w nich błędy), musimy przyznać téj pracy pomnikowéj zalety niewątpliwe. P. Bon. pierwszy na skalę tak szeroką odważył się podjąć i wykonał pracę genealogiczną, opartą na materyale źródłowym. Do pracy swéj użył źródła najpewniejszego, które, jeżeli i było użytkowane, to tylko dorywczo, a dotąd nie było tak wszechstronnie wyzyskaném dla celów genealogicznych. Nie dając się uwodzić różnym opowieściom z czasów późniejszych, w dziele swém autor nasz podawał te tylko fakta, które zostały stwierdzone przez współczesny akt prawny. W układzie dziejów poszczególnych rodów p. B. trzymał się porządku linii genealogicznych, przez co uniknął pogmatwania i dał czytelnikowi możność łatwiejszą oryentowania się; przytém korzystnemi są wielce tablice genealogiczne rodów więcéj rozgałęzionych.

Takie obrobienie materyału genealogicznego powinno posłużyć za podstawę i wzór dla dalszych wydawnictw o tymże charakterze. Obecnie źródłowe opracowania dziejów rodów pojedyńczych powinny stanąć na miejscu przeróżnych bałamutnych wydawnictw heraldycznych. Dzieje poszczególnych rodów składają część integralną dziejów wewnętrznych całego narodu, muszą więc być traktowane jako przedmiot ściśle naukowy. Szczerze przyklaskujemy dziełu p. Bonieckiego, a zarazem życzymy, aby ci, którzy mają materyał zebrany w tymże zakresie (a tacy są), idąc w ślady naszego autora, pośpieszyli z wydaniem, które byłoby dalszym ciągiem „Pocztu Rodów.“ Potomkowie zaś rodów zasłużonych ojczyźnie, co pracują nad dziejami przodków swoich (a i o takich wiemy), niech zadowolnią się materyałem źródłowym i przystąpią do ogłoszenia archiwalnych aktów współczesnych, tyczących ich rodu i wydania monografii, opartych na tych aktach. *Mutatis mutandis* może służyć za wzór „Archiwum Sławuckie“ Sanguszków i „Pacowie“ Wolffa. Z czasem znajdzie się nowy Korzon, co opowie nam dzieje stosunków wewnętrznych całéj Litwy, oparte na tych źródłowych wydawnictwach.

St. Ptaszycki.

Petersburg, w grudniu 1887.



LIST SŁOWEŃCA.

Czytając w „Ateneum“ listy czeskie, pisane przez d-ra W. Gablera, uczuwa się gorącą sympatyą dla narodu czeskiego, który nie szczędzi żadnych ofiar dla zabezpieczenia swego bytu narodowego, dla swego wszechstronnego rozwoju. Czechom nie brak dobrych przywódców — nie są też bez sojuszników. Skutkiem podróży Słoweńców do Pragi r. 1885, i potém Czechów do Lublany roku zeszłego, powstał ścisły związek pomiędzy Czechami a Słoweńcami, powitany z obu stron radośnie. Owocem tegoż sojuszu jest także nowo założone towarzystwo czesko-słoweńskie (*Spolek česko slovinský*) w Pradze. Czego będzie można takiemi środkami dokazać, tego dziś przewidziéć jeszcze nie można. Dla dostatecznego poznania rzeczy, trzeba przedewszystkiém poznajomić się dobrze z sojusznikami samemi, z ich charakterem, stanem politycznym, socyalnym a narodowym, a ponieważ dr. Gabler dał nam co do Czechów w tym względzie informacyę zupełną postanowiłem podać w liście niniejszym wiadomość o rodakach moich, Słoweńcach.

Słoweńcy—plemię słowiańskie zaciśnione najwięcéj na zachód, w liczbie około 1,374,000 głów, mieszkają aż w 6-ciu krajach, mianowicie w Styryi, Karyntyi, Krainie, Przymorzu (Küstenland), Włoszech (t. zw. Rezyane) i Węgrzech (Przekmurcy). Jaką może być skutkiem takiego rozproszenia solidarność i wzajemność między nimi łatwo się domyśléć. Zwłaszcza Rezyanie we Włoszech a Przekmurcy w Węgrzech nie mają żadnych stosunków z główną masą naszego narodu; z téj też przyczyny już od wyżéj wskazanéj liczby Słoweńców przeszło 100 tysięcy potrącić wypada. Mamy więc przed sobą widok nie wiele obiecujący. Lecz nie dosyć tego! Słoweńcy w Styryi, połączeni z Niemcami w sejmie krajowym w Gracu, znajdują się ciągle w mniejszości; Słoweńcy w Przymorzu, wysyłający

posłów na sejm do Gorycyi, są w podobném położeniu, a Słoweńcy w Karyntyi, po śmierci swego przywódcy, Jędrzeja Einspielera, na sejmie celowieckim ani jednego nawet swego posła nie mają. W szczęśliwszém położeniu znajdują się jedynie Kraińcy, którzy mają na swym sejmie krajowym w Lublanie—mieście zwaném stolicą słoweńską—więcéj posłów słoweńskich aniżeli niemieckich; przywłaszczają téż sobie prawo kierownictwa usiłowaniami i działalnością Słoweńców i w innych krajach.

Pomimo tak smutnego położenia, zdołano jednak wielu rzeczy dokazać. Szczęściem dla narodu słoweńskiego było, że miał za pierwszego przywódcę swego męża pod każdym względem jakby na ten cel przeznaczonego. „Ojciec Słoweńców“—dr. Jan Bleiweis, zmarły w 1881 r., którego lud jeszcze teraz zapomnieć nie może, był rzeczywiście ojcem całéj rodziny słoweńskiéj: trzeźwy, dobrego serca, bez namiętności a niewłaściwéj dumy, zdobył sobie wszystkich serca, wszystkich zaufanie. W pierwszém słow. czasopiśmie „Novice“, które założył r. 1843, zjednoczył z samego początku wszystkie wówczas żyjące siły literackie, nie robiąc różnicy między Styryjczykiem a Kraińcem, między Przymorzaninem lub Karyntyjcem; wszyscy byli dlań jednako drogimi, wszyscy synami matki Sławii, czyli jak się wówczas wyrażano, matki „Słowenii“. Teraz jednak po śmierci jego, można czuć już wielką zmianę w życiu naszém socyalno-polityczném, a zmianę nie na korzyść narodu, lecz na pożytek jego wrogów. Zamiast jednego „ojca“ dostaliśmy wielu ojczymów, i to takich, którzy nie wiedzą sami czego chcą, nie zdolni podtrzymać dobrze karności narodowéj, lecz umieją natomiast wytwarzać różnice pomiędzy mieszkańcami tego lub owego kraju. Dla teraźniejszych przywódców narodu słoweńskiego tylko jeszcze Kraińczyk coś wart, wszyscy zaś mieszkańcy kresowi są dla nich niby jeno ciężarem, zawadą.

Chcecie dowodów? Dosyć ich daje nam np. już „Matyca Słoweńska“ w Lublanie. Założona 1867 r. głównie za podnietą patryotów styryjskich, których zgłosiło się zaraz jako założycieli z wkładką po 50 zł. wielka liczba, miała Matyca wiele już razy obowiązek okazać swą życzliwość względem Styryjczyków. Poczęła rzeczywiście wydawać publikacyą „Słoweńska Styrya“ (*Slovenski Štajar*), czyli opis kraju i ludu oraz jego gospodarstwa. Lecz z zamierzonych c z t e r e c h tomików wyszły dopiero d w a, mianowicie pierwszy i trzeci, tak iż dzieło to nie ma teraz prawie żadnego użytku. Styryjczycy zwracali wiele razy uwagę wydziału Matycy na niezupełność tego dzieła, lecz daremnie; Matyca wydała późniéj dopiero książkę p. tyt. „Notatki o duchowém życiu Słoweńców styryjskich“

przez d-ra Pajeka, lecz nie chciała wydać „Dziejów literatury Słoweńców styryjskich“, napisanych przez prof. Macuna, które musiał autor wydać wreszcie własnym nakładem. Podobnie jak z Matycą ma się rzecz i z całą działalnością literacką. Pisarze kraińscy, mający pretensyą do jakiegoś pierwszeństwa, zadają sobie coraz więcéj pracy nad „wykształceniem języka słoweńskiego“, czyli raczéj nad wprowadzaniem coraz nowych form i wyrazów, które potém nazywają „umiejętnymi“; a kiedy patryoci kresowi starają się o większe uwzględnienie mowy ludowéj w szkołach i urzędach, kiedy piszą o ile tylko można tak, jak to lud sam mówi, to nazywają ich za to krytycy lublańscy „šušmaremi“, psucicielami „języka słoweńskiego“, to jest tego, według ich metody przerobionego języka, którego urzędy nasze nie chcą uznać za słoweński, albowiem wszystko w nim rzeczywiście jest zmienione i różni się od prawdziwego języka ludowego słoweńskiego. Zarzuty owych filologów ściągają się nie tylko do słoweńskich autorów w Styryi—chociaż to najczęściéj się dzieje,—lecz i do pisarzy z Karyntyi i Przymorza; a z tego już można rozeznać, jaki może być potém rozkwit naszéj literatury! Dawniéj miało tylko każde dziesięciolecie swego gramatyka, obecnie zjawia się niemal każdego roku jeden nowy, tak, że pisownia języka naszego u tych „uczonych“ to prawdziwy chaos, w którym zwycięża ten, kto umié najgłośniéj krzyczéć i rzucać błotem na tych, którzy nie mają ochoty iść w jego ślady. Prawdziwy język ludowy bywa uwzględniany tylko w wydawnictwach stowarzyszenia św. Hermagora i tylko w tém leży przyczyna, że w roku bieżącym stowarzyszenie to liczy przeszło 40,000 członków.

Gdyby mi teraz zadano pytanie: jacy są obecnie przywódcy narodu słoweńskiego? — mógłbym powiedziéć, że nie mamy dzisiaj żadnego. Stanowisko owo chcą zaiste otrzymać p. Hribar, d-r Tawczar, d-r Wošnjak i inni, lecz formalnym przywódcą po śmierci d-ra Bleiweisa był mianowany Lukasz Svetec, notaryusz w Lityi, blisko Lublany. Ale wszystko to tylko *pro forma*, albowiem ani on, ani żaden inny nie jest w stanie wywierać na lud takiego wpływu, jaki miał niegdyś d r Bleiweis, a jaki wywierać każdy istotny przywódca udu powinien. Naród słoweński jest więc teraz niby trzoda owiec bez pasterza, wskutek czego mamy do zapisania tyle niepowodzeń w polityce słoweńskiéj, że trzeba zaprawdę dziwić się, że jeszcze nie utraciliśmy tego, co poprzednio zostało zyskane. Ale prawda, utraciliśmy już progimnazyum w Kraniu (miasto to leży w Krainie), co wywołało przeciw ministrowi oświecenia p. Gautschowi wiele hałasu, chociaż bez najmniejszéj dlań szkody; wié on

o tém zbyt dobrze, a groźne okrzyki krytyków lublańskich nie nabawią go bezsenności. Tracimy dalej coraz więcéj ziemi na kresach, albowiem przy takim położeniu rzeczy, kiedy nie ma żadnéj pomocy, ba, żadnego patryotycznego natchnienia z Lublany, patryoci kresowi nie mogą, ba nawet nie wiedzą dla czego wystawiać na plac boju swoje osoby, swoję majętność, swe usiłowania i t. d., kiedy muszą nieraz w czasopismach słoweńskich czytać, że są — z powodu posługiwania się w piśmie językiem ludowym — wcale niepotrzebnymi na świecie!

Jest w tém coś chorobliwego i dziwić się trzeba, jak mogło wogóle przyjść do tego. Powie kto może, iż się mylę. Chciałbym rzeczywiście, żeby tak było, lecz *facta loquuntur*. Owóż ja, piszący teraz te słowa, byłem i jestem przekonany o lepszéj przyszłości narodu słoweńskiego i jego praw narodowych. Pełen ideałów, nie znałem większéj ofiary po nad ofiarę za swoję ojczyznę i swój lud. Wpajałem często te ideały i innym, a rzeczywistość dzisiejsza zadaje tym ideałom kłamstwo. Zamiast ideałów można teraz tu spostrzedz tylko samochwalstwo i zarozumiałość, do tego stopnia posuniętą, że nikogo sobie równego nie może znosić obok siebie; zamiast ofiarności dostrzega się tylko uganianie za chlebem; zamiast miłości braterskiéj, tylko kilka frazesów o solidarności lub wzajemności. O zgodzie nawet mowy nie ma. Przykre to zapewne słowa, lecz niestety! prawdziwe.

Naród słoweński można podzielić na trzy kategorye, mianowicie: na inteligencyą, stan średni i wieśniaków. Arystokracyi ani szlachty u Słoweńców nie ma. Pomiędzy inteligencyą, tworzącą się z profesorów, urzędników, nauczycieli i kapłanów, nie ma prawie żadnego sojuszu, profesorowie nie mają zwyczajnie dobrego oka dla niższych nauczycieli, jedni i drudzy niechętni są znowu duchowieństwu. Profesorowie z wysoka patrzą na warstwy ludowe. Najwięcéj okazują gniewu czy zazdrości, jeśli przypadkiem z tych warstw chce być czynnym w literaturze ktoś, kto nie może popisać się tytułem „doktora“ lub „profesora“. Wnet cały szereg krytyków wystąpi przeciw niemu, potępiając wartość jego dziełka, zarzucając mu nieznajomość rzeczy, a nawet języka, nazywając go „niepowołanym“ i t. d. Podobne zarzuty spotykają i dziełka autorów stanu kapłańskiego i rzadkie tylko są przypadki, ażeby profesorowie i księża w jednym czasopiśmie wspólnie pracowali. Dla tego mają też pierwsi swój organ w dzienniku „Slov. Narod“, księża zaś dziennik „Slovenec“ (oba w Lublanie); organami znowu nauczycieli są „Popotnik“ w Maryborze i „Učiteljski Tovariš w Lublanie. Jak przecie nieusprawiedliwione jest rozdrobnienie sił, któż może o tém

wątpić, skoro z tego tylko wrogom dobra pociecha. Tylko w razie wyborów można dopatrzéć u tych profesorów lub doktorów jakieś zbliżenie się do ludu, mianowicie kiedy idzie o zdobycie jakiego mandatu na posła krajowego lub do rady państwa wiedeńskiéj. Wówczas są zawsze najlepszymi patryotami. Lecz lud, nie dowierza im i wybiera chętniéj jakiego księdza lub prostego wieśniaka. Dla tego mamy wśród posłów wielu duchownych. Nie dawne to bowiem czasy, jak nasi profesorowie i doktorowie poczęli ogłaszać się za narodowców lub patryotów słoweńskich.

O stanie średnim, mieszczańskim, można powiedziéć, iż jest on narodowości słowiańskiéj najbardziéj obcym. Nie tylko w miastach kresowych: Maryborze, Celowcu, Celju, Gorycyi, Tryeście itd. mówią mieszczanie obcym językiem, na północy niemieckim, na południu zaś włoskim, lecz dzieje się to téż po wszystkich innych miastach i miateczkach, ba nawet w wioskach, a w Lublanie tyle tylko, jak gdyby u Słoweńców o patryotyzmie i zamiłowaniu języka ojczystego nawet jeszcze żadnéj wzmianki dotąd nie było. Zwykle narodowcy z wyższéj warstwy dają ku temu pierwszy przykład. Czémże, proszę, wytłómaczyć, że nawet poseł słoweński, który pracuje na pozór dla sprawy narodowéj, nie dba o to, aby dzieci jego nauczyły się języka ojczystego; jego synowie i córki, nie znając mowy, za którą ojciec ich walczy, wstydzą się potém czynów swego ojca! A takich przykładów mamy bardzo wiele, mówiących jakby umyślnie a jasno, że owi ojcowie nie wierzą w to, za co postanowili walczyć; inaczéj bowiem więcéj okazywaliby troskliwości, ażeby się téż ich dzieci wykształciły dostatecznie w mowie ojczystéj, która dobija się o równouprawnienie z niemczyzną. Ale od teoryi do praktyki bywa daleko, a sprawowanie się tych „powołanych“ dopomaga bardzo temu, iż z czasem będzie jeszcze daléj.

Istotny więc naród słoweński tworzy tylko warstwa najniższa, mianowicie wieśniacy. Oni tylko trzymają się stanowczo języka a obyczajów swych ojców, na nich tylko spoczywa, ciężar zachowania swéj narodowości. Dla wrodzonych sobie zdolności mogliby oni wiele zdziałać, gdyby im nie brakowało dobrych, a bezinteresownych przywódców, przywódców takich, którzyby świecili im przykładem swoim. Rzeczywiście, że naród nasz i kraj nie jest arcy bogatym, lecz nie jest znowu tak nędznym, ażeby ofiarna ręka naszego wieśniaka dla sprawy narodowéj żadnego grosza przynieść nie mogła. Ofiarność ludowa i dla zapomogi literatury objawia się szczególnie w wielkiéj liczbie członków wzmiankowanego już stowarzyszenia św. Mohora, w trzymaniu więcéj gazet dla gospodarzy wiejskich, i wreszcie przy składaniu funduszów na cele szkolnicze

świeżo założonego towarzystwa szkolnego „św. Cyryla a Metodego“, na który cel złożono dotąd już przeszło 12,000 złr. Tylko w jednéj rzeczy byłoby ludowi naszemu coś do zarzucenia, mianowicie, że w swych przedsięwzięciach zwyczajnie nie jest wytrwały, że zapał jego do jakiegoś celu wprędce się wyczerpuje, zwłaszcza kiedy widzi, iż usiłowanie jego nie przynosi wnet pożądanego owocu. Zresztą pilny jak mrówka, pracowity i ochędożny, może sobie zaiste zdobyć serca wszystkich, którzy go jeno trochę poznają, chociaż nie jest wolnym od wybryków namiętności, skłonny do bijatyk i pijaństwa, do tańca i życia nieoględnego, które się dzisiaj nie pyta, co będzie nazajutrz jeść itd. Gdyby tych wad nie było, mógłby być naród nasz daleko zamożniejszym a ludowi zamożnemu mniéj się potrzeba obawiać wynarodowienia. Co tu o ludzie naszym powiedziałem, stosuje się niezaprzeczenie do wszystkich warstw wieśniaczych wogóle, czy to w Styryi lub Krainie, czy w Karyntyi, lub Przymorzu, chociaż nie można zaprzeczać, że i pomiędzy wieśniakami w Krainie panuje mniemanie, iż są czémś lepszém aniżeli ich pobratymcy w krajach sąsiednich. „Kraińczyk jest Bogiem, Karyntyjczyk świętym, Styryjczyk zaś buhajem“, można słyszéć często mówiącego z wielką dumą jakiegoś Kraińczyka; a Styryjczykom, pod wielu względami więcéj wykształconym, serce pęka z żalu, że i oni są członkami takiego brutalnego społeczeństwa. Lecz ponieważ znamy już przesądy tak zwanéj dumnéj „inteligencyi“ kraińskiéj, wiemy więc skąd „przysłowie“ owo pochodzi; wiemy dobrze jaka jest myśl jego przewodnia i dokąd wogóle taki stan rzeczy przywieść może, to i na to milczymy. Nie można się tedy wcale dziwić, że Gajowa idea iliryjska znalazła w swym czasie między Styryjczykami wielu zwolenników, i że się już Kraińcy sami poczęli obawiać, co to będzie, jeżeli się oderwie przeszło 400.000 Słoweńców styryjskich od wspólnego plemienia słoweńskiego?

Jaki wpływ będzie mógł wtedy wywierać na ten lud już wzmiankowany sojusz czesko-słoweński? Powiadamy zgóry, że istotnie wielki, zwłaszcza jeżeli bracia Czesi, poznawszy rany społecznego życia naszego, zrobią wszystko możliwe dla ich wyleczenia. Nasamprzód byłoby tedy potrzeba, ażeby wyszukać Słoweńcom mianowicie zaś ludowi, dobrych przywódców, którzy by umieli zjednać sobie zaufanie ludu a dbali o dobro ogólne, nie zaś tylko swe własne. Potrzeba daléj połączyć ile można warstwy społeczne, ponieważ rozdrobnienie w narodzie tak małym, nie może niegdy przynieść żadnych korzyści. Jestto sprawa istotnie bardzo ciężka, lecz niezbędna, dla dobra całego narodu, który bez tego jeżeli nie dziś, to być może już jutro zatonie w niemieckiém lub włoskiém morzu.

Przy dzisiejszym stanie rzeczy nie obronimy się nigdy. Naród tak maluczki obok tylu nieprzyjaciół, nie mający zresztą ideałów, nie znający surowéj karności a pozbawiony już miłości braterskiéj, jest zupełnie podobnym do niwy, obok któréj płyną wielkie rzeki, unoszące ziemię jéj z sobą. Jeżeli zaś jeszcze ci, którzy siedzą po środku owéj niwy, nie dbają o to, co się dzieje przy granicach, jeżeli drwią z tych, którzy stawiają nawałom przeszkody, wówczas nie można rzeczywiście wróżyć niczego dobrego! Nie Czechom pomoc Słoweńców, lecz Słoweńcom pomoc Czechów jest potrzebną a to w tych miejscach, gdzie najwięcéj grozi niebezpieczeństwo, gdzie nie ma tych, coby podniecali do roboty, gdzie nie ma żadnego usposobienia ku obronie swego bytu. Spodziewam się, iż będą bracia Czesi zdolnymi to zrobić, chociażby wymagało to i ofiarności z ich strony. Nie ma lepszego pasterza od tego, który da i życie swe za swoje owieczki! Zaufanie i wdzięczność ludu słoweńskiego ku Czechom zaiste nie minie nigdy! Ukazując tu, jakby w źwierciedle, najgłębsze rany naszego społeczeństwa, zrobiłem to tylko dlatego, ażeby zwrócić ich uwagę na ten najboleśniejszy a najbardziéj wymagający poprawy niedostatek, na który będzie zaiste można znaleść jeszcze lekarstwo, jeżeli staną u steru ręce, głowy i serca odpowiednie. Spodziewając się téj uroczystéj chwili kończę słowami poety ukraińskiego.

„Błahosłowy Boże na deń woskresenia
Mij tychyj, mij szczyryj weś lud,
Naj win procwitaje, naj win pokryplaje
I serce i duszu i hrud'".

Prawdomluw.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Krytyczny rozbiór Dziejów polskich Jana Długosza (do roku 1384), opracował d-r Alexander Semkowicz. (Praca uwieńczona nagrodą konkursową Towarzystwa literacko-historycznego w Paryżu, dnia 3 Maja 1882 r.). Kraków. Nakładem Akademii umiejętności, 1887, wielka 8-ka, str. XV, 407.

Nie ma w naszéj średniowiecznéj historyografii postaci równie potężnéj ogromem dokonanych prac, jak kanonik krakowski, nauczyciel Jagiellonów—Jan Długosz. Dość wskazać na trzy największe jego dzieła: *Lites et res gestae*, *Liber beneficiorum*, a wreszcie tę „Historyą“ jego, nad którą 25 lat życia przepędził, aby mieć wyobrażenie o téj niezmordowanéj czynności człowieka, który żywot cały spędził nad badaniem dziejów swego narodu i z piórem w ręku skonał, jak żołnierz na stanowisku. Ćwierć wieku, to spory kawał czasu; i dzisiejszy historyk nie spotrzebowałby go więcéj na napisanie podobnego dzieła; ileż to trudu i mozołu, ileż własnego ja włożył on w tę pracę swoję, z jakiém gruntownem przygotowaniem zabrał on się do niéj. Ale historya Długosza nie doczekała się dotychczas należytego ocenienia, zapatrywania na jéj wartość rozmaite. Kompilatorowie XVI i XVII w., którzy wyzyskiwali Długosza, łupili go niemiłosiernie, nie przyznając się jednak do tego, obrzucili go całym szeregiem zarzutów, jak gdyby w niepamięć chcieli puścić dzieło jego, i nie przypisywali mu ani zasług żadnych, ani żadnego znaczniejszego miejsca w naszéj historyografii. Dopiéro Braun korzystniéj ocenił Długosza i przywrócił mu dawno odmawiane stanowisko. Sąd ten począł przybierać coraz przychylniejsze dla kanonika krakowskiego formy, tak, że w pierwszéj połowie naszego wieku Długosz, któremu dano zaszczytny tytuł ojca naszego dziejopisarstwa, był dla historyków naszych niemal alfą

i omegą całéj wiedzy o czasach Piastowskich, był źródłem, w które wierzono jak w ewangelią, pisząc o wewnętrznych stosunkach pierwotnéj Polski. Dopiéro z postępem metody historycznéj, pod wpływem szczególniéj badaczów niemieckich (Roepell), poczyna się u nas nowy zwrot w zapatrywaniu na dzieje Długosza (Helcel), poczyna się krytyczna ocena jego opowieści, oddzielenie fałszów od prawdy, rzeczywistych faktów, popartych pierwszorzędnemi źródłami, od zmyślań i tworów wyobraźni. Ale całości dziejów Długosza nie poddał dotychczas nikt krytycznemu rozbiorowi. Prace Herdy (rozbiór 10 księgi), Girgensohna (7 ks.) i dawniejsza dr. Semkowicza (9 ks.) zbyt małą obejmują cząstkę, ażeby wydać sąd o całości; rozprawy zaś oceniające całość jego historyi są niewyczerpujące i jako takie nie mogą być ostatnim wyrazem sądu o Długoszu. Carona: *Johannes Longinus*, jakkolwiek świetnie napisany, jest szkicem o śmiało zakreślonych konturach, praca Zeissberga, najgruntowniejsza wprawdzie z dotychczasowych, ale przedmiotu nie wyczerpuje; Szujskiego („Stanowisko Długosza w historyogr. europ.“) jest raczéj efektowném essey, niż rezultatem zmudnego rozbioru. — Więc téż od dawna brak był i potrzeba takiego dzieła, któreby rozebrało cały potężny gmach Długoszowéj historyi na składające go cegiełki, i tym drobiazgowym rozbiorem szczegółów, ustęp za ustępem wykazało, co sądzić mamy o dziejach Długosza. Dziełem takiém jest praca d-ra Semkowicza, któréj tytuł podany wyżéj. Nie daje ona wprawdzie całkowitego rozbioru „dziejów“, bo tylko pierwszych 10 ksiąg, ale obejmując tę część kroniki jego, w któréj on jest historykiem-badaczem, rzuca najlepsze światło na jego metodę i zdolności dziejopisarskie. W tych pierwszych 10 księgach bowiem Długosz nie opowiada wypadków swoich czasów, w których żył i na które patrzał, ale na podstawie nagromadzonych źródeł odtwarza minione wieki Piastowskie. I tę właśnie część historyi, aż do r. 1384, na którym opuszcza Długosza ostatni z kronikarzy średniowiecznych, Janko z Czarnkowa, krytycznie rozebrać, wziął sobie autor za zadanie. Nie chodziło autorowi o wyrzeźbienie całkowitéj postaci Długosza-historyka, tylko o zbadanie dzieła jego w téj jego niesamodzielnéj części, a z zadania tego wywiązał się d-r S. z nadzwyczajną ścisłością i sumiennością, z olbrzymim nakładem pracy, która zdumiewa,—ale też krytyka godna wielkiego dzieła średniowiecznego dziejopisa. Długosz nie spodziewał się, że znajdzie się krytyk w XIX w., który z anatomiczną dokładnością rozbierze dzieje jego na atomy, który każdy fakt przez niego podany, każdy wydany sąd jak najdokładniéj zważy i gruntownéj podda analizie. Dr. S. podpatrzył Długosza w jego pracowni, podpatrzył go w chwili tworzenia, jego

metodę korzystania ze źródeł i pisania dziejów, i oto na przeszło 7,000 aż do najdrobniejszych szczegółów rozebranych ustępach oparty, odsłania nam całą fakturę Długoszowego dzieła, jego amplifikacye i przekręcania, zmyślenia i anachronizmy, błędy faktyczne i stronniczość sądów. Jeżeli pójdziemy za autorem, to Długosz przedstawi nam się w owéj pierwszéj części dziejów w ten sposób.

Średniowieczny nasz historyk nie zabrał się do pracy swéj bez należytego przygotowania, przeciwnie poczynił on gruntowne studya źródłowe i zebrał bardzo obszerny materyał nim przystąpił do napisania swoich dziejów. Miał on niezawodnie cały szereg roczników pod ręką, choć niewątpliwie wykazać się da użytkowanie tylko rocznika kapitulnego i Traski, które w całości wciągnął do swojéj kroniki i rocznika wielkopolskiego, który mu posłużył do uzupełnienia wiadomości zaczerpniętych z kroniki wielkopolskiéj. Wiadomości podane przez Długosza, a znajdujące się w szesnastu innych rocznikach, mógł on wziąć za pośrednictwem innych źródeł, choć nie wykluczona możliwość, a nawet większe prawdopodobieństwo, że wziął je z oryginałów. Z kronik znał i Galla i Wincentego, Kronikę Mierzwy, wielkopolską, Janka z Czarnkowa, Kronikę szląską i Kronikę książąt polskich, a korzysta z nich stosownie do swoich pojęć, sympatyi i zapatrywań politycznych i religijnych. Galla zużytkował w całości, ale przerabia go stylistycznie, rozwleka opisy, naszkicowane w źródle jego kilkoma zaledwie rysami, stara się szeroko, pragmatycznie przedstawić wydarzenia, dorywczo podane przez Galla. Tam jednak, gdzie przedstawienie tegoż nie zgadza się z osobistemi zapatrywaniami klerykalnego Długosza, przenosi nadeń Wincentego, który jako biskup musiał znaleść większą wiarę u niego. Z Janka korzysta on w latach 1370—1384, ale i tu, gdy chodzi o fakta obojętne dla niego, podaje je wiernie za Jankiem, gdzie jednak w grę wchodzą sprawy i kwestye, o których Długosz już z góry inne miał przekonanie, nie waha się on zmieniać, przekręcać, a nawet wprost fałszować swoje źródło, np. gdy wbrew twierdzeniu Janka i brzmieniu dokumentu koszyckiego twierdzi, że duchowieństwo zostało uwolnione od podatków. Używał Długosz nadto żywoty świętych: Wojciecha, Jadwigi, Stanisława, Kingi i Jacka, używał katalogów biskupów polskich, z których niektóre są nieznane dotychczas, zużytkował nadto cały szereg dziś znanych dokumentów (88 sztuk) z lat 1065—1382, prócz innych nam nieznanych. — Ale prócz polskich źródeł miał Długosz i ruskie, jak Nestora, z którego chronologią bizantyńską nie umié sobie po największéj części dać rady, jak latopisca jakiegoś litewsko-ruskiego, który odmienny był od znanych Daniłowicza i Nar-

buta, ale z tego samego, co one, powstał źródła. Miał ze źródeł krzyżackich: Kroniki Dusburga, Wiganda, oliwską,—z czeskich: Kosmasa, Pułkawy i drobniejsze,—z węgierskich: głównie chronica Hungarorum. Nadto korzystał Długosz ze znanéj kroniki Marcina Polaka i z 16 innych pomniejszych źródeł. Mimo to jednak nie wszystkie przez Długosza podane wiadomości dadzą się skonstatować w znanych nam dziś źródłach; są i takie, które nigdzie indziéj, tylko u niego znajdujemy, a można je podzielić na następujące grupy:

a) z nieznanych kronik i roczników . .	z lat	987—1382 . . .	224
b) „ dokumentów	„	1010—1382 . . .	80
c) wiadom. na ustném podaniu polegaj.	„	965—1376 . . .	25
d) „ „ autopsyi poleg. . . .	„	— . . .	29
e) „ z nieznanych ruskich źródeł	„	1122—1288 . . .	31
f) „ „ czeskich „ .	„	1055—1378 . . .	18
g) „ „ węgierskich „ .	„	1345—1383 . . .	12

Razem znajdujemy zatém u Długosza 419 szczegółów, które z nieznanych nam pochodzą źródeł. — Jakżeż on korzystał ze swych źródeł? Otóż zasady, jakiemi się przy tém kierował, dadzą się ująć w następujące punkta: 1) Zwykle opowiada on na podstawie pierwotnych źródeł, pochodnym daje jednak pierwszeństwo, gdy te przekonaniom jego bardziéj odpowiadają. 2) Sprzeczne podania kilku źródeł zestawia obok siebie. 3) Fakt podany w źródle, wydający mu się mylnym, choć nie ma na to dowodów, zbija rozumowaniem nie faktami. 4) Pragmatyzując wytwarza częstokroć domysły zupełnie nieuzasadnione. 5) Wytwarza czasem z fantazyi fakt, który zdaniem jego zajść musiał, a nieraz z jednego rysu wysnuwa szeroką opowieść. 6) Często bez żadnych uwag zmienia źródło, mianowicie, gdy niekorzystne dla Polski znachodzi szczegóły. 7) Zwykle nie wymienia źródła, gdy jednak wykombinuje jakiś fakt, powołuje się ogólnikowo na źródło. 8) Często zamilcza szczegóły w źródłach podane, sprzeczne z jego zasadami religijnemi i politycznemi. 9) Ustne podania uważa za źródło dziejowe. 10) Często miesza Długosz chronologicznie fakta, w źródłach bez dat podane, często pod jednym rokiem podaje fakta z lat kilku, często wreszcie pod różnymi latami powtarza jedno i to samo; takich powtarzań wykazał d-r S. 41. 11) Goniąc za pięknością formy, za wspaniałém obrazowaniem, stwarza Długosz na wzór Liwiusza barwne obrazy bitew i oblężeń, choć ich nie znalazł w zródle, opisy te jednak, wytworzone przez niego samego, cechuje jednostajność, szablonowatość. 12) Charakterystyki osób, wysnute z ich czynów, odznaczają się u niego przeważnie niesprawiedliwością, brakiem miary w ocenie, brakiem bezstronnego spokoju, chociaż niektóre są wcale do-

bre, a Kazimierza W. charakterystyka jest świetną. Jeżeli metoda taka odbiega w wielu względach od naszéj, to nie wina Długosza; lepszéj nie miano wówczas. Ani mu zarzutu robić nie można i z tego, że wkłada mowy w usta osobom działającym, że daje wiarę baśniom o początkach narodu polskiego, że tworzy dziwolągi etymologiczne: wszystko to właściwości wieku, w którym żył, właściwości, których się nie ustrzegli najznakomitsi z ówczesnych historyków.

Ale ciekawszém jeszcze jest, jak Długosz wydaje sądy o faktach i osobach, jak on żywcem przenosi swoje sympatye i antypatye narodowościowe, swoje zapatrywania religijne, społeczne i polityczne w dawne, minione wieki, przyczém sądy jego częstokroć w sprzeczności stają z etyką chrześciańską i ogólno-ludzką. Czyny niemoralne książąt, którym sprzyja, usprawiedliwia, dla tych, których nienawidzi, nie ma dosyć słów potępienia. Usprawiedliwia Krzywoustego za śmierć brata Zbigniewa, ale nie ma litości ani przebaczenia dla Bolesława Śmiałego. Fanatyzm religijny wyradza u Długosza nadto i nienawiść narodowościową: nienawidzi Czechów, którzy za jego czasów wszczęli wojny husyckie, nienawidzi Rusinów, nie należących do katolickiego kościoła; ztąd sądy jego niejednokrotnie wypaczone. Nienawidzi Krzyżaków ze względów politycznych, Szlązaków, że zniemczeli. W zapatrywaniach politycznych i religijnych jest Długosz monarchistą-klerykałem, ze szkoły Zbigniewa Oleśnickiego, klerykałem, któryby chętnie podporządkował władzę świecką władzy duchownéj, i temi zapatrywaniami swemi silnie zabarwia Długosz ustępy i sądy w swéj historyi. Z drugiéj strony przeważa to wszystko jego idealna miłość Polski, dla któréj chciałby wszystkiego najlepszego przysporzyć, dla któréj nie waha się zmieniać źródło, jeżeli niekorzystnie świadczy o jego narodzie, lub opuszcza nieprzyjemny dlań szczegół. Jakkolwiek wobec dzisiejszéj nauki postępowanie takie nawet miłością ojczyzny nie da się usprawiedliwić, Długoszowi takich fałszerstw z szlachetną podjętych tendencyą zbytnio za złe brać nie można.

Wszystkie te braki nie ujmują jednak wysokiéj wartości dziejom Długosza, ścisła krytyka historyczna bowiem, to dopiero owoc 19 w. wszak dziś dopiero otrzymaliśmy krytykę Długosza. A krytyka ta, mozolném porównaniem tekstów przeprowadzona, ścisła i drobiazgowa, rozbierająca rok za rokiem, ustęp za ustępem, zdanie za zdaniem dzieło Długosza jest wielkim krokiem naprzód w poznaniu tego dzieła a zarazem w badaniu czasów Piastowych. Dr. S. bowiem przeprowadza rozbiór nie tylko na podstawie źródeł, ale na każdém miejscu, szczególniéj zaś przy spornych kwestyach, których tak wiele w owych czasach, zużytkowuje całą odnośną litera-

turę i analizuje rezultaty innych badaczy, tak, że niektóre ustępy w rozbiorze stanowią wcale pokaźne rozprawki, jak np. Zbrodnia Gąsawska 1227 (str. 220—4), zawikłania w Polsce po śmierci Leszka Białego 1228 (224—8), objęcie rządów przez Wacława 1300 (321—4). rok 1382 (393—8), a szczególnie napad Tatarów 1241, obejmujący 21 stron (239—259). A jeżeli w szczegółach dozna praca dr. S. z czasem, w miarę odkrycia nowych źródeł, niewątpliwie pewnych zmian, zawsze będzie ona koniecznym przewodnikiem, bez którego żaden badacz dziejów Piastowych nie będzie się mógł obejść.

Jedno tylko nie zaspakaja nas dostatecznie w pracy dr. S.: jakież właściwie stanowisko przyznać Długoszowi w historyografii naszéj. Co dla dziejów samych jego dzieło przynosi, tego dowiódł autor najzupełniéj skrupulatnym swym rozbiorem, ale, czy i o ile metoda Długosza odbiega od powszechnie wówczas obowiązujących prawideł metody i krytyki historycznéj, czy znamionuje ona postęp, lub nie, na to dostatecznéj odpowiedzi nie znajdujemy, choć dr. S. często zaznacza, że to lub owo było wspólną właściwością ówczesnych pisarzy. Chielibyśmy w osobnym rozdziale mieć dokładnie i wyczerpująco wyłuszczone wszystkie zasady, jakiemi kierowali się dziejopisowie, całą ówczesną teoryą historyi, i przeprowadzić paralelę między nią, a dziełem Długosza, jak to z Kromerem zrobił u nas pierwszy Finkel; tylko tym sposobem można ocenić historyograficzne stanowisko Długosza, czy i o ile jest on wytyczną postępu. We wstępie mówi dr. S. że „o nikim z taką stanowczością nie można wyrzec, że jest dzieckiem swego wieku, jak o Długoszu“ (str. 5), a jednak niżéj mówiąc o w. 15, jako „początku bystrzejszéj krytyki“, rodzącéj się na zachodzie, powiada, że „w Polsce Kadłubek—to alfa i omega całéj wiedzy historycznéj“ (str. 5), że „mogło więc społeczeństwo polskie 15 w. z mniejszą aniżeli Cicero przesadą powtórzyć słowa jego: „*abest historia literis nostris*“ (str. 7), a daléj „że nie możemy wskazać innego historyka 15 w. któryby mógł narówni z nim (Długoszem) stanąć pod względem ilości nagromadzonych źródeł i metody w użytkowaniu tychże“ (str. 11), że „olbrzymie dzieło Długosza“ jest „perłą w literaturze naszéj historycznéj.“ Ale w takim razie nie wiemy, czy „mylą się ci, którzy twierdzą, że on (Długosz) wyprzedził swój wiek“, czy nie. A wreszcie, Długosz pisał dzieje swoje sposobem analitycznym; czy przed nim, albo za czasów jego nie było innych wymagań co do budowy dzieła historycznego, grupujących materyał więcéj co do treści? Wiadomo, że u nas pierwszy krok do postępu na tém polu zrobił Miechowita, o którym to autor z taką niemal pogardą się wyraża w przedmowie; że on starał się pierwszy mate-

ryał podzielić według treści na grupy, ująć go w odpowiedniejsze formy. Jeżeli jednak Miechowita aż do r. 1480 prawie wyłącznie skraca Długosza, to nie można zarzutu bez wartości, czy małéj wartości rozciągać na całe dzieło, boć przecież do podługoszowych czasów 1480 — 1506 Miechowita jest źródłem pierwszorzędném.

F. Bostel.

Złota przędza poetów i prozaików polskich, pod redakcyą D-ra Piotra Chmielowskiego, ze współudziałem Stanisława Krzemińskiego i Ernesta Sulimczyka Świeżawskiego (tom IV, Warszawa 1887).

Literaturę naszą można nazwać metaforycznie „przędzą" ducha polskiego, uzewnętrznioną w utworach piśmiennych. Na jéj odwieczną, mniéj lub więcéj ciągłą a zawsze niedokończoną i w mgłach przyszłości ginącą tkaninę składa się wiele rozmaitych włókien: oprócz „złotych" są tam srebrne, szychowe, jedwabne, bawełniane i parciane nici. Całość jednak, o ile ją ogarnąć okiem i w jedności pojąć można, jest dla naszego uczucia patryotycznego „złotą," bo drogocenną, niemało potu, łez i krwi kosztującą „przędzą." Aby jéj zawartość dokładnie poznać, aby zbadać literaturę— już nie w jéj najobszerniejszym, ale w zwykłym, węższym, konwencyonalnym zakresie, należy wszystko przeczytać, przetrawić, wszechstronnie a porównawczo ocenić. Trudno tego dokazać; ale do takiego celu dążyć—i można i trzeba. Żadna też ze znanych, opracowujących dzieje piśmiennictwa naszego książek nie odpowiada w zupełności swojemu zadaniu; chociaż ich autorowie odznaczają się nieraz to wielką erudycyą, to głębokością poglądów i zmysłem historyozoficznym. Dobra historya literatury polskiéj spoczywa dotąd jeszcze w sferze nieziszczonych ideałów. Wywoła ją stamtąd i na światło dzienne wystawi ten, kto poznawszy gruntownie całą sumę faktów, objaśnić je i w jeden łańcuch dziejowy, bez sztucznych ogniw, powiązać zdoła. Drogę do tego celu wytykają monografie, które się należycie mnożyć mogą tylko przy jaknajwiększém rozpowszechnieniu pomników skarbu literackiego.

Gdyby każdy z badaczów miał pod ręką bogaty księgozbiór, antologie w rodzaju „Złotéj przędzy" należałyby do zbytków salonowych. Jak najpiękniejsza równianka nie zastąpi ogrodu kwiatowego, tak najzręczniej usnute wypisy—biblioteki. Wyjątek z utworu, choćby najokazalszy, jest jedynie wyciętą kartką, oderwanym od swéj całości strzępkiem. Zbiór wszakże tych strzępków, wprawną ułożony ręką, stanowiąc symetryczną girlandę, możnego zachęci do zdobycia skarbów, a biednemu da... przedsmak zakazanych rozkoszy. W kraju wydziedziczonych dobra miniatura złotéj przędzy ducha ojczystego bardzo pożądanym jest gościem. Dążono też do

niéj oddawna. Jako najwcześniejszy na tym torze pracownik, występuje w r. 1838 Jan Popliński („Nowe wypisy polskie—część druga, zawierająca historyą prozy polskiéj z wyimkami"). W jego ślady wkracza K. W. Wójcicki, ze swą czterotomową „Historyą lit. pol. w zarysach" (1845). W ostatnich wreszcie dwu dziesięcioleciach ukazują się: „Przykłady i wzory" Karola Mecherzyńskiego, oraz przeznaczona dla szkół naszych (z życiorysami w języku ruskim), chrestomatya T. Wierzbowskiego. Tym sposobem „Złota przędza," jako kwiatozbiór historyczno-literacki, piąte pod względem chronologicznym zajmuje miejsce. Pierwsze, trzecie i czwarte z pomiędzy wymienionych dzieł—noszą na sobie cechę dążności pedagogicznéj; drugie i piąte — służyć mają szerokim kołom publiczności polskiéj. Obie grupy wspólną posiadają istotę, grunt i cel jeden, a różnią się między sobą głównie wielkością ram i odpowiednim doborem okazów. Przeglądając te wydawnictwa w porządku czasowym, a szczególniéj pierwsze, drugie i piąte, dostrzegamy w nich, ku własnemu zadowoleniu, rozwój stopniowy. Popliński ograniczył się na prozie, a dążąc do gatunkowego i historycznego usystematyzowania materyału, nie umiał jakoś przeprowadzić linii granicznéj międy teoryą dziejową a wypisami — epoki z sobą powikłał, własne poglądy z cudzemi zmącił. Wójcicki — poezyi poczesne przeznaczył miejsce; ramy antologii znacznie rozszerzył, i choć niewszędzie ziarno od plewy odróżnił, a dziełu swemu nazbyt pretensyonalne dał miano, to jednak oświetlił całość pewną myślą przewodnią i współziomków zaopatrzył w duży zasób zdrowego pokarmu. Chmielowski wreszcie, wespół z Krzemińskim i Świeżawskim, jako epigonowie Wójcickiego, osiągnęli już niemal ideał wymarzony. Starali się bowiem z dobrym skutkiem nietylko o możliwą zupełność i symetryą w układzie, ale nadto o dobór okazów charakterystycznych, o najświeższe informacye życiorysowe i bibliograficzne, o uwydatnienie wreszcie pochodu dziejowego myśli twórczéj i obudzenie uśpionych strun życia. Łatwo bezwątpienia wykazać, że to lub owo redaktorowie opuścili (np. Prelekcye i „Konfederatów barskich" Mickiewicza, w t. I-ym, Trzecieskiego, Glicznera, Otwinowskiego Erazma w t. IV), można się dziwić, iż w podręczniku, służącym do wykładu historyi literatury, dali miejsce takim drugorzędnym zabytkom językowym z wieku XV, jak „Żywot Św. Błażeja" lub „Żywot Ojca Amandusa;" ale nie będą to zarzuty poważne; trudno bowiem w czterech tomach streścić skarbnicę wielowiekową, a rzadkości bibliograficzne i odkrycia rękopiśmienne zawsze warto światu ogłosić. W takiém, jak „Złota przędza," zbiorowisku wszelkie przedewszystkiém cenne „kruki białe" powinny znaleść przytułek, a wzgląd na symetryą

i estetyczny kształt bukietu przed potrzebą nakarmienia zgłodniałéj rzeszy na drugi plan ustąpić musi. Bardzo dobrze to pojmował Nestor antologów historycznych, Popliński, gdy podając bogate wypisy z rzadkich dzieł XVI-go stulecia, Krasickiego, jako będącego „w ręku wszystkich“, wcale nie przedrukowywał. Redaktorowie „Złotéj przędzy“ w części tylko poszli torem swego poprzednika. Zawdzięczamy im wprawdzie wyświetlenie takich zjawisk piśmienniczym, jak: „List Mateusza h. Cholewa do S. Bernarda“, „List pedagogiczny Elżbiety królowéj“; takich postaci, jak: Jan Damascen Kaliński, Samuel Grądzki, Stefan z Garczyna Garczyński (autor „Anatomii Rzeczypospolitéj“, znakomity socyolog z pierwszéj połowy XVIII w.), Bard, Kantorbery Tymowski i wielu innych. Niepraktycznie sobie jednak, mojém zdaniem, postąpili, ogłaszając znane z rozlicznych wydań utwory Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego i innych. Piękna rzecz — symetrya; ale za ubodzy jesteśmy na to, byśmy jeden utwór, a témbardziéj kawałek utworu—kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt razy kupowali.

Życiorysy, w połączeniu ze wskazówkami bibliograficznemi i odsyłaczami do odpowiednich rozpraw o przedmiocie, stanowią najcenniejszą stronę wydawnictwa. Nie jeden w nich błąd zastarzały sprostowano, nie jednę wyjaśniono kwestyą. Są tam zapewne usterki i opuszczenia (pokryto np. milczeniem imię Stanisława Węclewskiego, sumiennego komentatora i biografa dwu wierszopisów staropolskich); tak wielką wszakże notatki dane odznaczają się dokładnością, że zasługują na to, by je, jako unikat w swoim rodzaju, z koniecznemi uzupełnieniami osobno wydano.

Plan i ramy książki uwydatniają się w przedmowach, umieszczonych na czele pierwszego i czwartego tomu. Otworzył ją niegdyś (przed czterema laty) w „słowie wstępném“ J. I. Kraszewski, prowadził od str. 195 i zamknął P. Chmielowski. Pomimo zmiany osób i biegu czasu, między różnemi częściami wydawnictwa panuje zasadnicza zgoda.

Podział historyi literatury, wyrażony w „poglądzie ogólnym“ (t. IV, od str. I do XXIII), przedstawia niektóre cechy oryginalne. Okres I (od w. X do końca XIV) rozpada się na dwie doby, odgraniczone chronologicznie „mniéj więcéj połową wieku XIII, a wewnętrznie znaczeniem duchowieństwa.“ „W pierwszéj dobie (objaśnia autor) duchowieństwo nie czuje się jeszcze silném pod względem politycznym, a znaczenie swoje i wpływ zakłada tylko na swym charakterze kapłańskim.“ „Przykład takiego zatargu, jaki zaszedł między Bolesławem Szczodrym a biskupem Stanisławem nie świadczy o potędze politycznéj duchowień-

stwa, ale o jego potędze religijnéj." — Mniemałbym że o ile podział tego okresu na dwie doby jest w historyi społeczno-państwowéj ze wszech miar usprawiedliwiony, o tyle w dziejach piśmiennictwa (tam, gdzie jeszcze właściwéj literatury niéma) — całkiém zbyteczny. Co się tyczy zatargu między monarchą, stronnikiem politycznym Grzegorza VII, a biskupem (który, naturalnie, do przciwnego należał obozu i, jak świadczy Gallus, o zdradę kraju był posądzony), musiał on miéć charakter państwowy raczéj, niż moralny; wywołał bowiem przewrót, który się każe domyślać czynnika podobnéj natury. Duchowieństwo nie doszło jeszcze wówczas do potęgi politycznéj; ale pojedyńczy przedstawiciele stanu, jako dygnitarze, występujący w tonie na pół świeckim, działali niezawodnie, wraz z innymi, przeciw energicznemu królowi, przyczyniając się tym sposobem do wyniesienia na tron takiego, jak Władysław Herman, zera. O zapale religijnym duchowieństwa polskiego z owych czasów nic zgoła nie wiemy; owszem, to, co o niém autor na str. II powiada, że „kierowało się bardziéj rutyną, niż natchnieniem" — możemy chyba bez przeszkody (gdy mowa o téj saméj dobie) i na str. IV powtórzyć.

Ścisłych granic chronologicznych między okresami słusznie autor nie zaprowadza; trudno bowiem przytoczyć taki wypadek, któryby w historyi literatury stanowczy a natychmiastowy przewrót wywołał. Okres II-gi zamyka nasz uczony w granicach wieku XV, XVI i początku XVII (do czasów panowania Władysława IV); dzieli go następnie na dwa podokresy, a w końcu drugi podokres — na trzy doby (I—1548; II—1586; III—1632. Dziwi mię to, że autor, mówiąc w charakterystyce pierwszego podokresu o nauce scholastycznéj, nic nie wspomniał o nominalizmie, owym szkolnym, co prawda, lecz postępowszym, wobec rzekomego realizmu i liberalniejszym prądzie. Wszakże prof. Struve pisał coś o tém w „Ateneum" za r. 1877 („Pierwszy okres hist. fil. w Polsce")?

Czasy, zwane zazwyczaj wiekiem makaroniczno-panegirycznym, niepotrzebnie, jak sądzę, oddzielił Chmielowski w swoim systemie od okresu poprzedzającego, tworząc okres trzeci od „panowania Władysława IV do roku mniéj więcéj 1740." Daleko bliższy bowiem zachodzi związek między tym okresem a dobą poprzedzającą (czasami Zygmunta III), niż między dobą reformacyjną a staro-jagielońską. Podjęta, w ślad za innymi pisarzami, obrona wieku jezuickiego, jako oparta na sofistycznem dowodzeniu, to używająca różnych podpórek, to odrzucająca je, by w końcu, pod maską nowego słowa, saméj sobie zaprzeczyć, nie wytrzyma nigdy ścisłéj krytyki. Autor w zapale krasomówczym występuje, podobnie jak

niegdyś Bełcikowski, przeciwko p o t w a r c o m epoki, niesłusznie „jezuicką“ i „makaroniczno-panegiryczną“ zwanéj, aby w wyniku sylogistycznym ochrzcić ją „okresem ściemnienia światła i zepsucia smaku“; dobrą zaś sławę kunsztownéj argumentacyi ten tylko szczegół ratuje, że czytelnik nie wątpi o s t o p n i o w é m, w dwu głównych spadkach, ściemnieniu światła.

Miałbym jeszcze ochotę posprzeczać się z redaktorami „Złotéj przędzy“ w przedmiocie obszaru pojęcia literatury polskiéj, która, zdaniem mojém, pomimo ustalonych dla niéj odwiecznym zwyczajem granic konwencyonalnych, powinna się we właściwém, ściśle estetycznéin, zamknąć łożysku, jeśli nie ma być encyklopedyą wiedzy ludzkiéj lub wycinkiem z encyklopedyi. Ponieważ jednak sprawa ta przekracza zakres niniejszego artykułu, odkładam ją do innéj pory, a kończąc pobieżną ocenę najnowszéj antologii, dodam, że jest ona wyborném *vade-mecum* historyczno - literackiém, niezbędném zarówno dla zwykłego miłośnika rzeczy ojczystych, jak i dla specyalnego badacza. *A. G. Bem.*

= **Kodeks Dyplomatyczny Polski obejmujący przywileje książąt Szląskich**. *Wydał Dr. Mikołaj Bobowski. Warszawa 1887*. (str. XVIII, 237, XI; cena 5 rs.). — Wśród licznéj rzeszy naszych historyków-amatorów odznaczał się korzystnie zmarły 1877 r. Michał Boniecki tak stosowném wytknięciem sobie szczuplejszego pola badań, ograniczając je do dziejów Szląska, jak sięganiem, o ile to było w jego możności, do źródeł i pomników dotąd nieogłoszonych. W latach 1874 i 1875 ukazało się główne dzieło Bonieckiego „Książęta Ślązcy z domu Piastów. Przyczynek do historyi i rodzin panujących w Polsce“, dzieło poświęcone przeważnie badaniom genealogicznym, ale podające równocześnie i wcale zajmujące przedstawienie tych zawikłanych a dla nas zawsze ciekawych stosunków dzielnicowych. Omawialiśmy już poprzednio w „Ateneum“ kilkakrotnie odnoszące się do dziejów Szląska publikacye i przy téj sposobności skreśliliśmy choć pokrótce rozwój współczesnéj historyografii szląskiéj; nie chcąc się więc obecnie powtarzać, przypominamy tylko, że w chwili, kiedy Boniecki pracę swoją wykończał, nie były jeszcze wydawnictwa Towarzystwa historycznego we Wrocławiu, ani w części tak zupełnemi jak obecnie, że więc musiał autor walczyć z wielkiemi trudnościami, które dzisiaj, przynajmniéj o ile to dotyczy XII i XIII wieku, pokonanemi już są prawie w całości. Nie wiemy, jak dalece był ś. p. Boniecki do badań dziejowych fachowo przygotowany, czy potrafiłby bez niezawsze łatwéj do uzyskania pomocy bieglejszych w paleografii i dyplomatyce pracowników korzystać ze spoczywającego w archiwach i nieodczytanego dotąd

przez nikogo materyału, czy nareszcie pozwalały mu stosunki osobiste przebywać przez dłuższy czas zagranicą w celu przedsiębrania archiwalnych poszukiwań po miastach i miasteczkach szląskich, bo gdyby był umiał i mógł to wszystko Boniecki wykonać, to musielibyśmy, oceniając jego książkę, wytknąć nieuwzględnienie w niéj olbrzymiego a dostępnego z łatwością materyału, znajdującego się bądź w archiwach państwowém miejskiém i kapitulném we Wrocławiu, bądź w całym szeregu mniejszych archiwów miejskich, jak: lignickiém, głogowskiém, brzeskiém i t. d. Nieuwzględniając jednak przechowanych na Szląsku rękopiśmiennych zabytków, nagrodził nam po części ś. p. Boniecki, wynikłe ztąd niedostatki, wyzyskując skwapliwie wszystkie tyczące się stosunków szląskich, a w Archiwum Główném w Warszawie przechowane dokumenty. Owocem przedsięwziętych w tym kierunku zabiegów Bonieckiego był zbiór odpisów, który sam autor „Książąt Sląskich“ drukiem ogłosić zamierzał; gdy jednak przedwczesna śmierć uniemożebniła zasłużonemu badaczowi wykonanie zamiaru, podjęła rodzina jego na swe barki połączony z podobném wydawnictwem ciężar, powierzając naukowę stronę przedsięwzięcia najpierw panu Milewskiemu, a gdy ten wydrukowawszy zaledwie kilku arkuszy, ze światem tym się pożegnał, dr. Mikołajowi Bobowskiemu, młodemu a już zaszczytnie z kilku filologicznych prac znanemu pracownikowi. Dokumenty objęte nowym tym dyplomataryuszem wypełniają okres od r. 1290 do r. 1562, a z ogólnéj ich liczby, wynoszącéj sztuk 143, przypada na wiek XIII—1; na XIV—11; na XV—97; na XVI—34. Prócz ogłoszonych już poprzednio przez Stronczyńskiego („Wzory pism dawnych“) dyplomów, i prócz niewielu aktów znanych ze zbioru „Tomiciana“ zawiera Kodeks Dyplomatyczny Szląski same nieznane bądź w oryginałach, bądź w odpisach (Metryka koronna) zachowane dokumenty; są one przeważnie aktami politycznéj doniosłości, stwierdzającymi i objaśniającymi stosunki, jakie zachodziły między Polską a książętami szląskimi, a jako takie stanowią niezmiernie cenny materyał zwłaszcza do dziejów XV wieku, do którego najwięcéj téż ich się odnosi. Co się tyczy wydania, to nazwać je można bardzo staranném i dobrze świadczącém o zdolnościach po raz pierwszy na tém polu kroki stawiającego badacza. Nie było wprawdzie tu pola do krytycznych spostrzeżeń nad autentycznością dokumentów, lub do mozolnych prostowań wypisanych w nich chronologicznych danych, ale co tylko do wydawcy należało, i czego wymagała natura materyału, temu wszystkiemu uczynił p. Bobowski zadosyć, nie wstrzymując się nawet w razie potrzeby od dołączania dłuższych historycznych uwag i objaśnień *B.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Sprawa Oświęcimska.—Zapatrywanie nauki, prawodawstwa i opinii publicznéj na kwestyę wychodztwa.– Mimo szkodliwości jéj u nas, emigracya jednak istnieje.—Co na to poradzić? — Zbieranie dokładnych wiadomości o przyczynach wychodztwa i o warunkach czekających wychodzców za oceanem. — Handel i wyzysk prostytutek. — Opieka nad niemi.—Koléj Wiedeńska.—Kanalizacya.—Bank poznański.—Nowe prawodawstwo o magazynach towarowych i w szczególności zbożowych. — Nowe przepisy o dostawach przez producentów zboża do intendentury. — Wiadomości o cenach zboża i o zbycie wyrobów fabrycznych.—Nieco pomyślniejszy dla naszego kraju horoskop ekonomiczny.

Sprawa ajentów emigracyjnych, którzy zachęcali lud galicyjski do wychodztwa i popełnili przytém cały szereg krzyczących nadużyć przeważnie z ciemném chłopstwem galicyjskiém, rozbrzmiewa silném oburzeniem w łamach naszéj prasy peryodycznéj. Ajenci w Oświęcimiu i w wielu innych miejscowościach Austryi i Prus uformowali szajkę, przypominającą osławioną organizacyę handlarzy murzynów. Wyzysk, oszustwo, lichwa, dochodząca do potwornych rozmiarów, samozwańcze przywłaszczanie sobie charakteru urzędników państwowych, obok najordynarniejszéj kradzieży, a w końcu zaprzedawanie swoich „klientów" nieomal literalnie w niewolę, oto rysy działalności pp. Zwillinga, Klauznera *et consortes*. Zdaje się, czytając relacye o tém co się działo w Oświęcimiu, a może i obecnie jeszcze w innych miejscowościach dzieje, że żyjemy nie w drugiéj połowie XIX stulecia, lecz w czasach najswobodniejszego rozwoju rynków niewolniczych. Nic dziwnego że urząd prokuratorski w Krakowie i wogóle władze państwowe austryackie zabrały się energicznie do pp. ajentów. To co oni robili, wystarczyłoby do uwięzienia nie tylko z mocy dzisiejszych praw austryjackich, ale nawet na podstawie słynnego „*Code noir*", wydanego przez Ludwika XIV, t. j. nawet na zasadzie takiego prawodawstwa, które uświęcało handel niewolnikami.

Jeżeli zbrodnicze nadużycia ajentów oświęcimskich nie przedstawiają co do karygodności żadnéj kwestyi, to interesującém jest pytanie: jak się zapatrywać należy na działalność takich ajentów emigracyjnych, którzy żadnych nie popełniają nadużyć (był przecie zakwalifikowany przez Krasickiego do bajki szewc, który nie pijał) względem emigrantów. Odpowiedź na to pytanie zależy w znacznym stopniu od rozstrzygnięcia kwestyi czy emigracya jest klęską dla kraju, ludność którego się przez taki sztuczny odpływ zmniejsza,—czy jest nią zawsze, wszędzie i bezwarunkowo, w szczególności zaś, ze względu na nasze stosunki, czy jest klęską w Galicyi, w Poznańskiém i u nas.

Opinije teoretyków w sprawie wychodztwa przedstawiają wielką różnorodność.

Ekonomiści angielscy z XVI i początku XVII stulecia opanowani są obawą przeludnienia. Raleigh (*History of the world*), Bacon (*De coloniis in Hiberniam deducendis*) i inni radzą, dla uniknienia téj klęski, zakładać kolonie i protegować emigracyę. Między myślicielami, ekonomistami i mężami stanu z czasów Colbert'a zaczyna przeważać zdanie przeciwne. Saavedra Faxardo i William Temple widzą bogactwo kraju w jego ludności. Spinoza, a wcześniéj jeszcze król Henryk IV wypowiadają tę samą myśl (1). Seckendorff w swoim projekcie urządzeń państwowych w Niemczech radzi zakładać na koszt państwa olbrzymie przytułki dla wychowywania sierot i dzieci rodziców ubogich, a to w celu powiększenia tym sposobem liczby obywateli, jako bogactwa kraju. Zdanie, że liczba mieszkańców stanowi bogactwo, wypowiadają na różny sposób Vauban, Law (2) Necker, Rousseau, Filangieri, Pitt i wielu innych. Szkoła fizyokratów a potem inni ekonomiści i myśliciele (Steuart, Mirabeau) rozpoczynają przeciw temu zapatrywaniu reakcyę, dochodzącą do najwyższego wyrazu w głośném prawie Malthus'a, który przepowiada w dziele *Principle of population* grożącą rodzajowi ludzkiemu śmierć głodową wskutek przeludnienia ziemi.

Z pomiędzy nowszych ekonomistów zajmuje się może najwięcéj kwestyą emigracyi głośny uczony niemiecki profesor Wilhelm Roscher, który w słynném swém dziele „Zasady

---

(1) Spinoza *Tract. polit.* VII, 18. „Imperii potentia ex civium numero oestimanda est." — Henryk IV we wspaniałéj przedmowie do edyktu z dnia 8 kwietnia 1599 „*Sur le dessechement des marais*" powiada: „La force et richesse des roys et princes souverains consiste en l'opulence et nombre de leurs subjects."

(2) Vauban. *Dime royale*: „Les sujets ne peuvent pas faire des enfants, sans que le prince n'en profite." Law. *Trade and monney*: „Numbers of people the greatest riches."

ekonomii politycznéj“ podaje tak wiele wiadomości historycznych, dotyczących badanéj przez siebie nauki, że do dziś dnia, pomimo ubiegłych lat przeszło 30, służy ono w wielu kwestyach jako *vade-mecum* dla pracujących nad ekonomią polityczną. Otóż Roscher, mówiąc o emigracyi we wzmiankowanych „Zasadach ekonomii“, a również w pracach: p. t. *Ansichten über die deutsche Auswanderung* i *Kolonien*, *Kolonial-Politik und Auswanderung*, wypowiada zdanie, że wychodztwo może być korzystném dla emigrującego, jeżeli posiada on pewien — niekoniecznie zresztą znaczny — zasób pieniężny i jeżeli jest pracowity, szczególniéj zaś bywa korzystne dla potomków emigranta, gdyż ci zwykle dochodzą do znacznie większéj zamożności, niż to byłoby dla nich możliwém w ojczyźnie. Co się tyczy jednak kraju, z którego wychodztwo przybiera obszerniejsze rozmiary, ten ponosi znaczne straty w zdolnych do pracy ludziach, w kapitałach zużytych na przesiedlenie i wywiezionych przez emigrantów do nowéj ojczyzny a w dodatku doznaje zaostrzenia kontrastów między klasami zamożnemi a proletaryatem, z powodu, że emigruje głównie—podług Roschera—ludność miernéj zamożności, gdyż bardzo bogaci nie mają potrzeby, a bardzo biedni nie mają o czém kraju opuścić. Te ujemne dla kraju ojczystego emigrantów skutki równoważą się w odpowiednim stopniu korzyściami w takim tylko razie, jeżeli ekspatryowani koloniści zachowują ze swą przeludnioną dawniéj ojczyzną ścisłe stosunki ekonomiczne. W tym wypadku, oprócz korzyści wytworzenia swobodniejszéj przestrzeni (*elbow room*) dla pozostałych w kraju mieszkańców, następuje żywa wymiana handlowa surowych produktów kolonialnych nowéj ojczyzny z wyrobami fabrycznymi dawnéj, ku zobopólnéj obu stron korzyści. Korzyść ta jednak może być osiągnięta pod warunkiem, że nowo-zakładająca się kolonia otrzyma wyłączny, albo co najmniéj przeważny charakter narodowy tego kraju, z którego wyszli emigranci. Przeciwnie, jeżeli garstka wychodźców z pewnego kraju wsiąknie w liczniejszą ludność kolonialną innéj narodowości, wówczas podda się ona wyrobionym przez większość stosunkom ekonomicznym z obcą metropolią i nie zrównoważy nowemi korzyściami handlowemi szkód, jakie kraj ojczysty poniósł przez utratę energicznych rąk roboczych i kapitałów. Podług zdania Roschera (wypowiedzianego jeszcze wcześniéj przed rozpoczęciem przez rząd niemiecki działalności kolonizacyjnéj) tylko koloniści holenderscy i angielscy przynosili, a w części i dziś przynoszą swym krajom ojczystym korzyść ekonomiczną, niemieccy zaś wyrządzają stratę, z powodu właśnie braku kolonii o charakterze wyłącznie lub przeważnie niemieckim.

Jeżeli zdanie Roschera, któremu chyba słuszności odmówić nie można, przełożymy na nasze stosunki, to wypadnie, że nasza emigracya przynosi krajowi niczém nie powetowaną stratę.

Kraj nasz widocznie nie jest jeszcze przez element miejscowy przeludnionym, skoro się w nim mieszczą i wciąż jeszcze przybywają koloniści obcego pochodzenia. To samo jest i w Poznańskiém, gdzie kolonizacya niemiecka coraz większe robi postępy. U nas więc i w Poznańskiém wiele jest jeszcze miejsca na tak zwaną kolonizacyę wewnętrzną elementu miejscowego, a wychodztwo nie ma racyonalnéj podstawy ekonomicznéj.

Inaczéj nieco jest w Galicyi. — Koloniści obcéj narodowości, w miastach dość liczni, lokują się po wsiach galicyjskich w bardzo drobnéj ilości. Wieśniacy galicyjscy, peryodycznem, na czas krótki robót rolnych w lecie wychodztwem do nas radzą jak mogą swéj biedzie, z przeludnienia w części wynikłéj. Podług tablic podanych w głośnéj broszurze Szczepanowskiego „Nędza Galicyi w cyfrach,“ stosunek ludności rolniczéj w téj prowincyi do obszaru ziemi i do środków wyżywienia jest przerażający. To téż Szczepanowski, w obec przymierania głodem włościaństwa galicyjskiego, radzi protegować, nie zaś powstrzymywać wychodźtwo z Galicyi. Powiada on: „widzieliśmy, że, w porównaniu z Kongresówką, Galicya od r. 1860 straciła z braku środków utrzymania $1\frac{1}{2}$ milijona ludności, o którą liczbę by Galicya teraz była więcéj zaludnioną, gdyby tylko stworzono odpowiednie środki zarobkowania i utrzymania. Jeżeli więc w tym czasie wyemigrowało z jakie 100, lub 200 tysięcy ludności, to z pewnością fakt ten nie zmniejszył ani o jednostkę obecnéj ludności galicyjskiéj, tylko zmniejszył o tyle ilość ofiar śmierci głodowéj. Nie sto tysięcy, ale milion, całe $1\frac{1}{2}$ miljona mogło było wyemigrować, a ludność by była akuratnie taką samą, jaką jest teraz, to jest odpowiadającą środkom utrzymania“.

Gdyby uważać premissy, podane przez Szczepanowskiego, za niezbite, t. j. gdyby uważać: 1⁰, że ludność galicyjska rzeczywiście wymiera z głodu; 2⁰, że głodowi temu żadnym środkiem prócz emigracyi zapobiedz niepodobna (sam p. S. wspomina zresztą o możności stworzenia na miejscu środków zarobkowania i utrzymania) i 3⁰ że emigracya w znacznéj ilości wypadków od głodu broni, nie zaś na głód prowadzi,—to oczywiście należałoby przyjąć jako wniosek parafrazę przypowieści o bezużyteczności zmarłego doktora i, pomijając nawet ważną z ekonomicznego punktu widzenia utratę wywiezionych z kraju drobnych w każdym poszczególnym wypadku, ale poważnych w zbiorowéj cyfrze kapitałów pieniężnych, powiedzieć, lepszy dla nas żywy *yankee*, niż umarły polak.

Pomimo jednak całego uznania dla pracy p. Szczepanowskiego, mamy pewne zastrzeżenia co do podanych przez niego premiss, — a ztąd i wniosek co do korzyści prądu emigracyjnego z Galicyi przyjmujemy z dobrodziejstwem inwentarza. W szczególności co do kwestyi, czy emigracya polepsza los wychodźców galicyjskich, sprawa oświęcimska jest wymownym dowodem jak inaczéj rzecz wygląda w wykonaniu faktycznêm, niż w teoretycznych wywodach p. Szczepanowskiego.

Wracając do naszych miejscowych stosunków, powtarzamy wniosek, do któregośmy doszli wyżéj, a mianowicie, że u nas wywoływanie i popieranie emigracyi, nie da się ekonomicznie usprawiedliwić.

Opinię tę podzielały władze w kraju naszym i starały się powstrzymać wychodźtwo, a przeciwnie protegowały przypływ obcych kolonistów, czyli t. zw. immigracyją. Pomijając czasy odleglejsze, przepisy z roku 1833 dawały osiedlającym się w Królestwie kolonistom prawo przywozu swego mienia ruchomego bez cła, uwalniały od wojska i od podatków na 6 lat i pozwalały wydzielać im z łatwością grunta na wieczystą dzierżawę.

Koloniści osiedlający się w Cesarstwie jeszcze większe miewali przywileje, a mianowicie do ostatnich jeszcze czasów, na mocy prawa z r. 1803, otrzymywali oni na czas pierwszych 10 lat zwolnienie, a na 10 lat następnych zmniejszenie podatków; również otrzymywali zwolnienie od służby wojskowéj i dostawali po 60 dziesięcin ziemi na rodzinę i po 300 rubli zapomogi pieniężnéj na zagospodarowanie. Naodwrót, emigracya z państwa rosyjskiego była utrudnianą. Obecnie, chociaż paszporta emigracyjne — z zachowaniem pewnych warunków — bywają wydawane, do dziś dnia jednak zachęcanie do wychodźtwa, jest uważane przez prawodawstwo rosyjskie za przestępstwo kryminalne. Artykuł 328 kodeksu karnego głosi: Namawiający poddanych państwa rosyjskiego do wysiedlenia za granicę, ulega pozbawieniu wszelkich praw osobistych i praw stanu i zesłaniu na mieszkanie do Syberyi albo téż oddaniu do rot aresztanckich na czas od roku do półtora..

Jeżeli nareszcie zadamy sobie pracę zbadania opinii publicznéj, chociażby drogą przejrzenia tego, co się pisze w sprawie wychodztwa w naszéj prasie peryjodycznéj, to się przekonamy, że opinia jest emigracyi przeciwną.

Tak więc z punktu widzenia ekonomicznego, emigracya z naszego kraju powinna być uważaną za objaw szkodliwy, zachęcanie do emigracyi, chociażby bez oszustwa i wyzysku, jest przez prawo-

dawstwo obowiązujące karaném, opinia zaś uważa wychodźtwo za szkodliwe.

Pomimo to emigracya istnieje u nas. Mówimy tu wyłącznie o wychodźtwie ludowém, wywołaném przez nadzieję polepszenia stanu ekonomicznego, gdyż tylko takie wychodźtwo jest przedmiotem naszego rozbioru.

Sprawa oświęcimska zwróciła uwagę naszéj publiczności, szczególniéj zaś naszéj prasy, na objawy ruchu emigracyjnego w naszym kraju. Jedno z pism naszych codziennych, a mianowicie Kuryjer Warszawski z dnia 24 Sierpnia r. b. zapowiada szereg odkryć w téj mierze, na zapytanie jednak: „czy występne ajencyje nie roztoczyły skrzydeł nad naszym krajem“? odpowiada „z góry, bez wahania: nie“ i twierdzi, że „włościanin nasz, nie naglony do Ameryki głodem, mogący dobrze wyżyć na własnych śmieciach, nie rzuca się w objęcia ajencyj, które téż nie znajdują tu gruntu dla swych działań, nie szuka pośredników, lecz opuszcza kraj z całą rozwagą i nie na ślepe losy“.

Gdyby tak było rzeczywiście, lud nasz zasługiwałby na świadectwo dojrzałości społecznéj.

Cóż kiedy obserwacye własne, nie systematycznie wprawdzie, lecz tylko dorywczo prowadzone, wiadomości umieszczane w naszéj prasie, a w części i kronika sądowa nie pozwalają nam pisać się na optymistyczny pogląd „Kuryera Warszawskiego.

Emigracya, która nie jest dotąd u nas zjawiskiem liczebnie groźném, dotyka głównie trzech sfer: włościańskiéj małorolnéj, drobnéj rzemieślniczéj i uboższéj żydowskiéj, najrozmaitszych zajęć. Zdarzało się nam dowiadywać pośrednio, a czasem i bezpośrednio o losach jednostek z każdéj z tych sfer, a wrażenia nasze osobiste kazały nam przyjść do uogólnienia—może zbyt pośpiesznego, gdyż opartego na szczupłéj ilości przykładów—że w wychodztwie emigrantów z kraju naszego bardzo mało jest „rozwagi“, a właśnie bardzo wiele rzucania się „na ślepe losy“. Bodźce emigracyjne u nas podzielić można na dwie kategorye: przyciągające i wypychające. Do wypychających należą: obawa powinności wojskowéj, bankructwo i „nieporozumienia“ z władzami karnemi. Te nas mniéj interesują. Bodźcem przyciągającym jest zawsze nadzieja świetnego losu w nowéj ojczyźnie. Nadzieja ta czasem jest oparta na pewnéj realnéj podstawie: na wezwaniach krewnych, na listach znajomych itp. Zdarzało się nam jednak nie raz i nie dwa spotykać objawy pociągu emigracyjnego opartego na mrzonkach jedynie. Jakieś niemożliwe wieści,—doszłe pocztą pantoflową, jakieś świetności we własnéj głowie urojone wytrącają całe rodziny z miernego dobrobytu i rujnują

je przez niefortunne próby szukania krain srebrem i złotem płynących. Prawda, że objawy takie częściéj zdarzało nam się widziéć między żydami, a z liczby chrześcian, wśród rzemieślników, niż w sferze włościańskiéj.

Co do działalności ajencyi, zdaje się, że nie zdołały one skutecznie rozrzucić na kraj nasz sieci. Wypadki jednak namawiania do emigracyi zdarzają się i u nas. W tych dniach np. trzéj zrujnowani przez podobne namowy mieszkańcy Warszawy, rzemieślnicy: Sosnowski, Nachsztern i Szymański wystąpili ze skargą do władz sądowych przeciwko konsulowi rzeczpospolitéj argentyńskiéj panu Ernstowi o popchnięcie ich przez świetne, a kłamliwe obietnice do emigracyi. Wskutek téj skargi prowadzi się przeciw p. Ernstowi sprawa karna. Charakterystycznem jest opowiadanie stolarza z warsztatów drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, Stanisława Sosnowskiego. Pod wpływem zwodniczych zapewnień, że w Hamburgu będą oczekiwały wychodźców statki, które przewiozą ich do Buenos-Ayres, że na miejscu otrzymają oni posady, pieniądze, wyruszyli biedni ludzie z żonami z dziećmi i..... część ich wróciła z Hamburga w stanie ostatecznéj nędzy, a część ginie po drodze z głodu, bo wrócić nie ma o czém.

Nie przesądzając stopnia winy p. Ernsta w tym razie, widzimy jednak, że wychodźcom naszym zdarza się rzucać w świat nieznany bez należytéj rozwagi, na ślepo.

Czy społeczeństwo nasze powinno, czy może i ewentualnie co powinno i może przedsięwziąść celem uchronienia kraju od szkodliwego społecznie zjawiska emigracyi i celem zabezpieczenia jednostek od często spotykanego przy emigracyi wyzysku, a ztąd ruiny mienia, zdrowia, a nieraz i życia nieszczęśliwych wychodźców?

Że, o ile to możliwe, obowiązkiem naszym jest bronić ogół i jednostki od klęsk wszelakich, to chyba kwestyi nie ulega.

Chodzi więc tylko o to, czy obrona jest możliwa i w jaki sposób dałaby się uskutecznić? Samo negowanie zjawiska nic tu nie pomoże. Nie wystarczy nawet głos prasy, chociażby ludowéj.

Potrzeba przedewszystkiém, żeby do przeciwdziałania wychodźtwu, w wyjątkowych zaś razach do stworzenia jednostkom emigrującym znośnych warunków emigracyi, zabrała się uczciwa i o dobro ciemniejszych, a uboższych warstw dbała inteligencya miejska i wiejska.

W tych miejscowościach, które gorączką wychodztwa są ogarnięte, potrzebaby zbadać przyczyny miejscowe emigracyi i usuwać o ile możności wpływy szkodliwe.

W miastach urzędnicy fabryczni, kolejowi, starsi cechowi członkowie towarzystw dobroczynności, redaktorowie pism itd.

itd., po wsiach właściciele ziemscy, dzierżawcy, urzędnicy gospodarczy, nauczyciele wiejscy powinni przeciwdziałać emigracyi przez dostarczanie tym, którzy do wychodztwa dążność okazują, przez rozpowszechnianie jak najusilniejsze między ludem prawdziwych i dokładnych wiadomości o warunkach, jakie w emigracyi czekają wychodzców, o smutnych losach, jakie dawniejszych emigrantów spotkały itp.

Samo jednak ogólnikowe zrzędzenie nie wystarczy. Lud rozumié doskonale czy mu ktoś opowiada ogólniki, czy téż cytuje fakta, które zna dokładnie. Otóż dziś, jeżeli z jednéj strony zjawia ajent emigracyjny, który wiele z pewnością kłamie, ale ma jaką taką znajomość rzeczy, cytuje fakta, imiona, wypadki nieraz prawdziwe,—jeżeli przychodzi list od szczęśliwego wybrańca losu, albo wyjątkową energią i zdolnościami obdarzonego emigranta, który opisuje w znacznéj zapewne części prawdziwie, a w pewnéj tylko części, w skutek skłonności do chwalenia się i przesady, zbyt różowo, warunki życia w Ameryce,—otóż jeżeli przeciwko takim szczegółowym, pewnym realizmem tchnącym wiadomościom, przeciwstawia się tylko sceptyczne niedowierzanie, bez powołania na fakta rzeczywiste, a dobrze znane, wówczas zwycięstwo zostaje najczęściéj po stronie łudzących świadomie, lub bezwiednie świetnemi perspektywami.

Trzeba więc przedewszystkiém, dla skuteczności działania, żeby pewna ilość ludzi dobréj woli poznała dokładnie sprawę wychodztwa.

Daléj w tych wypadkach, gdzie nie można prądu powstrzymać, trzeba przynajmniéj bieg jego tak zregulować, żeby jak najmniéj przynosił szkody.

U nas możeby się ruch emigracyjny dał całkiem zatamować. W Poznańskiém już rzecz byłaby trudniejsza. W Galicyi w pewnych wypadkach może należałoby uważać emigracyą jako zjawisko na pewien czas i w pewnych okolicach konieczne, a mianowicie w Galicyi zachodniéj (*vide* powołany wyżéj Szczepanowski); o ile więc nie dałaby się kolonizacya skierować wewnątrz kraju ku wschodowi, należałoby, po przedstawieniu prawdziwéj perspektywy, czekającéj emigrantów, otaczać jednak tych, którzy wyjść z kraju zechcą koniecznie, pewną opieką, dawać im informacye, kierować do pewnych znanych osób w Hamburgu, w New-Yorku itd. Jeżeli takiéj czynności zaniedbają ludzie uczciwi, to na niezajętém stanowisku ulokują się wyzyskiwacze, a chociaż sprawiedliwość ukarze dziesiątki zbrodniarzy, to na ich miejsce wystąpią set-

ki nowych. Kiedy się usuwa działalność szkodliwą, ale przez stosunki życiowe wywołaną, trzeba ją zastąpić działalnością pożyteczną. Nie dość jak zabronić głodnemu jeść lebiodę, lub korę drzewną, jako rzeczy szkodliwe; trzeba mu jeszcze dać chleba, bo inaczéj będzie on, w braku pożywnego jedzenia, jeść choćby glinę. A więc proponujemy rozwinięcie działalności informacyjno-opiekuńczéj w sprawie wychodztwa.

* * *

Jeżeli co do emigrantów szukających za morzami bogactw, a znajdujących natomiast sakwy dziadowskie, może być wątpliwość, czy są oni tu u nas przeważnie ofiarami wyzysku ajentów, czy téż własnéj tylko nierozwagi, to jest inna kategorya „żywego towaru“ który stanowi niewątpliwie źródło znacznego a ciągłego zysku handlarzy, nie lepszego od kupczących murzynami gatunku. Tylko że wrażliwość nasza na ten zbrodniczy handel tak dalece się stępiła, iż nie myślimy o nim, nie pamiętamy szczegółów spraw, o których czytaliśmy wczoraj, czytamy dziś, będziemy czytać jutro, o których dowiadujemy się prawie codzień. A jakaż to drobna tylko cząstka dochodzi do wiadomości publicznéj! Gdyby się znalazł uczony, któryby, jak Cuvier z zęba mamuta, umiał odbudować całość, przestraszylibyśmy się może jéj potwornością. Ale takie drobne oderwane fakta, co godzina po łyżce podawane, nie pobudzają już naszych nerwów.

Sprobujmy jednak zebrać wiązkę faktów z gazet ostatnich dni.

Dziennik Łódzki z d. 25 lipca. „Kapitan okrętu udającego się z Hamburga do Ameryki zameldował policyi, że na jego statku jakiś Dawid Herman z Warszawy zamówił miejsce dla siebie i sześciu dziewcząt. Okazało się, że był to znany warszawskiéj policyi Herman Roder, który początkowo utrzymywał potajemny dom schadzek przy ul. Chmielnéj, a następnie założył agenturę sprzedaży dziewcząt do południowéj Ameryki. Proceder ten przynosił mu znaczne zyski, gdyż płacono mu za Oceanem za „dostawiony towar“ po parę, do pięciu tys. rubli od sztuki“.

Kuryer Warszawski z d. 10 sierpnia: „W domu pod N. 9 przy ul. Nowogrodzkiéj mieszkała 18 letnia Józefa Witczakówna. Biedna dziewczyna dostała się do lupanaru zwykłą drogą (to „zwykłą drogą“ jest wymowne) uwiedzenia i sprzedania. Widoczne życie okropne musiało się sprzykrzyć nieszczęśliwéj, gdyż nocy wczorajszéj, pozostawiwszy rzeczy swoje, uciekła. Jest obawa czy biédna dziewczyna nie pozbawiła się życia.

Kuryer Warszawski z dnia 11 sierpnia: „Partyę młodych słowaczek, wiezionych z Węgier, powstrzymano w Żywcu, a pośredniczące w téj ekspedycyi kobiety uwięziono“ (Korrespondencya datowana 9 sierpnia z Krakowa).

Gazeta Polska z dnia 16 sierpnia: „Pewien gatunek ajentów namawia młode dziewczęta do wyjazdu w celach niemoralnéj spekulacyi. Dwóch takich ajentów schwytała 8 sierpnia policya w Mysłowicach. Mieli oni z sobą pięć ofiar, zwerbowanych na Rusi Czerwonéj i wieźli je na zachód, zaopatrzywszy w fałszowane paszporty. Mieli przy sobie 2 tysiące marek.“

Kuryer poranny z dnia 21 sierpnia: „Onegdaj o godz. 6 po południu nad brzeg Wisły naprzeciw starych wodociągów przyszła jakaś kobieta i, zeszedłszy z bulwaru na dół, rzuciła się w nurty. Jeden ze świadków téj sceny wskoczył na czółno i niedoszłą samobójczynię uratował. W cyrkule dowiedziano się, że jest to Helena K., która objaśniła, iż postanowiła pozbawić się życia ze wstydu, podstępem bowiem wprowadzoną została do lupanaru, gdzie dotychczas przebywała.“

Kuryer poranny z dnia 19 sierpnia: „W tych dniach policya pruska zatrzymała 8 osób, pomiędzy nimi trzech mężczyzn, którzy uprowadzali pięć ładnych panien z Rosyi za granicę. Handlarzy, pomimo eleganckiego ubrania, okuto w dyby i razem z żywym towarem odstawiono pod konwojem do Sosnowic.“

Kuryer poranny z dnia 28 sierpnia: „Nocy wczorajszéj na Ordynackiém pod restauracyą Szczypiora niejaki Bejnisz Reichfeld, spotkawszy Mowszę Lewina, rzucił się na niego i powalił uderzeniem pięści. Obydwóch wezwano do cyrkułu. Tu okazało się, że Reichfeld, ma narzeczoną, Maryę Taubenfeldównę, którą Lewin usiłował wywieść z Warszawy do lupanaru do Kowna. Z zeznań świadków przekonano się, że jak R. tak i L. są handlarzami żywym towarem. R. udawał zakochanego, by swoją ofiarę zabezpieczyć dla siebie, podstęp się jednak nie udał i dzięki awanturze wykryto szajkę handlarzy.“

Tak więc, przejrzawszy nasze gazety z miesiąca, znajdujemy w nich siedem opisów o wypadkach, osnutych na tle sprzedaży kobiet do domów prostytucyi. Gdyby tak rozpatrzyć się uważniéj, znalazłoby się może drugie siedem. A niewiadomych, niewyśledzonych wypadków ile było przez te dziesięć dni? Któż to wie!? Może 70, może i więcéj.

Kwitnie ten rodzaj handlu żywem mięsem na dobre! Na jednego złapanego handlarza, tuziny ich chodzą wolno. Ba! nie tylko chodzą,—nieraz jeżdżą powozami.

Oprócz domów publicznych, domów stręczeń, domów schadzek, ileż to handlów tego rodzaju odbywa się na tak zwanych lekcyach tańca, a ile jeszcze przez stręczycieli i stręczycielki prywatne. W swoim czasie było dochodzenie o stręczenie do nierządu nawet w pewnym kantorze guwernantek.

Gdyby tak, jako pendant do zapowiedzianych przez „Kuryer Warszawski“ odkryć emigracyi dotyczących, zechciało które z ruchliwych pism codziennych zająć się odkryciami, dotyczącemi handlu ofiarami prostytucyi, to dowiedzielibyśmy się z pewnością, że dzieją się u nas rzeczy nie mniéj jaskrawe od słynnych niedawno odkryć „Pall-Mall Gazette“ w Londynie.

A czy opieka nad temi kobietami nie dałaby się urządzić? Możeby niektóre panie kręciły noskami: „*fi donc!—s'occuper des creatures pareilles.*“ Może i niektórzy poważni mężowie miotaliby gromy oburzenia (postępowali ponoć tak, podług „Pall-Mall Gazette,“ ci, którzy najwięcéj oddawali się po cichu rospuście); ale jeśli więźniowie, zbrodniarze doznają opieki, jeżeli nawet istnieje—nie rażąc nikogo — towarzystwo opieki nad zwierzętami, to dla czego nie miałoby się utworzyć towarzystwo opieki nad kobietami, które wprawdzie nie zawsze bez winy własnéj weszły na smutną drogę prostytucyi, ale z pewnością zawsze są nieszczęśliwe. Sądzimy, że władze, przy odpowiednich rękojmiach co do uczciwości kierunku, zatwierdziłyby z łatwością ustawę podobnego stowarzyszenia. A towarzystwo takie miałoby obszerne pole działania. Zapobieganie handlowi tych białych niewolnic, ułatwianie wypisania się z klassy prostytutek (jak wiadomo rzecz to bardzo trudna), dostarczanie im pracy, bronienie ich od wpływu i wyzysku całéj falangi osób, które z nierządu swych ofiar korzyść ciągną i do nierządu popychają itd. itd.

Niechby na początek jeden przynajmniéj rezultat dał się osiągnąć, a mianowicie niechby zatrzymywanie prostytutek w domach publicznych za długi zaciągnięte u właścicieli zakładu zostało uniemożliwione, to i tak już byłoby wiele. Członkowie stowarzyszenia wizytujący domy w asystencyi policyi, ułatwiający wyjście każdéj kobiecie, chcącéj dom opuścić, potrafiliby zapewne usunąć dzisiejsze „*lupanari adscriptio.*“

Wogóle może towarzystwo opieki nad temi ofiarami wyzysku połączonego często z uwiedzeniem, zmniejszyłoby nieco ilość wiadomości reporterskich o „tych stworzeniach,“ rzucających się do „nurtów rzeki.“ Ale one to zapewne robią z nadmiaru szczęścia?!?

* * *

Koléj żelazna Warszawsko-Wiedeńska przechodzi pewne perturbacye. Akcyonaryusze zagraniczni, którzy znacznie więcéj niż

krajowcy posiadają akcyi téj drogi, wystąpili z różnemi żądaniami, dotyczącemi podniesienia dywidendy, zmian, lub usunięcia różnych osób, wprowadzenia oszczędności itd. itd. Krążą pogłoski, że znaczna grupa akcyonaryuszów chciałaby wprowadzić na wybitne i wpływowe stanowiska na téj drodze p. Bertranda de Lyseń, który, działając za plecami wybranego przez akcyonaryuszów zagranicznych „słomianego człowieka," w rzeczywistości kierowałby wszystkiemi sprawami drogi. Głównie chodziłoby o robienie oszczędności, a to z przyczyny, że pewne grupy kapitalistów zagranicznych, podniosłszy drogą sztucznéj spekulacyi nadmiernie cenę akcyj drogi War.-Wied., obecnie chciałyby podnieść odpowiednio i dochód. Rezultat scyssyi między zagranicznymi a tutejszymi akcyonaryuszami może mieć pierwszorzędną dla kraju naszego doniosłość, ze względu na poważne znaczenie drogi i znaczny kontyngens pracowników, których byt, przy napływie elementu cudzoziemskiego, mógłby być zachwiany. Ponieważ koszta eksploatacyi kolei w ostatnich czasach rzeczywiście znacznie, w porównaniu z latami ubiegłemi, wzrosły, pożądaném przeto byłoby, żeby ci, którzy dziś na czele drogi stoją, zwrócili na grożące niebezpieczeństwo uwagę. Wchodzenie w bliższe szczegóły, z powodu że partye akcyonaryuszów nie ugrupowały się jeszcze ostatecznie i mogą uledz znacznym zmianom, uważamy w obecnéj chwili za przedwczesne.

* * *

Od czasu wyjazdu z Warszawy najmłodszego z Lindleyów i objęcia głównego kierownictwa robót kanalizacyjnych przez pana Höhmana, słyszymy coraz częstsze uwagi specyalistów inżynierów co do mniejszéj dbałości o dokładność dokonywanych robót, a utyskiwania ze strony publiczności na brak pamięci o wygodzie mieszkańców miasta i na gburowatość kierownika kanalizacyi. Inżynierzy zarzucają, że połączenia kanałów, zamiast łagodnemi krzywiznami, jak to było dawniéj, dokonywane są obecnie prostokątnie, co ma jakoby powodować tworzenie się wirów, — zarzucają, że używana obecnie do budowy kanałów cegła nie zawsze jest odpowiedniéj wartości, — że kierunek małych kanalików, względnie do wielkich kanałów, w niektórych miejscach przez nieuwagę został obrany nieracyonalnie i t. d. i t. d.

O ile te zarzuty są słuszne, mogą ocenić tylko znawcy fachowi. Mniejszy stopień jednak dbałości o wygodę publiczną może ocenić i nie specyalista. Ziemia bywa teraz mniéj wywożoną i formuje obok przekopywanych kanałów, niemożliwe do przebycia wały; mostków i wogóle przejść dla publiczności znacznie skąpiéj niż to bywało dawniéj. W dodatku słyszymy niejednokrotnie z ust wia-

rogodnych, że p. Höhman w bardzo nieparlamentarny sposób przemawia do podwładnych inżynierów, do robotników a nawet do publiczności. Ponieważ sens jego przemówień, jako wygłaszanych po niemiecku, nie dla wszystkich jest dostępny, więc też p. H. ilustruje swe perory w ogólnie zrozumiały sposób gestami, np. przez wymachiwanie kijem. Może też p. H. „chociaż niemiec, głos ludzki zrozumié“ i zechce być wstrzemięźliwym w wymowie, a spokojniejszym w gestykulacyi. To mu da więcéj czasu i skupienia umysłu na rozważanie specyalnych kwestyi techniki kanalizacyjnéj.

* * *

Sprawa banku poznańskiego różne w ostatnich czasach przechodziła perypetye. Przed zebraniem akcyonaryuszów na d. 13 lipca r. b. wyznaczoném, krążyły wieści o wiszących nad istnieniem banku niebezpieczeństwach. Byli pono tacy, którzy chcieli wprost albo pośrednio, (przez uchwalenie jako warunku koniecznego rozpoczęcia czynności niemożliwéj do zebrania summy kapitału zakładowego), doprowadzić do rozwiązania banku. Miała być i taka—nie liczna na szczęście—garstka, która chciała ze składek na cel publiczny zebranych zrobić dojną krówkę dla garstki ptaków niebieskich, które wprawdzie orzą i sieją, a przynajmniéj siać i orać każą, widocznie im to jednak nie wystarcza, skoro tak skwapliwie rostwierają dzioby, w oczekiwaniu manny, pieczonych gołąbków i t. p. Zebranie w d. 13 lipca wykazało, że znaczna większość do błędnych torów wstręt czuje. Ale ujawniło ono zarazem niebezpieczeństwo inne. Nie weszli wprawdzie panowie ojcowie banku na fałszywe drogi, ale téż nie chcieli iść na żadne. Wypowiedzieli hasło: „Bezczynnie stoimy i bezczynnie stać będziemy“ i zdawało się, że żadna siła nie ruszy ich ni w tył, ni naprzód. Były wśród obradujących partye; była i prawica i lewica i centrum i dzicy, w jednéj wszakże kwestyi wszyscy dziwnie się zgadzali: nikt nie chciał przyjąć wyboru i każdy mówił: „ja nie chcę, ale moi bliźni powinni.“ Nareszcie po różnych pertrakcyach, zwoływaniach, przejażdżkach, listach, udało się wyszukać i uprosić grono osób dobréj woli, do przyjęcia na zebraniu z d. 14 Sierpnia mandatów na członków rady nadzorczéj.

Tymi ludźmi dobréj woli są pp. Stanisław Żółtowski, Franciszek Chełchowski, Juljan Brzeski, Teodor Moszczeński i Adam Kościelski.

Korespondent „Kraju“ z Poznania p. Domarat, podając listę nazwisk, cieszy się bardzo, że wybrani są sami „panowie ze wsi“ i że skoro „Kazio“ będzie się mógł porozumieć z „Edziem“, a „Mundzio“ ze „Stefciem“, nie oglądając się na panów X. Y. Z. „z miasta“, to rzecz urządzona w taki sposób, w jaki „powinna być zawsze

i wszędzie", pójdzie *eo ipso* wybornie. Wyznamy szczerze, że nie możemy się pisać na poglądy filozoficzno-społeczne p. Domarata. Dla nas mieszkaniec miasta równie dobry jak mieszkaniec wsi, a nawet chętniéj widzielibyśmy w sprawie publicznéj udział wszystkich sfer, niż jednéj wyłącznéj. Imiona Kazia, Mundzia, Edzia i Stefcia nic nam nie przeszkadzają, ale téż nic nie pomagają. J a k s i ę z w a ł, t a k s i ę z w a ł, byle... pracował rozumnie, uczciwie, gorliwie i z pamięcią o społeczeństwie. Podobnéj pracy oczekujemy od nowych kierowników banku poznańskiego, a jeżeli się nadzieje nasze ziszczą, wykrzykniemy na całe gardło: „tak być powinno zawsze i wszędzie" i skłonimy z poszanowaniem głowę przed pracownikami.

* * *

W ostatnich numerach ministeryalnego organu p. t. „Goniec finansów, przemysłu i handlu" znajdujemy bardzo obszerne i ciekawe motywa do przepisów prawodawczych o magazynach, czyli składach towarowych, które, jak wiadomo mają nadane sobie prawo wydawania warrantów, t. j. dokumentów, mających obieg podobny do weksli i służących za podstawę do umów sprzedażnych i zastawnych na złożony w magazynie towar. Z motywów tych widzimy, że oprócz ułatwienia kredytu wszystkim producentom w ogóle i dania im możności wyczekiwania na chwilę odpowiednią dla zbytu, nowe prawodawstwo miało szczególniéj na uwadze dogodność rolników i starało się specyalnie o rozwój magazynów zbożowych, w których by każdy rodzaj zboża, *resp.* żyto, pszenica i t. d. tracił swoją indywidualność, jak się wyrażają przepisy, a to w celu wyrobienia na wielkich rynkach wewnętrznych i międzynarodowych pewnych przeciętnych typów ziarn, mogących być przy stałéj jakości, dostarczanemi w znacznych partyach. Dowiadujemy się, że nowe prawo za szczególniéj pożądane uważa urządzanie magazynów przez ziemstwa i municypalności, jak również zgromadzenia kupców i giełdy Co się tyczy kolei żelaznych, okazuje się, że przy naradach nad nowellą prawną były wypowiadane poważne obawy, czy koleje żelazne, jako postawione pod względem transportowym w lepszych od wszelkich stowarzyszeń lub osób prywatnych warunkach, nie zmonopolizują interesu magazynowego i nie uniemożliwią wszelkiéj postronnéj konkurencyi; z drugiéj zaś strony obawy, czy interes magazynowy nie pociągnie nowych dopłat rządowych kolejom gwarantowanym. Obawy te jednak są — podług orzeczenia motywów—możliwe do usunięcia przez wprowadzenie przepisów zapobiegających dawaniu większych przywilejów jednym transportom nad drugiemi i przez zupełny rozdział interesu magazynowego od pozostałego go-

spodarstwa kolejowego. Dalej motywa nowelli wypowiadają, że zakaz wydawania przez magazyny pożyczek na złożony towar jest spowodowany doświadczeniami niepowodzeń towarzystw akcyjnych, założonych w latach 1871 i 1872, które to towarzystwa, nie mogąc podołać operacyom zbyt wielkich kapitałów wymagającym, musiały się zlikwidować, a również przykładem państw zagranicznych które rzadko tylko i ze znacznemi ograniczeniami (jak np. prawo francuskie z d. 31 Sierpnia 1870 r.) nadają magazynom prawo wydawania podobnych pożyczek.

Odsyłając interesujących się nowém prawodawstwem do tekstu motywów, jako zbyt do powtórzenia obszernych, pozwolimy sobie tylko zrobić kilka uwag, dotyczących możliwego zastosowania nowych przepisów do naszych warunków produkcyi i handlu hurtowego w ogóle, a zbożowego w szczególności.

Żeby się nowy interes magazynowy rozwinął w sposób wywierający znaczny wpływ na nasze stosunki handlowe, potrzeba przedewszystkiém, żeby magazynowane ilości towarów były poważne. Na to zaś niezbędną jest znaczna ilość wielkich magazynów przy stacyach kolei i przystaniach wodnych. W szczególności magazyny zbożowe z urządzeniami do przesuszania zboża, które leżąc dłużéj nieprzewietrzane, mogłoby się zagrzać, z elewatorami i t. d. i t. d. wymagają bardzo znacznego nakładu.

W Ameryce takie magazyny są przedsiębiorstwem kapitalistów prywatnych, którzy pobudowali na swój koszt olbrzymie składy z elewatorami i którzy wydają na produkta w magazynach złożone pożyczki, równające się prawie zupełnie (oprócz drobnego procentu przeznaczonego na marżę) wartości zdeponowanego towaru. My tak zamożnych kupców hurtownych i w szczególności zbożowych nie mamy, pobudowanie więc magazynów i całe przedsiębiorstwo mogłoby chyba być dokonaném przez kompanie dróg żelaznych. Otóż drogi żelazne wewnątrz Cesarstwa, gdzie transport zbożowy w znacznéj mierze odbywa się kolejami i gdzie z powodu odmiennych warunków gospodarstwa rolnego, dwa tylko bywają peryody młócki zboża, wiosenny i jesienny, — w skutek czego znaczne ilości zboża w krótkim czasie bywają rzucane na rynek, — tam więc koleje mają więcéj interesu do budowania magazynów. Ale w naszym kraju, w którym eksport w większych ilościach wodą głównie się odbywa, a młócka — chociażby dla zachowania paszy dla inwentarza — dokonywa się przez rok cały, u nas więc koleje mniéj są w budowaniu magazynów zainteresowane. Nowe przeto prawodawstwo może u nas znaleźć zastosowanie chyba na stacyach kolejowych, oddalonych od spławów, a leżących w centrach ruchu zbożowego. Żeby się je-

dnak interes magazynowy rozwinął obszerniéj, potrzebne byłyby elewatory, dokładna opieka, tak, aby przewidziane 3% straty w rzeczywistości zeszły do znacznie mniejszéj cyfry i żeby weszło w życie transportowanie zboża bez worków. Ten rodzaj transportów „luzem“ ma już miejsce na drodze Wiedeńskiéj, a zaczyna się praktykować na Nadwiślańskiéj i Iwangrodzkiéj, w sposobie zaś wyjątków zdarza się i na drogach południowo-zachodnich. Dopóki jednak nie będzie wprowadzone ważenie wagonów naładowanych, jak w Anglii, a to celem zabezpieczenia drogi od nadużyć nadwagi, osób zaś prywatnych od znacznego manco i dopóki opłaty za zamknięcie drzwi wagonu będą tak wysokie jak dziś (na drogach południowo-zachodnich np. za drzwi pobiera się 5 rubli, wówczas gdy wypożyczenie worków na wagon kosztuje nie wiele co więcéj, a mianowicie 6 rubli), dopóki nareszcie wypadki przewiercania dna wagonów i w ogóle kradzieży na różne sposoby nie zmniejszą się, dopóty transporta zboża luzem, a co za tém idzie, stosunki transportowo-magazynowe rozwinąć się u nas prawidłowo nie będą mogły.

* * *

Nowe przepisy o dostawach wojskowych, bezpośrednio przez rolników dokonywanych, są krokiem naprzód pod względem ekonomicznym, a to ze względu na korzyści intendentury z jednéj, a producentów z drugiéj strony. Miejmy nadzieję, że praktyka wprowadzi jeszcze w tym stosunku szereg uproszczeń, korzystnych dla stron obu. Podług nowych przepisów, producent, chcący się podjąć dostawy, powinien złożyć deklaracyę co do ceny, opis gatunku i wagi zboża i dostarczyć dowodu swéj odpowiedzialności pieniężnéj, *respective* złożyć kaucyę. Następnie, dopóki nie otrzyma na swą ofertę odpowiedzi—a odpowiedź taka, wobec przewidzianych sprawdzań i porównywań cen, nie może nastąpić wcześniéj jak po 6 tygodniach—ma producent ręce związane. A tymczasem mogą się zmieniać kilkakrotnie ceny, konjunktury handlowe. Producent może stracić zręczność dogodnéj sprzedaży prywatnéj, a po 6 tygodniach może się dowiedzieć że intendentura ofertę jego odrzuciła. W handlu zbożowym czas znaczy niezmiernie wiele. Spodziewać się więc należy, że praktyka wprowadzi z czasem w życie inny, uproszczony stosunek handlowy między producentem a intendenturą. Podobnie jak to bywa po większéj części zagranicą, dojdziemy zapewne i u nas do tego, że producenci będą składać intendenturze próby zboża i podawać cenę, intendentura zaś będzie dawać natychmiast odpowiedź czy przyjmuje ofertę, lub nie. Następnie oczywiście intendentura miałaby prawo sprawdzać czy przysłane zboże odpowiada pró-

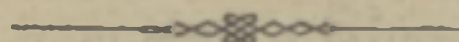
bie i, w razie różnicy, natychmiast zawiadamiałaby—tak jak to dziś robi kupiec zbożowy—producenta, że zboże pozostaje do jego dyspozycyi. Wogóle spodziewamy się z czasem przejścia od formalizmu biurowego do stosunku o charakterze więcéj handlowym. I tak np. dzisiejsza odstawa zboża do spichrza przez samego producenta, przy formalnościach co do dni, godzin i t. p. jest dla producenta ambarasująca i kosztowna. Wreszcie możeby, ze względu na charakter hurtowny zakupów przez intendenturę dokonywanych, najdogodniéj było wprowadzić za jednostkę ładunek wagonowy.

* * *

Mamy przed sobą szereg numerów — aż do N. 5961 z dnia 24 sierpnia — wydawnictwa londyńskiego „J. E. Beerbohm's Evening Corn Trade List“, stanowiącego powagę w kwestyi handlu zbożowego, mamy i Berliński „Markt-Bericht“ aż do dnia 25 sierpnia, mamy nareszcie obszerną relacyę o stanie rynków zbożowych ajenta rosyjskiego ministeryum finansów w Londynie z dnia 11 sierpnia r. b. Na mocy wieści z tych wszystkich źródeł zebranych, należy przyjść do wniosku, że, pomimo chwilowéj ciszy przez lepszą pogodę spowodowanych, mamy wszelką zasadę do liczenia na dość znaczną zwyżkę cen pszenicy. Na Zachodzie Europy urodzaje wogóle są niższe od cyfry przeciętnéj,—Stany Zjednoczone, które głównie ciążyły w ostatnich latach nad naszymi rynkami, liczą na 87% normalnego urodzaju a zapasy zeszłoroczne mają nieznaczne, Indye Wschodnie spodziewają się wprawdzie urodzaju bardzo dobrego, ale zapasy zeszłoroczne zupełnie mają wyczerpane. To też relacya ajenta ministeryum głosi w konkluzyi: „wszystkie nadzieje i cała uwaga tu (tj. w Londynie) zwrócona obecnie na Rosyę, która znowu zajmie rolę głównego spichrza Europy.“

Z drugiéj strony z jarmarku Niżegrodzkiego otrzymujemy pomyślne dla naszych fabrykantów wiadomości. Ruch wogóle bardzo ożywiony i nasze wyroby idą raźnie. Może téż trochę chociaż wybrniemy z panującego od kilku lat w naszych stosunkach rolnych, przemysłowych i handlowych kryzysu ekonomicznego.

(— X —)





NEKROLOGIA.

† Dnia 21-go czerwca r. b. w Dowborowie (w powiecie Wilejskim) zakończył życie **Jerzy Laskarys**, poeta. Urodzony w Wilnie 1828 roku, odbywał nauki najprzód w tamtejszym instytucie szlacheckim, a potém w uniwersytecie w Petersburgu. Drukował mnóstwo artykułów i utworów poetycznych po rozmaitych czasopismach. Osobno wyszły: „Kartki z życia" (1856),—„Ludzie prości" (1858),—„Pięć hymnów" (1858), — „Rarogi" (1860 i 1861); opracował nadto dla młodzieży „Pamiętniki Paska" i Rzewuskiego „Pamiątki starego szlachcica." W rękopisach pozostały po nim: przeróbka „Wojny Chocimskiéj" Wacł. Potockiego i poemat „Jontek."

† Ksiądz **Ignacy Polkowski**, urodzony 6-go marca 1833 we wsi Zdunach, w Królestwie, po ukończeniu nauk w akademii duchownéj warszawskiéj, sprawował różne urzędy kościelne; następnie przeniósł się w Poznańskie, gdzie rozwinął żywą działalność literacko-naukową. Jego staraniom i zabiegom przypisać należy 400-letnią uroczystość urodzin M. Kopernika, obchodzoną w r. 1872, a uświęconą wydawnictwem albumu pamiątkowego. Temiż czasy wydał on „Coperniciana", to jest zbiór materyałów, dotyczących osoby naszego astronoma, daléj „Groby i pamiątki polskie w Rzymie", i „Bydgoszcz—kilka wspomnień o zamku i mieście", nakoniec wielką księgę, zawierającą opis i dzieje „Katedry Gnieźnieńskiéj" oraz znajdujących się w niéj zabytków przeszłości. Przeniósłszy się następnie do Krakowa, pracował wytrwale w tymże kierunku i ogłosił znaczną liczbę prac większych i mniejszych. Do najważniejszych należą: „Katalog rękopisów kapitulnych katedry krakowskiéj", który wydrukowała Akademia umiejętności w roku 1884, „Mapa dyecezyi krakowskiéj" (1886 r.), „Wywody o początku katedry na Wawelu" (1887), „Dwieście najstarszych inkunabułów, z biblioteki kapitulnéj krakowskiéj" (1887), „Sprawy wojenne króla Stefana Batorego. Dyaryusze, relacye, listy i akta do lat 1576—1586"

(1887 r.), wreszcie „Spadek po prymasie, arcybiskupie gnieźnieńskim a biskupie krakowskim Piotrze Gamracie" (1888 r.). — Ksiądz Polkowski zmarł w Krakowie 26 sierpnia r. b.

† **Alfred Brandowski**, były profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, urodzony 1835 r. w Wilkowéj, w Poznańskiém, zmarły w Krakowie w początkach miesiąca lipca r. b. — uprawiał jako pedagog i jako pisarz nauki filologiczne. Z prac jego przytaczamy tu: „De Stanislai Oxii Orichovii annalibus Comment." (1861),— „Wykład budowy wierszów Owidyusza, Wirgilego i Horacego" (1868),— „O pomysłach lechickich p. Aug. Bielowskiego" (1868),— „Założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364" (1874),— „Filozofia Seneki pana Kruczkiewicza rozebrał B." (1875), — „O łacinie Mikołaja Kopernika" (1878), — „O różnicy, która zachodziła w złotym wieku literatury rzymskiéj między łacińskim językiem gminnym a poprawnym czyli klassycznym" (1880). Wydał nadto kronikę mistrza Wincentego Kadłubka, według rękopisów znajdujących się w bibliotece Jagiellońskiéj.

† **Józef Bełza**, przyrodnik, urodził się r. 1805 w Kaliskiém we wsi Masłowicach. Od r. 1827 do 1830 był adjunktem pracowni chemicznéj w uniwersytecie aleksandryjskim w Warszawie. Wydał „Chemią policyjno-prawną", — „Dodatek do chemii", — „Krótki rys chemii", — „O wyrabianiu cukru z buraków", — „Rys życia Armińskiego" i „Zasady technologii." Pomieszczał nadto liczne pracę w pismach czasowych. Zmarł 24 lipca r. b. w Warszawie.

† W dniu 9-go sierpnia r. b. pochowano na cmentarzu Powązkowskim zwłoki **Leona Myszkowskiego**, urodzonego w roku 1831. Rzeźbiarz z powołania i zawodu, oddawał się zarazem sztuce muzycznéj, a niektóre jego kompozycye były ogłoszone drukiem. Pozostawił pracę literacką: „Życiorysy rzeźbiarzy polskich bieżącego wieku."

† **Stanisław Wędrychowski**, niegdyś wydawca „Gazety anonsowéj", zmarł w początku miesiąca sierpnia r. b. w Warszawie.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w Czerwcu, Lipcu i Sierpniu 1888 r.

---

1. **Szkoła wyższa realna w Kielcach** 1845—1862 r. napisał *Feliks Rybarski*. Kielce, 1888, 8-o, str. 38 (z drzeworytami).
2. **Historya XIX wieku** na podstawie źródeł i najnowszych opracowań. Przedstawił *Karol Lewald*. (od r. 1800 do 1880). Bezpłatny dodatek do „Prawdy", Warsz. 1888, 8-o (dokończenie, od str. 401 do 634+VI+IV).
3. *H. Spencer*. **Zasady Socyologii**. Wydawnictwo Redakcyi „Głosu". Warsz. 1888, 8-o. Zeszyt 1 (str. 160).
4. **Sprawozdanie** szóste z czynności komitetu zarządającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Medycyny Józefa Mianowskiego. Za rok 1887. Warsz. 1888. 8-o, str. 79.
5. *Marya Konopnicka*. **W piwnicznej izbie**. Wydawnictwo na korzyść kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci. Warsz. w księgarni T. Paprockiego i S-ki. 1888, str. 16.
6. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*, według planu *Filipa Sulimierskiego*. Warsz. 1888, tom IX. zeszyt 103 (od str. 481 do 560).
7. **Wisła**. Tom II: kwiecień, maj, czerwiec. Warsz. 1888, wielkie 8-o, od str. 247 do 444 (z rycinami).
8. **Przyrodnicze podstawy** naszych sądów estetycznych. Wykład D-ra *Aleksandra Raciborskiego* wypowiedziany na walnem zgromadzeniu polskiego towarzystwa imienia Kopernika (odbitka z „Kosmosu"). Lwów 1888, 8-o, str. 60.
9. **Sprawozdania meteorologiczne** za miesiąc Wrzesień 1887 r. (wyd. Oddział Warszawski Towarzystwa popier. przem. i handlu Sekcya II) Warsz. 1888, str. 16.
10. **Pamiętnik Akademii** Umiejętności w Krakowie. Wydziały: Filologiczny i Historyczno-filozoficzny. Tom szósty (z 3 tablicami), Kraków, 1887, 4-to str. 236.
11. **Index actorum** saeculi XV ad res publicas Poloniae spectantium quae quidem typis edita sunt... collegit Prof. D-r *Anatolius Lewicki* (Monumenta medii sevi hist. tom XI). Krak. nakł. Akademii umiej. 1888, 4-o, str. XVI.
12. **Kardynała Hozyusza** korespondencyi tom II. z lat 1551—1558. Część II, wydali: *D-r Franciszek Hipler* i *D-r Wincenty Zakrzewski* (Acta historica tomus IX). Krak. nakł. Akademii umiej. 1888, 4-o, od str. 521 do 1119.
13. **Archiwum komisyi historycznej**. Tom czwarty. Krak. nakł. Akademii umiej. 1888, 4-o. str. 531 i 2 nlb.
14. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności. Tom XXI (z jedną tablicą). Krak. 1888, 8-o, str. 344 i LII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznej lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczej.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs.** 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Августа 1888 г.